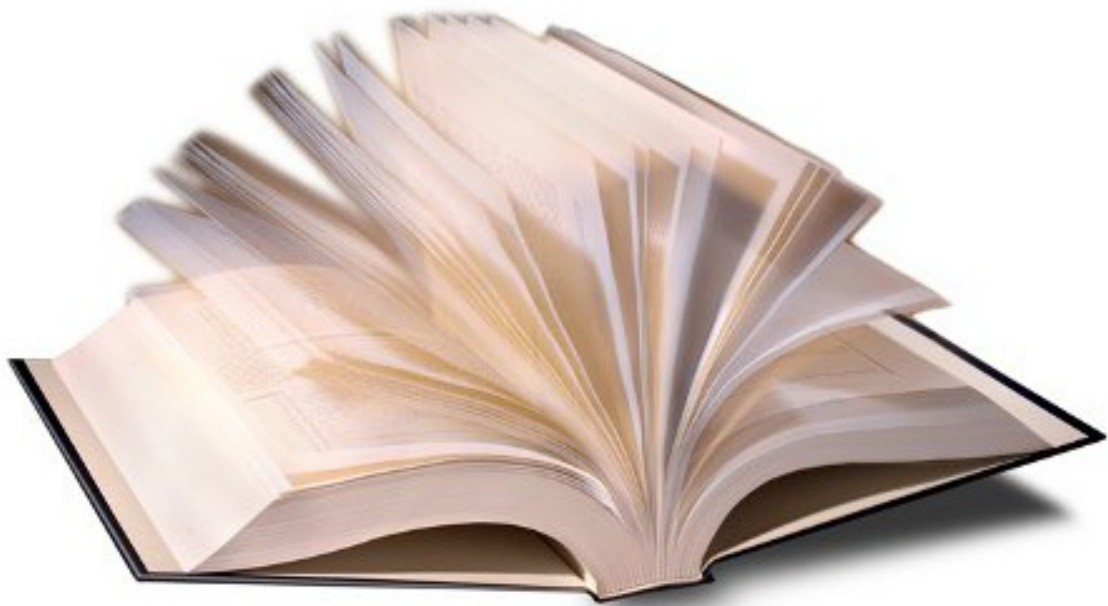


Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

OPOWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH

Karol Dickens

Księga pierwsza

Wrócony życiu

ROZDZIAŁ I

EPOKA

Była to najlepsza i najgorsza z epok, wiek rozumu i wiek szaleństwa, czas wiary i czas zwątpienia, okres światła i okres mroków, wiosna pięknych nadziei i zima rozpacz. Wszystko było przed nami i nic nie mieliśmy przed *sobą*. Dążyliśmy prosto w stronę nieba i kroczyliśmy prosto w kierunku odwrotnym. Mówiąc zwięźle, były to lata tak bardzo podobne do obecnych, że niektórzy z najhałaśliwszych znawców owej ery widzą w niej dobro i zło takie samo jak dzisiaj, tylko w nieporównanie wyższym stopniu.

Na tronie Anglii zasiadał król o wydatnej dolnej szczęce i królowa o szpetnym obliczu. Na tronie Francji zasiadał król o wydatnej dolnej, szczęce i królowa o powabnym obliczu. W obydwu tych państwach mężowie stanu odpowiedzialni za cudowne rozmnażanie ryb i bochnów chleba widzieli jaśniej słońca, iż ogólny porządek rzeczy został ustalony raz na zawsze.

Był rok pański tysięczny siedemsetny siedemdziesiąty piąty w owym chwalebnym okresie objawienia duchowe spływały na Anglię nie rzadziej niż obecnie. Joanna Southcott ukończyła dwudziesty piąty rok życia, a pojawienie się jej obwieszczała na— tchniony szeregowiec Gwardii Królewskiej, który zapowiadał po— nadto, iż poczyniono już wszystkie przygotowania do całkowitego zniszczenia Londynu i Westminsteru. Ba! Ledwie przed dwunastoma laty został zdemaskowany Upiór z Koguciego Zaułka, który uprzednio wystukiwał swoje orędzia metodą bardzo zbliżoną do tej jaką posługują się pozbawione oryginalności nasze duchy z bieżącego lub ubiegłego roku. Inne orędzia, całkiem naturalne i ziemskie otrzymywał król i naród angielski od kongresu brytyjskich poddanych w Ameryce i — dziwna rzecz — orędzia te okazały się ważniejsze dla ludzkości niż jakiegokolwiek wieści pochodzące od progenitury Upiora z Koguciego Zaułka.

Francja — na ogół biorąc mniej uprzywilejowana pod względem duchowym niż jej siostrzyca z tarczą i trójzębem — gładko staczała się po pochyłości drukując i wydając papierowe pieniądze. Ponadto korzystała w pełni ze światłego przewodnictwa chrześcijańskich duszpasterzy i wymyślała takie na przykład rozrywki, jak skazanie na obcięcie ręki, wyrwanie języka i spalenie żywcem pewnego wyrostka za to, że nie ukląkł podczas deszczu, aby oddać hołd procesji brudnych mnichów, która ciągnęła w polu widzenia, lubo oddalona o pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt jardów. Zapewne w dniu, gdy uśmiercano okrutnie owego męczennika, w lasach Francji i Norwegii rosły już drzewa, które Drwal—Przeznaczenie wybrał do ścięcia i przetarcia na deski, aby z desek powstała groźna i dobrze znana w historii maszyna składająca się z przenośnego rusztowania, noża i worka. Zapewne w szopach włóścian uprawiających gliniaste grunty w okolicach Paryża stały gdzieś wozy pokryte zastarzałym błotem, obwąchiwane przez świny, używane przez drób jako grędy — wozy, które Rolnik—Śmierć wyznaczył już furgony Wielkiej Rewolucji. Ale ów Drwal i Rolnik pracował w milczeniu, chociaż nieustannie, i stłumionych ich kroków nie łowiło niczyje ucho, a wszelkie słowa na temat ich domniemanej działalności uchodziły za wystąpienia bezbożne i zdradzieckie.

Tymczasem w Anglii stan porządku publicznego i bezpieczeństwa nie upoważniał do narodowej dumy. Śmiałe zbrojne włamania i uliczne rabunki zdarzały się w stolicy co noc. Władze publiczne

przestrzegali obywateli, by wyjeżdżając z miasta oddawali na przechowanie ruchomości. Rozbójnik nocny był za dnia kupcem, kiedy więc w roli „herszta bandy” zatrzymywał sąsiada, klienta i zostawał rozpoznany, odważnie strzelał w łeb napadniętemu i odchodził bez lęku. Pewnego razu siedmiu rabusiów urządziło zasadzkę na dyliżans; konduktor zastrzelił trzech, z sam zginął z ręki pozostałych czterech, ponieważ „wyczerpał zapas amunicji”; następnie złoczyńcy bez przeszkód dokonali rabunku. Lord Mayor Londynu został zatrzymany na Turnham Green przez pojedynczego bandytę, który ograbił wszechmocnego dygnitarza na oczach całej jego świty. W londyńskich więzieniach więźniowie staczali bitwy ze strażnikami, a majestat prawa narzucał posłuch stosując garłacze ładowane siekańcami i kulami. Na dworskich salonach złodzieje kradli najdostojniejszym lordom krzyże wysadzone brylantami. Szukając towarów z przemytu muszkietierowie wkraczali do Przytułku Św. Gilesa; tłum strzelał do muszkietierów, a muszkietierowie do tłumu i nikt nie widział w tych zdarzeniach nic osobliwego. Pośród takiego zamętu kat — ustawicznie zajęty, chociaż na nic nieprzydatny — bez wytchnienia pełnił swe zadania: raz brał na powrót długi szereg rozmaitego pokroju przestępców, innym razem wieszał w sobotę ujętego we wtorek włamywacza albo w więzieniu Newgate tuzinami wypalał piętna, albo na placu przed Pałacem Westminsterskim palił niełojalne broszury; dzisiaj pozbawiał życia zwyrodniałego mordercę, jutro włóczęgę—nędzarza, co ukradł sześć pensów parobkowi z farmy. Wszystko to i wiele jeszcze podobnych rzeczy działo się w roku pańskim tysięcznym siedemsetnym siedemdziesiątym piątym oraz w latach poprzednich i następnych. Drwal i Rolnik czynili swoje, chociaż nikt na nich nie baczył, a dwaj królowie o wydatnej dolnej szczęce i dwie królowe (jedna o szpetnym, druga o powabnym obliczu) kroczyli naprzód pewnym i dostojnym krokiem i mocno dzierżyli swoje od Boga dane prawa. Rok ów wiódł zatem ich króleskie moście, a wraz z nimi miliony pośledniejszych istot (w tej osobie i bohaterów naszej kroniki) rozlicznymi drogami.

ROZDZIAŁ II

DYLIŻANS

W piątkową noc pod koniec listopada gościniec do Dover ciągnie się przed pierwszą osobą, która ma w tej opowieści rolę do odegrania. Gościniec ciągnął się także za tym człowiekiem i za dylizans gdy ów piął się pod górę w okolicy Shooter. Człowiek szedł również pod górę w błocie obok dylizansu (podobnie jak pozostali pasażerowie) nie dlatego, aby nęciła go przechadzka, ale dlatego droga była stroma i grząska, zaś uprzęż i pojazd ciężkie. Konie zatrzymywały się już trzykrotnie, a raz stanęły w poprzek kolein, jak gdyby powodowane buntowniczym duchem próbowały zawrócić do Blackheath. Wszelako pocztylion i woźnica przy użyciu lejca i bata dowiedli wspólnymi siłami, że nie trudno podważyć słuszne skądinąd twierdzenie, jakoby zwierzęta posiadały rozum. Zapędzone skapitulowały i pokornie wrócił do roboty.

Ze zwieszonymi łbami i opuszczonymi ogonami konie szamotały się i ślizgały co chwila, jak gdyby nogi łamały się im w stawach. Ilekroć po krótkim odpoczynku woźnica zbierał wodze i powtarzał monotannie: „Wio! Hej! Wio!”, prawy lejcowy potrząsał głową i wszystkim, co się na niej znajdowało, jak gdyby powątpiewał o możliwości wywindowania ciężkiego wehikułu na grzbiet wzgórza. Ilekroć prawy lejcowy robił taki hałas, pasażer wzdrygał się (jak przystało zdenerwowanemu pasażerowi) i tracił wątek myślowy.

Pierzasta mgła zalegała wszystkie zagłębienia i leniwie wspinała się po stoku, niby zły duch, co szuka i znaleźć nie może wytchnienia. Lepka, przejmująco zimna mgła sunęła przez powietrze tumanami, które doganiały się wzajemnie i prześcigały na podobieństwo fal zmętniałego morza. Była wystarczająco gęsta, aby przed blaskiem latarni osłonić wszystko z wyjątkiem samego dylizansu i kilku jardów drogi. Opar ze zdronzonych koni łączył się z mgłą, co stwarzało złudzenie, że w taki właśnie sposób powstało całe wilgotne kłębowisko.

Oprócz interesującej nas osoby dwaj inni pasażerowie wlekli się obok pustego dylizansu. Wszyscy trzej byli okutani wyżej uszu, a na nogach mieli podróżne buty z cholewami. Żaden z nich nie potrafiłby określić, jak tamci dwaj wyglądają, gdyż liczne okrycia i szale kryły ich wzajemnie zarówno przed zmysłem wzroku jak przed oczyma wyobraźni. W owe lata podróźni byli na ogół trwożliwi i unikali przygodnych znajomości, bo na gościńcu każdy mógł być rabusiem lub cichym współnikiem rabusiów. Ta ostatnia możliwość wydawała się szczególnie prawdopodobna, gdyż w niemal każdym przydrożnym zajeździe lub szynku krył się ktoś (od samego pana oberżysty do ostatniego popychła ze stajni) pozostający na żołdzie tego czy innego herszta.

Takie mniej więcej niewesołe myśli snuł pocztylion dylizansu, który piął się pod górę w okolicy Shooter w piątkową noc pod koniec listopada roku tysiąc siedemset siedemdziesiątego piątego. Pocztylion stał na swojej grzędzie przymocowanej do tylnej części wehikułu, przytupywał dla rozgrzewki, a czujnym wzrokiem i niemniej czujną dłonią pieścił skrzynię na broń, gdzie nabita rusznica leżała na kilku nabitych pistoletach, te zaś spoczywały na podściółce z broni białej.

Niepokój pospolity w owych czasach towarzyszył zmierzającemu do Dover dylizansowi: pocztylion podejrzewał pasażerów, a pasażerowie pocztyliona i siebie nawzajem, wszyscy podejrzewali wszystkich, a woźnica pewien był jedynie koni i z czystym sumieniem mógł poprzysiąc na Stary i Nowy Testament, że nie nadają się do dalszej drogi.

— Hej! Wio! — wołał woźnica. — Wio! Raz, a dobrze! Na samą górę! Wio! Bodaj to wszyscy diabli! Alem się z wami namordował! Joe!

— Aha? — ocknął się pocztylion.

— Która godzina?

— Najmniej dziesięć po jedenastej.

— Do licha! Dziesięć po jedenastej, a my jeszcze pod Shooter. Hej! Wio! Bodaj to wszyscy diabli!

Prawy lejcowy dostał batem w chwili, gdy z powątpiewaniem potrząsał głową, szarpnął więc i pociągnął za sobą resztę zaprzęgu. Jeszcze raz dylizans przyspieszył, a długie buty zatupotały żywiej u jego drzwiczek. Gdy wehikuł stawał, pasażerowie zatrzymywali się i zbijali w gromadkę. Gdyby w takiej chwili którykolwiek zaproponował drugiemu wspólny spacer przed koźmi we mgle i ciemnościach, naraziłby się na to, że bez ostrzeżenia zostanie zastrzelony jako bandyta na publicznej drodze.

Ostatni zryw wciągnął pojazd na grzbiet wzgórza. Woźnica zatrzymał konie, aby dać im odpoczynek. Pocztylion zeskoczył ze swego miejsca chcąc sprawdzić hamulce przed zjazdem i otworzyć drzwiczki dla podróżnych.

— Tsss, Joe! — syknął ostrzegawczo woźnica.

— Co nowego, Tom?

Obydwaj zaczęli nasłuchiwać podejrzliwie.

— Powiedziałbym, że koń zbliża się klusem — oznajmił Tom.

— A ja powiedziałbym: galopem — uzupełnił Joe i opuściwszy posterunek przy drzwiczkach zwinnie skoczył na grzędę. — Panowie! Stać! Rozkazuję w imieniu króla! — zawołał odwołując kurek rusznicy i przyjął postawę obronną.

Pasażer, który ma w naszej opowieści niejaką rolę do odegrania, trzymał nogę na stopniu, dwaj pozostali następowali mu na pięty, gotowi szybko zająć miejsca. Po groźnym okrzyku pocztyliona pierwszy znieruchomiał z głową we wnętrzu pojazdu, drudzy stojąc na gościńcu. Wszyscy przenieśli wzrok najprzód z Joego na Toma, potem z Toma na Joego i nastawili uszu. Woźnica i pocztylion bacznie spojrzeli wstecz, a prawy lejcowy poszedł za ich przykładem nie wyrażając tym razem powątpiewania.

Cisza nocna była tym bardziej martwa, gdy umilkł tui i chrzęst ciężkiego wehikułu. Zdrożone konie dygotały lekko i drzenie to zdawało się udzielać dylizansowi, jak gdyby ów był nadal w ruchu. Serca podróżnych biły silnie, niemal dosłyszalnie, lecz wszystkie te odgłosy potęgowały jedynie milczenie przywołujące na myśl ludzi zdyszanych i powstrzymujących oddech, ludzi, któ rych krew pulsuje rytmem przyspieszonym od trwoźnego oczekiwania. Tętent galopującego konia zbliżał się szybko i coraz donośniej.

— Hej, tam! — huknął pocztylion najpotężniej, jak umiał. — Stój, bo strzelam!

Galop ustał raptownie, aż błoto zachlupotało, i w ciemnościach zabrzmiał głos mężczyzny:

— Czy to dylizans do Dover?

— Nic ci do tego, bracie — odkrzyknął Joe. — A ty coś za jeden?

— Czy to dylizans do Dover?

— Dlaczego pytasz?

— Mam interes do jednego pasażera. — Jakiego pasażera?

— Do pana Jarvisa Lorry.

Pasażer, który ma w naszej opowieści niejaką rolę do odegrania, zdradził niezwłocznie, iż usłyszał własne nazwisko. Pocztylion, woźnica i dwaj pozostali podróżni zerknęli nań nieufnie.

— Nie ruszaj no się, bracie — rzucił pocztylion pod adresem głosu dobywającego się z mgły — bo jak popełnię omyłkę, nie zdążę naprawić jej za twojego życia. Może pan Lorry sam porozumie się z tym człowiekiem.

— O co chodzi? — zapytał pasażer cokolwiek drżącym głosem. — Kto ma do mnie sprawę? Czy

to Jerry?

U licha — mruknął do siebie Joe. — Jeżeli to nawet Jerry, wcale nie podoba mi się jego chrypa. Stanowczo coś zanadto ochrypnięty.

— Tak, panie Lorry — odpowiedział głos.

— O co chodzi?

— Mam wiadomość dla pana. Od T. i Spółki. — Pocztylionie, znam tego posłańca — oznajmił pan Lorry schodząc ze stopnia, w czym pomogli mu (bardziej skwapliwie niż uprzejmie) dwaj towarzysze podróży, którzy błyskawicznie schronili się do wnętrza dyliżansu, zatrzasnęli za sobą drzwiczki i podnieśli okno. — Może się zbliżyć. Żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

— Może i nie grozi — mruknął znów do siebie Joe. — Ale nie jestem tego całkiem pewien. Hej! Ty!

— Hej! Ty! — powtórzył Jerry głosem jeszcze bardziej ochrypłym niż wprzód. — Czego chcesz?

— Możesz podjechać. Stępa! Rozumiesz? A jeżeli masz ostrze przy siodle, żebyś mi ich nie macał, bo się omylę i napakuję ci do łba ołowiu. Piekielny raptus ze mnie. Rozumiesz? No, zobaczymy zaraz, coś za jeden.

Z mglistych oparów wyłoniła się wolno sylwetka jeźdźca. Przystanął koło pasażera oczekującego przy drzwiczkach dyliżansu. Nachylił się w siodle i zerkając spode łba w stronę pocztyliona wręczył panu Lorry złożoną ćwiartkę papieru. Koń był spieniony, a bryzgi błota plamiły zwierzę i człowieka od podków do czubka kapelusza.

— Pocztylionie — odezwał się pan Lorry spokojnym, rzeczowym tonem.

— Słucham — odpowiedział zwięźle Joe nie odrywając palca od cyngla rusznicy a wzroku od podejrzanego posłańca.

— Nie grozi żadne niebezpieczeństwo — powtórzył pan Lorry. — Jestem pracownikiem Domu Bankowego Tellsonów. Musiałeś chyba słyszeć o Domu Bankowym Tellsonów w Londynie? W sprawach firmy wybieram się do Paryża. Pięć szylingów na piwo. Mogę to przeczytać?

— Oczywiście, skoro wielmożny pan tak uprzejmie prosi. Tylko szybko, jeśli łaska.

Pasażer rozwinął kartkę i przy świetle latarni dyliżansu przeczytał zrazu cicho, następnie zaś na głos:

— „Czekać w Dover na Mademoiselle." Hm, jak widzisz, pocztylionie, list nie jest długi. Jerry! Powtórz moją odpowiedź: WRÓCONY ŻYCIU.

— To diablo dziwna odpowiedź — mruknął ochryple Jerry prostując się w siodle.

— Powtórz ją tylko, a będą wiedzieli, że otrzymałem wiadomości tak niezawodnie, jak gdybym dał ci pokwitowanie na piśmie. No ruszaj! A nie oszczędzaj konia w powrotnej drodze. Dobrej nocy! Jerry.

Z tymi słowy pan Lorry odemknął drzwiczki i wgramolił się do dyliżansu bez pomocy pasażerów, którzy przezornie ukryli w butach sakiewki i zegarki, obecnie zaś udawali, że drzemią, sądząc, że wszystko inne jest ryzykiem.

Wehikuł znów ruszył ciężko pośród gęstych tumanów opadającej mgły. Pocztylion odłożył rusznicę do skrzyni na broń, uważnie zbadał wzrokiem zawartość tej skrzyni, zmacał tkwiące za pasem pistolety i wreszcie zajrzał do umieszczonej pod tylnym kozłem skrytki zawierającej nieco narzędzi, dwie pochodnie i puszkę z krzemieniem, hubką i krzesiwem. Dyliżans był wyposażony w to urządzenie, aby w wypadku gdy latarnie zawiodą z jakichś przyczyn, konduktor mógł zamknąć się we wnętrzu pojazdu i chroniąc słomę przed iskrami postarać się o światło w stosunkowo niedługim czasie (przy odrobinie szczęścia — nawet w ciągu pięciu minut).

— Tom — zabrzmiało cicho nad dachem wehikułu.

— Co powiesz, Joe?

— Słyszałeś tę odpowiedź?

— Słyszałem, Joe.

— Zrozumiałeś co, Tom?

— Nic, Joe.

— A to się dobrze składa — mruknął poczytliwie — bo i ja nic nie rozumiałem.

Tymczasem Jerry został sam pośród mgły i mroków. Zeskoczył z siodła nie tylko chcąc dać wytchnienie zdrożonemu koniowi, lecz również po to, by obetrzeć twarz i wylać co najmniej pół galona wody, która zebrała się w szerokim rondzie kapelusza. Przez chwilę stał z wodzami zarzuconymi na zbryzgane błotem ramię, a kiedy umilkł turkot dyliżansu i zaległa znów cisza nocy, odwrócił się i pieszo ruszył z góry.

— No, stara — mówił trochę do siebie, trochę do swojej klaczy — po takim galopie z Tempie Bar zaufam twoim nogom dopiero na równym gruncie. „Wrócony życiu"... Hm... Diabło dziwna odpowiedź. Oj, Jerry, Jerry! To całkiem nie w twoim guście. Gdyby wracanie do życia miało wejść w modę, ładnie by wyglądały, Jerry, twoje interesy.

ROZDZIAŁ III

CIE NIE NOCY

Wspaniały temat do rozważań daje zdanie, iż człowiek stanowi nieprzeniknioną zagadkę dla wszystkich innych ludzi. Ilekroć przybywam nocą do wielkiego miasta, ulegam posępnym myślom, bo, każdy z ciemnych, zabezpieczonych okiennicami domów kryje przecież własną tajemnicę, każdy pokój we wszystkich owych domach kryje własną tajemnicę, każde serce bijące w setkach tysięcy piersi jest pod wieloma względami tajemnicą nawet dla najbliższego mu serca. Ma to wymowę grozy, ma wymowę samej Śmierci! Nie wolno mi odwracać kart ulubionej księgi, którą kochałem i w swoim czasie spodziewałem się przeczytać do końca. Nie wolno spoglądać w bezdenne głębie wody, gdzie przy blaskach przelotnego światła widywałem niegdyś zatopione skarby i inne dziwy pogrzebane pod falami. Sądzonym było, że księga zamknie się na zawsze, gdy zdążę przebiec wzrokiem zaledwie stronicę. Sądzonym było, że woda zastygnie wiecznym lodem, gdy blaski rozjaśnią tylko jej powierzchnię, a ja zostanę na brzegu nieświadom sekretów. Mój przyjaciel nie żyje, mój sąsiad nie żyje, moja miłość, ukochanie mojej duszy, nie żyje. Śmierć umacnia i utrwala zagadkę, którą każda indywidualność nosi w swojej głębi i którą ja nosić muszę aż do końca moich dni. Czy jednak na licznych cmentarzach miasta moich codziennych wędrówek śpi ktoś w tajnikach swojej osobowości rów nie nieprzenikniony jak ja dla ruchliwych mieszkańców tego miasta albo też oni dla mnie?

Pod względem takiego przyrodzonego i godnego najgłębszej uwagi dziedzictwa konny posłaniec był równie bogaty jak król, jak premier, jak najzamożniejszy z londyńskich kupców. Podobnie rzecz się miała z trzema pasażerami zamkniętymi w ciasnym wnętrzu podskakującego na wybojach starego dylżansu. Wzajemnie stanowili dla siebie tajemnicę tak całkowitą, jak gdyby każdy podróżował samotnie sześcio— lub sześćdziesięciokonną karocą przedzieloną od najbliższej obszarem całego hrabstwa. Posłaniec wracał do Londynu swobodnym truchtem. Bardzo często wstępował do przydrożnych karczem, aby się napić, unikał wszakże rozmów, wolał osłaniać czoło kapeluszem i nie pokazywać co zresztą mogło im wyjść tylko na dobre — były bowiem czarne, pozbawione głębi w barwie czy może kształcie, osadzone wiele za blisko siebie, jak gdyby jedno obawiało się, że zostanie na czymś przyłapane, jeżeli oddali się zbyt od drugiego. Oczy te świeciły ponuro pod starym kapeluszem przypominającym trój graniastą spluwaczkę i nad ogromnym szalem, co osłaniając brodę i szyję służył niemal do kolan. Kiedy posłaniec wstępował do karczmy, aby się napić, unosił lewą ręką szala w chwili, kiedy prawą wlewał do ust trunek i niezwłocznie maskował się ponownie. Nie, nie, Jerry — mamrotał po drodze wracając ustawicznie o tego samego tematu. — To na nic! Nie dla ciebie interes. Całkiem nie godzi się z twoim fachem uczciwego rzemieślnika. Wrócony życiu! Słowo daję! Stary musiał nieźle pociągnąć z wieczora. Biedny posłaniec tak medytował nad dziwnym zdaniem, którym obarczono jego pamięć, że kilka razy uchylał kapelusza, aby podrapać się w głowę. Poza ciemieniem (wyłysiałym kępkami) włosy miał czarne, sztywne, najeżone, rosnące za nisko, prawie sięgające szerokiego, płaskiego nosa. Włosy te, jak gdyby kowalskiej poty, podobniejsze były do żelaznych kolców na szczycie muru niż do normalnej ludzkiej czupryny. Najwytrawniejszy gracz w "Barani skok" mógłby bez ujmy odmówić zabawy z panem Jerryem uważając słusznie, że trudno znaleźć na świecie osobnika, który ustanowi niebezpieczniejszą przeszkodę. Jerry człapał w stronę Londynu wioząc zlecenie, które miał powtórzyć dozorczy nocnemu drzemiącemu w swojej budce przed drzwiami Domu Bankowego Tellsonów niedaleko Tempie Bar, aby dozorca zaniósł je do wnętrza domu i powtórzył z kolei komuś nieporównanie ważniejszemu w

bankowej hierarchii. Cienie no< przybierały dla posłańca takie kształty, jakie nasuwało dziwaczne zdanie, a dla jego wierzchówki takie, jakie wynikały z jej osobistych powodów do niepokoju, które musiały być liczne, gdyż klacz boczyła się na widok każdego nowego cienia na gościńcu.

Tymczasem dyliżans odbywał nadal uciążliwą drogę i wioząc trzech towarzyszy podróży, z których każdy stanowił dla pozostałych zagadkę nie do rozwiązania, przechylał się, podskakiwał trzeszczał i turkotał. Dla pasażerów cienie nocy układały się również w kształty, jakie podpowiadały wyobraźni zaspane oczy i leniwe myśli.

Należy przyznać, że Dom Bankowy Tellsonów zajmował poczesne miejsce we wnętrzu starego wehikułu. Związany z tym bankiem pasażer siedział z ręką wsuniętą w rzemienną pętlę, dzięki czemu nie bombardował swoim ciężarem sąsiada i na szczególnie dotkliwych wybojach nie spychał go w przeciwny kąt głównego siedzenia. Drzemał, kiwał się z półprzymkniętymi oczyma i przy mdłym świetle latarni dyliżansu przenikającym przez małe okienka widział nie pękatą figurę towarzysza podróży, lecz Dom Bankowy Tellsonów, gdzie odbywały się wielkie transakcje. Chrząst upręży wydawał się dźwiękiem monet, a w ciągu pięciu minut kasa honorowała więcej strat i wypłaciła więcej pieniędzy, niż zdołała wypłacić w ciągu czasu trzykrotnie dłuższego mimo rozległych krajowych i zagranicznych stosunków starej firmy. Następnie pasażer zszedł do bankowych piwnic, gdzie otwarły się przed nim wszystkie znane mu (a znał ich bardzo wiele) okute i tajemne schowki. Z wielkimi kluczami w ręku pan Lorry spacerował po podziemiach i przy nikłym płomyczku świecy upewniał się, że skarbiec jest równie bezpieczny, pewny, nienaruszony i cichy jak w ten czas, gdy oglądał go po raz ostatni.

Jakkolwiek jednak bank prawie go nie opuszczał, a dylemat (niewyraźnie, niby ból złagodzony narkotykiem) towarzyszył stale, podróżny zdawał sobie sprawę z trzeciego nurtu wrażeń, który równoległe płynął pośród nocnych mroków. Pan Lorry wiedział, że musi odkopać kogoś z grobu, i wciąż go odkopywał.

Cienie nocy nie wyjaśniały, która z licznych pojawiających twarzy jest właściwą twarzą człowieka pogrzebanego. Ale wszystkie te twarze zdawały się należeć do czterdziestokilkolletniego mężczyzny, a różniły się między sobą głównie uczuciami, jakie wyrażały, i stopniem upiornego wyniszczenia. Duma, pogarda, upór, poddanie, rozpacz, pragnienie walki następowały kolejno, Podobnie odmieniały się zapadłe policzki, trupia cera, wychudłe ręce i palce. Atoli twarz była na ogół jedna i ta sama i zawsze ocieniały ją przedwcześnie posiwiałe włosy. Sto razy drzemający pasażer rzucał widmu pytanie:

— Kiedy cię pogrzebano?

— Blisko osiemnaście lat temu — brzmiała nieodmienna odpowiedź.

— Utraciłeś wszelką nadzieję, że będziesz kiedyś odkopany? — Od dawna.

— Wiesz, że zostałeś wrócony życiu?

— Tak ludzie mówią.

— A pragniesz żyć?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć.

— Czy mam ci ją pokazać? Czy chcesz pójść ze mną, aby ją zobaczyć?

Odpowiedzi na to ostatnie pytanie bywały rozmaite i nawzajem sobie przeczyły. Raz zdławiony głos szeptał:

— Poczekaj, zabić mnie może przedwcześnie z nią spotkanie. Innym razem potoki tkliwych łez towarzyszyły słowom:

— Prowadź mnie do niej. Albo wreszcie odpowiedź brzmiała tonem niepewności i zdumienia:

— Nie wiem, kim jest ONA. Nic nie pojmuję. Po takich urojonych dyskursach pasażer dyliżansu

począł wyobrażać sobie, że kopie, kopie, kopie — raz łopata, raz wielkim kluczem, raz gołymi rękoma — aby odgrzebać ową nieszczęsną istotę. Kiedy zaś znajdował ją wreszcie z twarzą i włosami umazanymi gliną, nagle rozsypywała się znowu w proch. Wdo cwczas pasażer budził się i opuszczał okno, aby realizmem deszczu i mgły ostudzić rozpłomienione policzki.

Ale nawet wtedy, gdy otwartymi oczami oglądał deszcz i mgłę i ruchome plamy świetlne z latarni, i przydrożny żywopłot umykający skokami — nawet wtedy nocne cienie z otwartej przestrzeni mieszały się z nocnymi cieniami z wnętrza dylizansu. Pojawiał się prawdziwy dom bankowy z okolic Tempie Bar, prawdziwe transakcje dnia ubiegłego, prawdziwe kasy i schowki pancerne, i posłaniec wysłany śladem dylizansu, i odpowiedź udzielona mu ustnie A pośród tego wszystkiego powstawała znowu upiorna twarz i rozmowa nawiązywała się od nowa:

— Kiedy cię pogrzebano?

— Blisko osiemnaście lat temu.

— A pragniesz żyć?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć.

Pan Lorry zaczął znowu kopać, kopać, kopać, póki niecierpliwy ruch jednego z towarzyszy podróży nie zwrócił mu uwagi, wypadaloby jednak podnieść okno. Wówczas siadał wygodnie wsuwał rękę w rzemienną pętlę i począł zastanawiać się dwoma uszonymi sąsiadami, którzy jednak wymykali się ryj z jego myśli i niknęli znów w banku i w grobie.

— Kiedy cię pogrzebano?

— Blisko osiemnaście lat temu.

— Utraciłeś wszelką nadzieję, że będziesz kiedyś odkopany.

— Od dawna.

Te właśnie słowa brzmiały mu wyraźnie w uszach — wyraźniej niż jakiekolwiek słowa, które słyszał w życiu — kiedy pan Lorry ocknął się i zobaczył, że rozproszyły się cienie nocy.

Opuścił okno i spojrział na brzask nowego dnia. Przed sobą miał szmat zoranego pola i pług pozostawiony tam, gdzie ubiegłego wieczora wyprzęgnięto konie. Dalej sterczała kępa drzew, na której pozostało jeszcze wiele płomiennoczerwonych i złocistożółtych liści Ziemia była wilgotna i chłodna, ale na czystym niebie słońce wschodziło jasno, pięknie i spokojnie. '

— Osiemnaście lat! — westchnął pasażer spoglądając na złocistą tarczę. — Zmiłuj się, miłosierny Stwórco dnia! Być pogrzebanym żywcem przez osiemnaście lat!

ROZDZIAŁ IV

PRZYGOTOWANIA

Przed południem dylizans przybył szczęśliwie do Dover i do hotelu Pod Królem Jerzym, gdzie zgodnie z przyjętym zwyczajem starszy portier otworzył drzwiczki wehikułu. Uczynił to z pewną ostentacją, jako że podróż z Londynu w czasie zimy uchodziła za czyn, którego wypada pogratulować śmiałym wędrowcom. Tym razem gratulacje mógł przyjąć tylko jeden śmiały wędrowiec, ponieważ inni zdążyli wysiąść na rozstajach najbliższych ich miejsc przeznaczenia. Zapleśniałe wnętrze dylizansu — ciemne, pełne wilgotnej, brudnej słomy i niemiłych zapachów — przypominało za dużą psią budę. Z budy tej wygrzebał się podobny do za dużego psa pasażer, pan Lorry — żalosna kombinacja zmiętego kapelusza, ubłoconych butów i licznych okryć upstrzonych słomą.

— Będę miał jutro statek do Calais? — zapytał.

— Tak, wielmożny panie, jeśli pogoda się utrzyma i wiatr dopisze. Około drugiej po południu, wielmożny panie, mamy sprzyjający odpływ. Przygotować łóżko, wielmożny panie?

— Do łóżka pójdę dopiero wieczorem, ale proszę o pokój i golarza.

— A następnie Śniadanko, wielmożny panie? Słucham wielmożnego pana. Tędy, jeśli łaska. Bardzo proszę. Pokój Zielony dla gościa! Piękny stamtąd widok na morze, wielmożny panie. Waliza gościa i gorąca woda do Pokoju Zielonego! Golarz do Pokoju Zielonego! No, ruszajcie się! Żywo! Niech tam któryś ściągnie gościowi buty w Pokoju Zielonym!

Pokój Zielony był z reguły przydzielany pasażerom dylizansu, a że pasażerów spowijały zawsze liczne szale i okrycia, pokój budził zaciekawienie, służby hotelowej, gdyż wchodzili tam ludzie bardzo do siebie podobni, wychodzili zaś zupełnie różni. I tym razem drugi portier, dwóch numerowych, kilka pokojówek i nawet sama gospodyni tkwili w rozmaitych punktach drogi między Pokojem Zielonym a salą jadalną, gdy na śniadanie kroczył sześćdziesięcioletni mężczyzna ubrany poprawnie w brązowy surdut (podniszczony, lecz starannie pielęgnowany) o szerokich czworokątnych mankietach i bardzo dużych patkach nad kieszeniami.

Starszy pan w brązowym surducie nie zastał w jadalni nikogo, usiadł więc za stołem przysuniętym blisko kominka. Czekał na śniadanie i siedział tak spokojnie, jak gdyby pozował do portretu, trzymając rękę prawą na prawym kolanie, lewą na lewym. Sprawiał wrażenie człowieka rozmiłowanego w porządku i unormowanym trybie życia, a wrażenie to potęgował jeszcze fakt, że zegarek pana Lorry tykał głośno pod obszerną kamizelką, jak gdyby przeciwstawiał swoją powagę i długowieczność przemijającej błyskotliwości ognia. Pan Lorry miał zgrabne nogi i zapewne był z tej racji trochę próżny, gdyż nosił ciasno opinające łydkę brązowe pończochy w najlepszym gatunku i trzewiki z klamrami, niedrogi wprawdzie, lecz kształtne i dobrej roboty. Na głowie miał dziwną, płaską perukę lnianej barwy, zrobioną prawdopodobnie z włosów lecz wyglądającą raczej tak, jak gdyby składały się na nią jedwabne lub szklane włókna. Koszula nie dorównywała elegancją pończochom, była wszakże tak biała, jak grzebienie fal rozbijających się o pobliską plażę lub żagle, których plamki jaśniały w promieniach słońca na odległej wodzie. Spod peruki wyglądała twarz chłodni i opanowana, lecz rozjaśniona parą oczu, które przez długie lata musiały niewątpliwie przystosowywać się do wyrazu powściągliwej godności obowiązującej w Domu Bankowym Tellsonów. Pan Lorry miał czerstwą, zdrową cerę, a liczne zmarszczki nie świadczyły bynajmniej o bolesnych przeżyciach. Należy przypuszczać, że stary kawaler, zaufany urzędnik szanownej firmy bankierskiej, zajmował się głównie cudzymi troskami, a cudze troski, podobnie jak używani garderoba, łatwe są do nabycia i zbycia.

Niebawem pan Lorry upodobił się jeszcze bardziej do osoby pozującej portreciście, gdyż zapadł w drzemkę, a zbudził się dopiero, gdy wniesiono śniadanie.

— Proszę przygotować pokój dla młodej damy, która może nadjechać w każdej chwili — powiedział do kelnera przysuwającego jego fotel do stołu. — Zapyta o pana Jarvisa Lorry lub po prostu o kogoś z Domu Bankowego Tellsonów. Proszę mnie zawiadomić o jej przybyciu.

— Słucham, wielmożny panie. Czy chodzi o Dom Bankowy Tellsonów z Londynu?

— Tak.

— Rozumiem, wielmożny panie. Często mieliśmy zaszczyt gościć panów z Domu Bankowego Tellsonów podczas ich podróży tam z powrotem między Londynem a Paryżem. Panowie z Domu Bankowego Tellsonów wciąż podróżują. Prawda, wielmożny panie?

— Tak. Jesteśmy firmą równie dobrze angielską, jak francuską.

— Rozumiem, wielmożny panie. Ale wielmożny pan osobiście nie podróżuje tak często. Prawda, wielmożny panie?

— Raczej rzadko. Ostatni raz przyjechaliśmy... to jest przyjechałem z Francji piętnaście lat temu.

— Naprawdę, wielmożny panie? Mnie tu jeszcze wtedy nie było ni naszych gospodarzy. Król Jerzy był wtedy w innych rękach.

— Tak mi się zdaje.

— Hm — ciągnął kelner. — Dom Bankowy Tellsonów prosperował chyba nie tylko piętnaście, ale i pięćdziesiąt lat temu?

— Możesz śmiało potroić te lata i powiedzieć sto pięćdziesiąt. Nie będziesz daleki prawdy.

— Niemożliwe, wielmożny panie!

Zdziwiony kelner wytrzeszczył oczy i szeroko otworzył usta, następnie zaś przewiesił serwetę z prawego ramienia na lewe, odstąpił krok i ustawivszy się w swobodnej pozie zaczął oglądać jedzącego i pijącego gościa, jak gdyby zafalował posterunek na wieży obserwacyjnej lub strażniczej. Takie zachowanie było naturalne i zgodne z obyczajami kelnerów wszystkich krajów i czasów.

Dokończywszy śniadania pan Lorry wybrał się na spacer wzdłuż plaży. Małe miasteczko Dover, rozciągnięte wąsko i krzywo, odwracało się od wybrzeża i niby struś morski chowało głowę w białe wapienne skały. Plaża była istnym kłębowiskiem spienionej wody i ruchomych głazów, a morze gospodarowało tam zgodnie ze swoimi upodobaniami, czyli trudziło się niszczeniem. Zaciekle szturmowało miasto, szturmowało skały i niby oszalałe burzyło ląd. Powietrze między domami cuchnęło przejmująco, jak gdyby chore ryby zanurzały się w nim ze względów leczniczych, na wzór chorych ludzi, którzy zanurzają się w słonej wodzie. Mieszkańcy miasta nie pracowali wiele. Za dnia trudnili się po trosze rybołówstwem w porcie, a nocami (zwłaszcza gdy przypływ sięgał szczytu) spacerowali po nabrzeżach i ciekawie spoglądali w stronę morza. Ni stąd, ni zowąd Wyrastały magnackie fortuny drobnych kupców nie prowadzących | właściwie żadnych interesów. Znamiennym i godnym uwagi był fakt, że nikt w Dover nie mógł bez obrzydzenia patrzeć na człowieka, który trudnił się zapalaniem ulicznych latarni.

W ciągu dnia powietrze było chwilami tak czyste, że odsłaniało widok na wybrzeża Francji, pod wieczór jednak zjawily się mgły i chmury, a wraz z nimi posępne myśli opadły znowu pana Lorry. Kiedy ściemniło się zupełnie i podróżny zasiadł przed kominkiem oczekując obiadu tak, jak oczekiwał śniadania, począł sobie wyobrażać, że znowu kopie, kopie, kopie — tym razem w żywej czerwieni węgla.

Poobiednia butelka dobrego francuskiego wina nie zaszkodziła kopaczowi, lecz zniechęciła go po trosze do urojonej pracy pośród szkarłatnego żaru. Próżnował już od dłuższego czasu i z zadowoloną miną — jak przystało starszawemu dżentelmenowi o rumianej cerze, który dopija butelki po

smacznym posiłku — napełniał ostatni kieliszek, gdy koła zaturkotały w wąskiej uliczce i jakiś pojazd wtoczył się z hałasem na hotelowy dziedziniec.

— Na pewno to będzie Mademoiselle — mruknął pan Lorry odstawiając nie tknięty trunek.

Nim upłynęło kilka minut, do jadalni wszedł kelner z wiadomością, że panna Manette przyjechała z Londynu i pragnie widzieć „wielmożnego pana” z Domu Bankowego Tellsonów.

— Tak zaraz? — zdziwił się „wielmożny pan” z Domu Bankowego Tellsonów.

— Tak jest, wielmożny panie. Panna Manette posiliła się gdzieśpo drodze. Nie życzy sobie obiadu. Powiedziała tylko, że pragnie pilno widzieć wielmożnego pana z Domu Bankowego Tellsonów, jeżeli nie sprawi tym zbyt wielkiego kłopotu.

„Wielmożny pan” z Domu Bankowego Tellsonów nie miał wyboru. Musiał ze zbolałą miną wypić ostatni kieliszek wina, naciągnąć lnianą perukę na uszy i ruszyć za kelnerem do apartamentu zajętego przez pannę Manette.

Był to obszerny mroczny pokój obity na pogrzebową modłę czarną włosiennicą i zastawiony ciężkimi stołami z brunatnego drewna. Meble te wypolerowano do tego stopnia, że dwie wysokie świece stojące na środkowym stole odbijały się we wszystkich blatach, jak gdyby płomyki były głęboko pogrzebane w grobowcach z ciemnego mahoniu i pokój mogły rozjaśnić dopiero wówczas, gdy je ktoś odkopie.

Mroki w tej izbie były tak gęste, że Jarvis Lorry krocząc niepewnie przez podniszczony turecki dywan sądził zrazu, iż panna Manette znajduje się w przyległym pokoju. Dopiero kiedy minął dwie wysokie świece, zobaczył nagle co najwyżej siedemnastoletnią pannę. Młoda dama oczekiwała widać gościa stojąc między środkowym stołem a ogniem na kominku. Miała jeszcze na sobie podróżną rotundę, a w palcach trzymała za wstążki podróżny kapelusik ze słomki. Pan Lorry objął wzrokiem niewysoką, ale kształtną i smukłą sylwetkę, gęstwą złocistych loków, błękitne oczy spoglądające nań ciekawie i czoło obdarzone dziwną na tak młody wiek właściwością, bo potrafiło układać się w fałdy, które nie wyrażając zmieszania, niepokoju, zdziwienia czy po prostu skupionej i uwag— miały w sobie po trosze ze wszystkich tych czterech wyrazów. Starszy pan spoglądał na piękną dziewczynę i nagle go uderzyło znaczne jej podobieństwo do dziecka, które tulił w ramionach podczas przeprawy przez ten sam Kanał, gdy rad siekł niemiłosiernie, a woda wzdymała się potężnymi falami. Wizja tego podobieństwa zniknęła jak ślad oddechu na tafli wiszącego za młodą damą lustro, gdzie procesja kalekich Murzynków pozbawionych głów, rąk lubo nóg niosła w niedorzecznych koszykach jakieś dary posępnemu czarnemu bóstwu płci niewieściej.

Pan Lorry ocknął się i złożył pannie Manette ceremonialny ukłon.

— Zechce pan spocząć?

Młody, czysty, przyjemny głos brzmiał cudzoziemskim akcentem, lecz akcentem ledwie dosłyszalnym.

— Całuję rączki pani — powiedział pan Lorry ze staroświecką galanterią, złożył ponownie ukłon i usiadł na fotelu.

— Wczoraj, proszę pana, otrzymałam z Banku list z wiadomością, że jakaś nowina... nowina albo raczej odkrycie...

— Nie chodzi o słowa, łaskawa pani. W danym przypadku każde słowo może być dobre.

— Odkrycie — podjęła panna Manette — tyczące skromnej puścizny po moim ojcu, którego nigdy nie widziałam... który umarł tak dawno...

Pan Lorry poprawił się na fotelu i rzucił stroskane spojrzenie korowodowi kalekich Murzynków, jak gdyby mniemał, iż w ich niedorzecznych koszach znajdzie jakiś koncept.

— ... czyni koniecznym mój wyjazd do Paryża — ciągnęła młoda dama — gdzie mam się

skontaktować z kimś z pracowników Banku, kto był tak dobry, że udał się tam specjalnie w mojej sprawie.

— To ja. — Spodziewałam się, proszę pana, że usłyszę taką odpowiedź. Dygnęła wdzięcznie (dobrze wychowane panienki dygały w owych czasach), jak gdyby w ujmujący sposób chciała dać do zrozumienia, iż zdaje sobie sprawę, że pan Lorry jest dużo starszy od niej i mądrzejszy. Pan Lorry jeszcze raz złożył ceremonialny ukłon.

— Odpowiedziałam Bankowi, że pojedę do Francji, jeżeli uważają to za wskazane ludzie dobrze poinformowani i zajmujący się łaskawie moimi sprawami. Ponieważ zaś jestem sierotą i nie mam bliskich, którzy mogliby mi towarzyszyć w drodze, będę serdecznie wdzięczna za opiekę godnego zaufania dżentelmena. Pan opuścił już wtedy Londyn, o ile mi jednak wiadomo, wysłano w ślad gońca z instrukcją, aby zechciał pan poczekać na mnie tutaj.

— Zaszczycem dla mnie było otrzymanie takiej misji — powiedział pan Lorry — a wywiązanie się z niej będzie prawdziwą przyjemnością.

Z serca dziękuję łaskawemu panu. Doprawdy, bardzo pan uprzejmy. W Banku powiedziano mi, że od pana dowiem się szczegółów, jak mnie z góry uprzedzono, bardzo dziwnych i nieoczekiwanych. Uczyniłam wszystko, by przygotować się stosownie, lecz muszę wyznać, że z wielką niecierpliwością oczekuję wyjaśnień.

— Rzecz zrozumiała... oczywista... — począł jąkać starszy pan — Otóż... otóż... Doprawdy, bardzo mi trudno zacząć — rzucił po chwili naciągając na uszy gładko uczesaną lnianą perukę. Nie zaczynał jakoś i wielce zakłopotany spoglądał w oczy dziewczyny. Panna Manette zmarszczyła czoło, a wyraz jej twarzy był dziwny, lecz nie tylko dziwny, ale i kobiecy, pełen czaru. Podniosła rękę, zawahała się na moment, jak gdyby pochwycić lub utrwalić chciała przelotny cień.

— Proszę, pana — odezwała się wreszcie, — Czy jest pan dla mnie człowiekiem zupełnie obcym?

— Jak pani sądzi? — Jarvis Lorry rozłożył szeroko ręce i uśmiechnął się zagadkowo.

Zmarszczka między brwiami nad idealnie kształtnym kobiecym noskiem pogłębiła się, gdy młoda dama siadała z wolna w fotelu, obok którego dotąd stała. Pan Lorry przyglądał się w milczeniu jej zdumieniu, lecz zaczął mówić w chwili, gdy znowu wzrok podniosła

— Panno Manette, jesteśmy w pani przybranej ojczyźnie, sądzę więc, że postąpię najrozumniej rozmawiając z drogą panią łak, jak mógłbym rozmawiać z młodą Angielką.

— Bardzo pan łaskaw. Słucham.

— Panno Manette. Jestem człowiekiem interesu. Powierzono mi sprawę, którą muszę załatwić. Proszę traktować moją osobę tak,

gdybym był gadającą maszyną, bo... bo właściwie nie jestem niczym więcej. A teraz niech droga pani pozwoli opowiedzieć sobie życiorys jednego z naszych klientów.

— Życiorys?

— Tak, jednego z naszych klientów — podjął szybko pan Lorry udając rozmyślnie, że nie dosłyszał słowa powtórzonego ze zdziwieniem przez dziewczynę. — W stosunkach bankowych znanych nazywamy klientami. Ów pan był Francuzem, uczonym, człowiek nieprzeciętnej miary... Był doktorem... lekarzem.

— Może w Beauvais?

— Tak, zgadła pani! Podobnie jak pani ojciec, doktor Manette, ten pan pochodził z Beauvais. Podobnie jak pani ojciec, dok Manette, cieszył się szerokim rozgłosem w Paryżu. Tam przypadł mi w udziale zaszczyt zawarcia z nim znajomości. Łączyły nas stosunki natury urzędowej, lecz raczej bliskie i oparte na wzajemnym zaufaniu. Pracowałem wówczas we francuskiej filii Banku, gdzie

spędziłem... hm... przeszło dwadzieścia lat.

— Wówczas, łaskawy, panie?... Wolno mi zapytać, o jakim okresie mowa?

— O okresie sprzed dwudziestu lat, kiedy ów lekarz poślubił pewną angielską damę. Pełniłem wówczas obowiązki jego plenipotenty. Widzi pani, interesy tego pana, podobnie jak interesy wielu innych Francuzów i francuskich rodzin, spoczywały całkowicie w rękach Tellsonów. W podobny sposób jestem lub byłem plenipotentem dziesiątków naszych klientów. To, proszę pani, stosunki czysto urzędowe. Nie ma w nich mowy o przyjaźni, o szczególnym zainteresowaniu ani tym bardziej o jakichś sentymentach. W ciągu życia poświęconego interesom przechodziłem w roli plenipotenty od jednego mocodawcy do drugiego, podobnie jak w ciągu dnia poświęconego interesom przechodzę w Banku od jednego klienta do drugiego. Krótko mówiąc, nie uznaję żadnych uczuć. Jestem maszyną, maszyną i niczym więcej. A zatem, panno Manette...

— Przecież to historia mojego ojca! — dziwna zmarszczka między brwiami pogłębiła się znowu i zwróciła w stronę starszego pana. — Zaczynam podejrzewać, że kiedy zostałam zupełną sierotą... bo moja matka przeżyła ojca ledwie o dwa lata... zaczynam podejrzewać, że to pan przywiózł mnie do Anglii. Tak! Jestem prawie pewna!

Mała, drżąca dłoń z zaufaniem wyciągnęła się do pana Lorry ten zaś ujął ją i ceremonialnie podniósł do ust. Następnie usadowił młodą damę w fotelu, lewą rękę złożył na jego oparciu, prawą zaś posługiwał się w rozmaity sposób. Raz tarł z zakłopotaniem podbródek raz naciągał na uszy perukę, raz podkreślał gestykulacją swoje słowa.

— Tak, panno Manette, to byłem ja! — rozprawiał nie odrywając wzroku od zapatrzonej w jego twarz dziewczyny. — Tym dokładniej upewni się pani, że o sobie mówiłem prawdę. Jestem zbawiony uczuć, a moje kontakty z bliźnimi ograniczają się do stosunków handlowych. Proszę się zastanowić. Przecież od tamtych czasów nic widziałem pani. Nie widziałem! Była pani pod opieką Domu Bankowego Tellsonów, ale ja miałem na głowie inne sprawy temu Bankowego Tellsonów. Uczucia. Dobrze sobie! Brak mi czasu na zajmowanie się uczuciami. Brak mi po temu okazji. Życie poświęcam obracaniu kolosalnego finansowego magła!

Po tej osobliwej definicji swoich codziennych zajęć pan Lorry przyglądał oburącz lniącej peruczce (niepotrzebnie zresztą, bo trudno było wyobrazić sobie coś gładszego) i stanął znów w poprzedniej pozie.

— Dotychczas, jak słusznie pani zauważyła, moje opowiadanie zgadzało się z historią pani nieodżałowanego ojca. Obecnie rozpoczną się różnice. Gdyby doktor Manette nie umarł w swoim czasie.. Proszę się nie bać... Pani drży!

Istotnie, młoda dama wzdrygnęła się i oburącz chwyciła dłoń pana Lorry

— Proszę — ciągnął starszy pan — proszę opanować wzburzenie — zdjął lewą rękę z oparcia fotela i pieszczotliwym ruchem pogładził drżące paluszki. — Wszak rozmawiamy o interesach... Jak więc mówiłem — błagalne spojrzenie dziewczyny tak zbiło go z tropu, że zaciął się i musiał rozpocząć ponownie. — Jak więc mówiłem, historia pani ojca byłaby zupełnie podobna do historii mojego nieszczęśliwego znajomego z Beauvais, gdyby Monsieur Manette nie rozstał się z tym światem, gdyby... Widzi pani, mój nieszczęśliwy znajomy nagle i bez rozgłosu zniknął albo raczej >stał uprowadzony. Nietrudno było zgadnąć, do jakiego potwornego miejsca, chociaż żadna moc ludzka nie była w stanie odszukać jego śladów. Widocznie miał pośród ziomeków wroga obdarzonego jednym z groźnych przywilejów, o których w dawnych czasach po tamtej stronie Kanału nawet najśmielsi bali się mówić bodaj szeptem: na przykład przywilejem wypełniania bezimiennych nakazów aresztowania, na podstawie których każdy mógł trafić w więzienne mroki na czas bliżej nieokreślony. Żona mojego nieszczęsnego znajomego błagała i zaklinała króla, królową, dwór i

duchownych o jakąkolwiek wiadomość... choćby o cień wiadomości... Wszystko na próżno. Gdyby doktor Manette...

— Błagam, niechaj mi pan powie więcej — wybuchnęła dziewczyna.

— Powiem. Właśnie się do tego sposobie. Czy zniesie pani wiele?

— Wszystko prócz niepewności, którą przed chwilą obudził par we mnie.

— Mówi pani spokojnie i widzę, że jest pani opanowana. To dobrze, bardzo dobrze — ton głosu i zachowanie pana Lorry wyrażały mniej zadowolenia niż jego słowa. — Rozmawiamy o interesach, o ważnej sprawie, którą trzeba załatwić. Otóż żona owego lekarza z Beauvais, dama o niepoślednim harcie ducha i odwadze wycierpiała tak wiele, zanim jej dziecię ujrzalo światło dzienne...

— To była córka? Prawda, panie Lorry?

— Tak... córka... Eee... Rozmawiamy o interesach... Spokoju, panno Manette... Spokoju... Przed jej narodzeniem biedna dama z Beauvais wycierpiała tak wiele, że postanowiła oszczędzić, córce mąk, których zaznała, i wychować ją w przekonaniu, że jej, ojciec nie żyje... Nie! Nie! Proszę nie klękać, panno Manette! Na miłość boską, dlaczego pani klęka przede mną?

— Proszę o prawdę! Dobry, litościwy panie, proszę o prawdę!

— Rozmawiamy... eee... o interesach. Pani mnie zawstydza, a zawstydzony nie potrafię załatwiać poważnych spraw klientów. Panno Manette, zachowujmy trzeźwy umysł! Ucieszyłbym się, gdyby łaskawa pani mogła mi zaraz powiedzieć, ile to będzie na przykład dziesięć razy po dziewięć pensów albo ile trzeba szylingów dwadzieścia gwinei? Uspokoiliby mnie to co do stanu pani nerwów.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, kiedy jednak dźwignął ją i ostrożnie usadowił w fotelu, siedziała bez ruchu, a jej palce przestały drzeć, co zbawiennie wpłynęło na usposobienie pana Lorry.

— Dobrze — powiedział. — Bardzo dobrze! Tak trzeba. Odwagi, panno Manette, spokoju. Rozmawiamy o interesach. Mamy do załatwienia interes... nic, tylko interes. Panno Manette, pani matka obrała wobec pani taką właśnie drogę. Do ostatniego dnia nie zaniechała rozpaczliwych poszukiwań, a gdy umarła, o ile mi wiadomo z wyczerpania nerwowego i rozpaczy, zostawiła panią dwuletnim dziecieniem. Pragnieniem jej było, aby pani rosła zdrowo, pięknie i szczęśliwie, aby życia pani nie ocieniała czarna chmura niepewności — owo dręczące pytanie: czy ojciec rychło szczeł w więzieniu, czy też gnije tam i cierpi od wielu lat.

Z tymi słowy pan Lorry spojrzal w dół i tklwym, współczującym wzrokiem objął złociste loki, jak gdyby obawiał się, że może już na nich dostrzec szron siwizny.

— Jak pani wiadomo — podjął — jej rodzice nie byli bogaci, a wszystko, co posiadali, zostało zabezpieczone na nazwisko pani matki lub pani. Ostatnio nie dokonano żadnego odkrycia tyczącego spraw pieniężnych czy majątkowych, ale...

Urwał nagle, gdyż palce dziewczyny silniej ścisnęły jego dłoń. Szczególny wyraz czoła, na który pan Lorry zwrócił uwagę już na początku rozmowy, jak gdyby zastygł, wypełnił się bólem i grozą.

— ... ale — ciągnął z wysiłkiem — ale odnaleziono jego. Żyje. Niewątpliwie jest bardzo zmieniony... Niewątpliwie... Może nawet stał się zupełną ruiną... Cóż, trzeba mieć nadzieję na najlepsze.

W każdym razie został przy życiu. Pani ojca umieszczono w Paryżu, w domu jego dawnego służącego. Tam właśnie jedziemy. Moim zadaniem będzie zidentyfikowanie doktora Manette, jeżeli to w ogóle możliwe. Pani ma przywrócić mu życie, miłość, pracę, odpoczynek, spokój, wygody...

Dreszcz, co wstrząsnął ciałem dziewczyny, udzielił się panu Lorry.

— Zobaczę upiora — powiedziała jak gdyby przez sen, głosem niskim, wyraźnym, nabrzmiętym grozą. — Tak. To nie będzie on, lecz jego widmo.

Starszy pan delikatnie pogładził dłoń nie zwalnającą z uścisku jego ręki.

— No, no, drogie dziecko, spokoju. Odwagi. Teraz wie już pani wszystko. Najlepsze i najgorsze. Jesteśmy w drodze do nieszczęśliwego, skrzywdzonego człowieka. Po krótkiej żegludze Kanałem i niewiele dłuższej podróży lądowej znajdzie się pani u boku drogiego ojca.

— Byłam wolna, byłam szczęśliwa, a jego duch nie nawiedzał mnie nigdy — powiedziała dziewczyna tym samym głuchym tonem, obniżonym niemal do szeptu.

— Jeszcze jedno, panno Manette, jeszcze jedno — podjął pan Lorry z naciskiem, który miał zwrócić uwagę młodej damy na jego j słowa. — Pani ojca znaleziono pod przybranym nazwiskiem, gdyż jego własne dawno poszło w niepamięć lub zostało zatajone. Obecnie bardziej niż niewskazaniem byłoby dociekanie, co się właściwie stało: czy pani ojca od lat zapomniano, czy też przez cały czas więziono go celowo. Wszelkie takie pytania byłyby bardziej niż niewskazane: byłyby niebezpieczne. Najlepiej nie poruszać te/go tematu nigdzie i w żaden sposób i, przynajmniej na razie, usunąć doktora Manette z Francji. Nawet ja, bezpieczny jako Anglik. nawet Dom Bankowy Tellsonów, tak ważny dla francuskich kredytów, unikamy wymieniania nazwisk w tej drażliwej sprawie. Nid mam przy sobie ani jednego odnoszącego się do niej świstka. Działamy tutaj niby w służbie szpiegowskiej. Wszystkie moje zapiski, całe listy uwierzytelniające streszczają się w jednej linijce pisma: „Wrócony życiu”, co naturalnie może oznaczać wszystko. Mój Boże! Co się stało? Panno Manette! Ona nie słyszy ani słowa

Dziewczyna siedziała sztywno, spokojnie. Nie pochyliła się nawet na oparcie fotela, lecz była nieprzytomna. Szeroko otwartymi oczyma spoglądała przed siebie, a na czole miała ten sam szczególny wyraz, jak gdyby wyrzeźbiony czy wypalony. Palcami ujmował dłoń pana Lorry tak mocno, że ów bał się wyzwolić z uścisku aby nie sprawić bólu dziewczynie. Nie poruszając się więc poczt głośno wzywać pomocy.

Wyprzedzając miejscową służbę do pokoju wbiegła niezwykle i niezwykle wzburzona niewiasta. Pan Lorry był przerażony i zaniepokojony, zdążył jednak dostrzec, że nowo przybyła sprawia ogólne wrażenie szkarłatu, gdyż ma rudoczerwone włosy, obcisłą purpurową suknię dziwaczного kroju, a na głowie przedziwny stroik podobny do wysokiej grenadierkiej bermycy lub bardzo dużego stiltonskiego sera. Niewiasta szybko ułatwiła panu Lorry wyswobodzenie się z uścisku palców zemdlonej, gdyż położyła mu na piersiach dużą, ogorzałą rękę i odepchnęła go w kierunku najbliższego kąta pokoju.

„Słowo daję! Chyba przebrany mężczyzna” — pomyślał starszy pan w momencie, gdy dech mu zaparło zderzenie ze ścianą.

— Aż wstrętnie na was patrzeć! — zagrzmiała niewiasta pod adresem służby hotelowej. — Nikt mi niczego nie przyniesie! Lepiej stać i gapić się na mnie, co? Znaleźli sobie ciekawe widowisko! No! Niechże się kto ruszy! Już ja wam pokażę, jak nie będzie tu zaraz soli trzeźwiących, zimnej wody i octu! Jazda! Prędko!

Służba rozbiegła się po wymienione wyżej medykamenty, a dziwaczna niewiasta ostrożnie ułożyła pacjentkę na sofie i zajęła się nią z wielką wprawą i delikatnością. Nazywała pannę Manette „moje złotko” i „moja ptaszyna”, a jej złociste loki gładziła pieszczotliwie, jak gdyby była z nich niezmiernie dumna.

— A pan, panie brązowy — fuknęła groźnie zwracając się do Jarvisa Lorry — nie mógł powiedzieć jej tego, co było do powiedzenia, i nie przerażać na śmierć biedactwa? O, niech pan spojrzy, jak jej pobladła ta śliczna buźka, jakie zimne ma rączki! Uważa pan, że tak się powinien zachowywać przyzwoity bankier?

Pytanie, na które niepodobna było odpowiedzieć, tak zbiło z tropu pana Lorry, że biedak mógł

tylko przyglądać się zemdlonej z pokornym współczuciem. Tymczasem rosła niewiasta odprawiła hotelowe pokojówki grożąc, że „pokaże im” (coś bliżej nieokreślonego), jeżeli będą dalej stać i gapić się na nią. Następnie stopniowo ocuciła pannę Manette i pieszczotą oraz prośbami skłoniła do wsparcia głowy o jej krzepkie ramię.

— Sądzę, że panna Manette niebawem odzyska siły — odezwał się pan Lorry.

— Jeżeli nawet odzyska, to nie dzięki panu, panie brązowy. Moje najmilsze śliczności!

— Mam nadzieję — podjął po kłopotliwej chwili pokornego współczucia — że będzie pani towarzyszyć pannie Manette w podróży do Francji.

— Także pomysł! — wybuchnęła rosła niewiasta. — Gdyby Opatrzność chciała skazać mnie na pływanie po słonej wodzie, nie pozwoliłaby mi chyba urodzić się na wyspie? Jak pan sądzi, panie brązowy?

Pan Jarvis Lorry umknął, aby zastanowić się spokojnie nad drugim, bardzo trudnym pytaniem osobliwej niewiasty.

ROZDZIAŁ V

WINIARNIA

Duża beczka wina upadła i pękła na ulicy. Wypadek zdarzył się przy wyładunku furgonu. Beczka potoczyła się i rozpadła, gdy obręcze puściły. Leżała teraz na jezdni, tuż koło drzwi winiarni, podobna do zdruzgotanej skorupy orzecha.

W bezpośrednim sąsiedztwie wszyscy przerwali pracę albo próżnowanie, żeby przybiec na miejsce i napić się wina. Kanciaste, niekształtne kamienie bruku sterczące na wszystkie strony, jak gdyby jedynym ich zadaniem było okulawianie wszelkich żywych istot, tamowały strumyki płynu i zbierały go w niewielkie kałuże. Nad każdą, zależnie od jej rozmiarów, mniejszy lub większy tłumek kłębił się i rozpychał łokciami. Mężczyźni klękali i dłońmi złożonymi na kształt warzachwi czerpali wino; pili lub podawali schylonym kobietom, aby zdążyły pokosztować, nim ciecz przesączy się między palcami. Inni — mężczyźni i kobiety — czerpali z kałuż wyszczerbionymi glinianymi kubkami albo moczyli w płynie zdjęte z niewieścich głów chustki, które następnie wyżymali do sucha nad ustami dzieci. Jedni budowali z błota małe nasypy, aby powstrzymać płynące potoczki. Inni, kierowani przez gapiów z okien na piętrach, biegali tu i ówdzie chcąc wykorzystać strumyczki ciekące w nowych kierunkach. Jeszcze inni zajmowali się beczką i z wielką satysfakcją wysysali lub nawet żuli odłamki klepek sine i przepojone gęstymi mętami. Ulica nie miała rynsztoków, którymi odpłynęłoby wino, toteż zebrano je całe, a wraz z nim tak wiele błota i śmieci, że ktoś nie obeznany z sytuacją mógłby uwierzyć w cudowne pojawienie się zmiataaczy.

Podczas winnych igraszek uliczka dźwięczała śmiechem i chórem donośnych, rozbawionych głosów męskich, niewieścich i dziecięcych. W swawoli tej nie było ordynarnej zawiści, lecz pogoda i coś w rodzaju życzliwego koleżeństwa. Każdy z zainteresowanych starał się z kimś stowarzyszyć, co zwłaszcza pośród weselszych i bardziej lekkomyślnych wiodło do żartobliwych uścisków rąk, pocałunków i toastów, a nawet zbiorowych tańców w kręgach po kilkanaście osób. Kiedy wiria zabrakło, a miejsca, gdzie go było najwięcej, dokładnie wygrabiono palcami — zbiegowisko rozproszyło się równie nagle i szybko, jak powstało. Człowiek, który porzucił piłę tkwiącą w kłocu opałowego drewna, puścił ją w ruch ponownie. Jakaś kobieta wróciła do zostawionego na schodach sieni garnka z gorącym popiołem, którego ciepło miało łagodzić szarpiące bóle reumatyczne jej samej lub jej dziecka. Ludzie o gołych ramionach, wyblakłych włosach i trupich twarzach, którzy na światło zimowego dnia wychynęli z piwnic, odeszli teraz, aby znowu zstąpić pod ziemię. Posępny mrok, bardziej tam stosowny niż słoneczna radość, ponownie spłynął na scenę.

Wino było czerwone i splamiło ziemię wąskiej uliczki na Przedmieściu Świętego Antoniego w Paryżu, gdzie zostało rozlane. Splamiło również wiele rąk i twarzy, wiele bosych stóp i drewnianych chodaków. Dłonie tracza znaczyły czerwonymi piętnami odpiłowane szczapy. Na czole kobiety z niemowlęciem w ramionach został krwawy ślad od mokrej szmaty, którą znowu owinęła głowę. Ci, co połakomili się na odłamki klepek, mieli koło ust tygrysie pręgi, a jakiś umazany w ten sposób żartowniś w długiej szlafmicy włożonej na bakier zanurzył palce w przesiąkniętym winem błocie i nagryzmolił na murze: KREW. Cóż, bliskie były czasy, kiedy i taki płyn miał splamić kamienie bruku i niejednego z tych ludzi naznaczyć szkarłatnym piętnem.

Na razie błogosławione oblicze Świętego Antoniego spowijała znów chmura przepędzona na krótko promykiem słonecznej radości. Ciężka to była chmura, czarna. Majestat świętego miał licznych dworzan — zimno, brud, chorobę, ciemnotę, nędzę; potężni to magnaci, a najniezwyklejszy ten wymieniony na ostatnim miejscu. Ludzie mieleni i przemielani w straszliwym młynie (nie tym

bajecznym, co starców odmieniał w młodości) znajdowali się wokół. Drżeli na każdym rogu, wychodzili z każdej sieni, wyglądali z każdego okna, przemykali trwożliwie odziani w podszyte wiatrem szmaty i łachmany. Ci ludzie przeszli przez młyn, co z młodości czyni starców. Dzieci miały zgrzybiałe twarze i poważne glosy, a na ich twarzach i na twarzach ludzi dorosłych, i w każdej zmarszczce albo bruzdzie dziadów powtarzał się i wracał ustawicznie jeden znak: GŁÓD. Był wszędzie, wszędzie władał. Głód wyglądał z wysokich domów pod postacią nędznej odzieży, co schła na żerdziach i sznurach. Głód patrzył z okien, gdzie wytłuczone szyby zastąpiono szmatami, słomą, deszczułkami i papierem. Głód wołał z każdej szczapy powiększającej szczupły stos napiłowany przez tracza. Głód zerkał z nie dymiących kominów i z ulicznego bruku, na którym pośród śmieci nie było resztek jedzenia. Głód był wypisany na półkach piekarni, gdzie leżało niewiele małych bochenków bardzo lichego chleba, i w jatce wystawiającej na sprzedaż cienkie kiełbaski z mięsa zdechłych psów. Kości głodu chrzęściły pośród kasztanów pieczonych w przenośnym piekarniku. Głód skwierczał na patelniach, gdzie w kilku kroplach starej oliwy smażyły się ziemniaki za parę groszy.

Wszystko dokoła godziło się z głodem, wszystko doń pasowało. Wąska, kręta uliczka pełna śmieci i smrodu łączyła się z siecią innych równie wąskich i krętych uliczek. Wszystkie były zaludnione przez motłoch w łachmanach i szlafmycach, wszystkie cuchnęły łachmanami i szlafmycami, wszystkie roiły się tłumem żywych istot o posępnym i chorowitym wyglądzie. Ale w upiornej atmosferze czuć było myśli dzikiego zwierza, co do ostatka wierzy, że może wyrwać się z matni. Pośród zapadłych, wygłodniałych oczu nie brakowało takich, co płoną żywym ogniem. Nie brakowało także zaciśniętych warg pobielających ód słów, które powstrzymują, nie brakowało czoł pomarszczonych jak szubieniczne sznury od rozważań o stryczku, na którym można zawisnąć albo innych wieszac. Szyldy wiszące nad niemal wszystkimi warsztatami czy sklepami stanowiły posępne ilustracje NĘDZY. Rzeźnik i masarz malowali najnędzniejsze ochłapy mięsa, piekarz tylko małe i liche bochenki chleba. Wyobrażeni nad winiarnią mężczyźni pijący wódek stołu pochylali się nad skąpymi miarkami wina albo piwa i zdawali się szeptać między sobą tajemniczo. Nic nie wyobrażało stanu kwitnącego z wyjątkiem narzędzi i broni, ale noże i siekiery płatnerza były połyskliwe i ostre, młoty kowala — ciężkie, a broń palna rusznikarza sprawiała naprawdę mordercze wrażenie. Krzywe kamienie bruku obfitującego w niewielkie zbiorniki błota i wody nie przechodziły w chodnik, lecz sięgały sieni domów. Rynsztok (który pominięto wyżej) biegł środkiem ulicy, ale woda płynęła nim jedynie po ulewnych deszczach i wtedy często wdzierła się do domów. Wzdłuż ulic w znacznych odstępach znajdowały się stare latarnie. Wiezorami latarnik opuszczał je, by zapalić, następnie zaś windował znowu przy pomocy liny i bloku. Wówczas liche knoty migotały mgliście i blado niby światła okrętu na morzu. Nie brak prawdy w tym porównaniu, 'bo Święty Antoni był jak zbłąkany okręt, którego załozce grozi niebezpieczeństwo burzy. Zamieszkujące tę dzielnicę strachy na wróble — głodne i bezczynne — od dawna przyglądały się pracy latarnika i stopniowo dojrzewał w nich pomysł udoskonalenia jego metod. Przychodziło im do głowy, że lampy można zastąpić ludźmi, których będzie się windować w górę przy pomocy bloku i liny, by świecili nad nędzą swoich bliźnich. Atoli czas ów nie nadszedł jeszcze. Rajskie ptaki odziane w barwne pióra i wywodzące słodkie trele nie słyszały i nie widziały ostrzeżeń, toteż wszystkie wiatry, co dęły nad Francją, szarpały ludzkie łachmany.

Winiarnia zajmowała sklep narożny i prezentowała się znacznie lepiej niż inne pobliskie przedsiębiorstwa, a jej właściciel ubrany w żółtą kamizelkę i zielone spodnie do kolan stał w progu i przyglądał się zbiegowisku z racji rozlanego wina.

— Nie moja strata — mruknął wreszcie. — Zawinili ludzie dostawcy. Przywiozą drugą beczkę.

W tej chwili spostrzegł wysokiego żartownisia piszącego swój żart na ścianie i zawołał pod jego adresem:

— Hej, Gaspard! Co tam wyrabiasz?

Drab wskazał napis i, jak to się często zdarza żartownisiom, zrobił wielce znaczącą minę, lecz spudłował kompletnie, co również zdarza się często żartownisiom.

— No i co? Uciekłeś ze szpitala wariatów? — burknął szynkarz i szybko przeciąwszy jezdnię zamazał dowcip garścią błota. — Co za sens paskudzić mury przy publicznej drodze? Powiedz no, nie znasz lepszych miejsc, w których warto wypisywać takie słowa?

Opuścił rękę (tę nie umazaną błotem) i przypadkiem lub rozmyślnie położył dłoń na sercu żartownisia, który zwinnie wyskoczył w górę i zrzuciwszy wierzgnięciem jeden chodak stanął w tanecznej pozie z owym chodakiem w rękę. Wyglądał w tej chwili na niebezpiecznego żartownisia o nienasyconym, można by rzec, wilczym apetycie.

— No dobrze, dobrze — skarcił go szynkarz. — Włóż trzewik i daj spokój przedstawieniu. A wino nazywaj winem. Rozumiesz?

Udzieliwszy tej rady wytarł zabłoconą rękę o ubranie żartownisia (co było sprawiedliwe, bo ubrudził się z jego winy), po czym przeciął znów jezdnię i zniknął za drzwiami winiarni.

Szynkarz ów był trzydziestoletnim mężczyzną o byczym karku, marsowej minie i niewątpliwie ognistym temperamentem, bo mimo chłodu surdut zarzucił tylko na ramiona. Rękawy koszuli miał podwinięte, a krzepkie śniade ręce obnażone do łokci. Na głowie nie nosił też niczego prócz z lekka falujących, krótko przystrzyżonych ciemnych włosów. Był brunetem o ciemnej cerze, a oczy miał duże, wyraziste i rozstawione szeroko jak u ludzi śmiałych. Sprawiał wrażenie prawdziwego mężczyzny o pogodnym, lecz stanowczym usposobieniu, człowieka silnej woli, świadomego swoich celów, człowieka, którego niebezpiecznie spotkać, gdy biegnie przesmykiem między przepaściami, bo nic nie potrafi zawrócić go z drogi.

Madame Defarge, żona szynkarza, siedziała w winiarni za ladą, kiedy jej mąż wrócił z ulicy. Była to tęga kobieta mniej więcej w wieku męża. Miała bystre oczy, które rzadko zdawały się patrzeć na cokolwiek, duże dłonie, wiele pierścionków na palcach, stanowczą twarz o grubych rysach i nadzwyczaj opanowane maniery. Madame Defarge była wrażliwa na chłód, otulała się więc futrem, a głowę okręcała kilkoma jaskrawymi szalami, nie tak jednak dokładnie, by zasłonić duże kolczyki. Przed nią leżała robota na drutach, opuszczona chwilowo, gdyż Madame Defarge czyściła zęby wykałaczką. Była całkowicie pochłonięta tą czynnością i prawy łokieć podtrzymywała lewą dłonią. Nie odezwała się, kiedy ujrzała przed sobą małżonka i władcę, tylko zakasłała dyskretnie i odrobinę szerzej rozchyliła powieki o gęstych czarnych rzęsach. Ta kombinacja sygnałów miała oznaczać, że Monsieur Defarge powinien rozejrzeć się po sali, bo podczas jego nieobecności klientela powiększyła się o kogoś obcego.

Posłuszny szynkarz powiódł dokoła wzrokiem i w kąciku spostrzegł starszawego dżentelmena, który dotrzymywał, kompanii młodej pannie. W winiarni nie brakło innych gości, dwaj grali w karty, dwaj inni w domino, trzech stali przed ladą i bez pośpiechu sączyli skąpe miarki wina. Monsieur Defarge wszedł za ladę i w tym momencie zauważył, że starszawy dżentelmen spojrzał na młodą pannę z taką miną, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Oto nasz człowiek,

— A cóż, u diabła, wy tutaj robicie? — mruknął do siebie Monsieur Defarge. — Nie znam was, Udawał jednak, że nie dostrzega obcej pary, i przyłączył się do rozmowy trzech klientów popijających przy ladzie.

— Co słyhać, Jakubie? — zagadnął jeden z nich szynkarza. — Rozlane wino wychłęptane?

— Do ostatniej kropelki, Jakubie,

Słyszając tę wymianę imion Madame Defarge, która nadal czyściła zęby wykałaczką, po raz drugi zakasłała dyskretnie i odrobinę szerzej rozchyliła powieki.

— Rzadko się zdarza— podjął drugi klient zwracając się również do Defarge'a — by takie bydlę zaznało smaku wina albo czegośkolwiek z wyjątkiem razowego chleba i śmierci. Prawda, Jakubie?

— Prawda, Jakubie — powtórzył gospodarz.

Madame Defarge troskliwie wykuwala zęby, lecz po drugiej wymianie imion znowu zakasłała dyskretnie i odrobinę szerzej rozchyliła powieki.

Trzeci z klientów odstawił pusty kubek i powiedział z kolei, co miał do powiedzenia:

— Hm, tym gorzej! Bydlę ma zawsze w ustach gorzki smak niesłodki pędzi żywot. Może nie mam racji, Jakubie?

—Masz rację, Jakubie— padła odpowiedź twierdząca.

W chwili kiedy Madame Defarge odkładała wykałaczkę, trzecia wymiana imion skłoniła ją do zupełnego otwarcia oczu i poruszenia się na krześle, aż spódnice zaszeleściły.

— Bodaj to lichy! Zapomniałem — mruknął Monsieur Defarge. — Panowie, moja żona..

Trzej klienci zdjęli kapelusze i zamasyście ukłonili się małżonce gospodarza, ta zaś odpowiedziała lekkim pochyleniem głowy i wymownym spojrzeniem. Następnie od niechcenia przebiegła wzrokiem salkę, ujęła w, ręce robotę na drutach i poświęciła się jej z wielkim skupieniem i spokojem ducha.

— Żegnam panów. Moje uszanowanie — powiedział szynkarz nie odrywając wzroku od żony. .

— Urządzony po kawalersku pokój, o który dopytywali panowie, kiedy stąd wychodziłem, można obejrzeć w każdej chwili. Znajduje się na piątym piętrze, a drzwi na klatkę schodową są po lewej stronie podwórka, o, tutaj —dodał wskazując kierunek ręką — tuż obok okna mojego zakładu. Ach, prawda! Teraz sobie przypominam. Jeden z panów był tam już w swoim czasie, może więc wskazać drogę. Moje uszanowanie. Żegnam panów.

Klienci zapłacili za wino i bez pośpiechu wyszli z winiarni. Defarge przyglądał się bacznie żonie i jej robocie na drutach, gdy nieznanemu starszemu panu opuścił swój kącik i poprosił gospodarza o kilka głów na osobności.

— Z miłą chęcią, łaskawy panie— odparł szynkarz i spokojnie powiódł go kilka kroków w stronę, drzwi.

Rozmowa była krótka, lecz niewątpliwie bardzo rzeczowa. Już po pierwszych słowach gospodarz wyprostował się i począł słuchać ze skupieniem. Nim upłynęła minuta, twierdząco skinął głową i wyszedł na ulicę, a starszy dżentelmen wezwał gestem młodą pannę i wraz z nią pospieszył śladem gospodarza. Pani Defarge zwinnie poruszała drutami. Czoło miała zmarszczone i wzrok opuszczony. Zdawała się nie widzieć nikogo i niczego.

Opuściwszy winiarnię pan Jarvis Lorry i panna Manette spotkali się z gospodarzem przy drzwiach, które tak niedawno wskazywał trzem swoim klientom. Z małego cuchnącego podwórka wiodły one na klatkę schodową wspólną dla kilku wysokich kamienic zamieszkałych przez znaczną liczbę, lokatorów. W mrocznej, brukowanej ceglami sieni u stóp brudnych ceglanych stopni Monsieur Defarge przykląkł na jedno kolano i podniósł do ust dłoń córki dawnego pana. Był to pokłon uniżony, lecz oddany bez uniżoności, a co więcej, w ciągu kilku sekund Monsieur Defarge zmienił się uderzająco. Przestał się uśmiechać i straciwszy pozory dobrotliwej pogody Stał się człowiekiem tajemniczym, gniewnym, niebezpiecznym.

— Bardzo to wysoko i droga dosyć niewygodna. Radzę zaczynać powoli — rzucił opryskliwie pod adresem pana Lorry, gdy zaczęli wspinać się na schody.

— Czy on jest sam? — szepnął pan Lorry.

— Pewnie, że sam. Na Boga, a któż miałby z nim siedzieć? — odparł szynkarz równie cichym głosem.

— Zawsze jest sam?

— Tak.

— Z własnej woli?

— Z konieczności. Był sam, kiedy mnie odnaleźli i zapytali, czy chcę wziąć go do siebie i przez wzgląd na własne bezpieczeństwo trzymać język za zębami. Wtedy był sam. Tak i zostało.

— Czy jest bardzo zmieniony?

— Zmieniony!

Defarge przystanął, aby uderzyć pięścią w ścianę dorzucając okropne przekleństwo. Żadna bezpośrednia odpowiedź nie mogłaby być bodaj w połowie tak wymowna. Panu Lorry było coraz ciężej na duchu, w miarę jak on i para jego towarzyszy wspinali się wyżej i wyżej.

Podobna klatka schodowa i jej akcesoria nieodłączne w starszych i bardziej zaludnionych dzielnicach Paryża byłyby wystarczająco niemiłe nawet dzisiaj, a w owe lata stanowiły ciężką próbę dla osób nieprzywykłych i mniej zahartowanych. Wszystkie komórki w zatechłym ulu wysokiej kamienicy (czyli izba lub izby za każdymi drzwiami wiodącymi na wspólne schody) wyrzucały na własny podest te nieczystości, których nie wylewały przez własne okna. Powstałe w ten sposób gnijące stosy odpadków mogły całkowicie skazić powietrze, gdyby nawet nie zatruwały go nieuchwytnie wyziewy ubóstwa i głodu. Obydwa te plugawe źródła połączone razem były nie do zniesienia. W takiej atmosferze, jak w szybie wypełnionym brudem i zgnilizną, wiodła pod górę stroma droga. Pan Jarvis Lorry dwa razy zatrzymywał się i odpoczywał ulegając własnemu niepokojowi i wzburzeniu swej młodej towarzyszki, które wzmagало się z minuty na minutę. Obydwa te postoje miały miejsce przy zakratowanych otworach, którymi zdawały się uchodzić ostatnie resztki nieskażonego powietrza, napływać zaś — cuchnące wyziewy podwórka. Przez zardzewiałe żelazne pręty czuło się raczej, niż widziało, obrzydliwe okolice domu i zdawać się mogło, iż nic bliższego i niższego niż bliźniacze wieżycy Katedry Panny Marii nie zapowiada zdrowego życia i możliwości oddechu pełną piersią. Na koniec wędrowcy znaleźli się, na szczycie schodów i przystanęli po raz trzeci. Wyżej ciągnęło się jeszcze jedno piętro stopni, węższych i bardziej stromych, wiodących na poddasze. Właściciel winiarni, który dotychczas szedł zawsze nieco na przedzie i po stronie pana Lorry, jak gdyby obawiał się pytań młodej damy, przystanął tutaj i znalazł klucz w kieszeni zarzuconego na ramiona surduta.

— Co to znaczy, przyjacielu? — zapytał zdziwiony pan Lorry. — Czy drzwi są tam zamknięte?

— Aha — odburknął posępnie Monsieur Defarge. — Zamknięte.

— Czy uważa pan za konieczne trzymać w odosobnieniu tego nieszczęsnego człowieka?

— Uważam za konieczne przekręcać klucz w zamku — szepnął szynkarz do ucha starszemu panu i zrobił jeszcze bardziej ponurą minę.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Bo tak długo żył pod kluczem, że przeraziłby się... oszalał... poszarpał się na sztuki... Nie wiem, co by sobie zrobił, gdyby drzwi zostały otwarte.

— Czy to możliwe? — zdumiał się pan Lorry.

— Czy to możliwe? — powtórzył z goryczą Defarge. — Tak.

Na pięknym świecie żyjemy, skoro to jest możliwe i możliwe są inne podobne rzeczy, Ba! Nie tylko są możliwe, ale robi się je. Robi! Rozumie pan? Co dnia, pod tym niebem. Niech żyje Szatan! No, idziemy.

Cały ów dialog został przeprowadzony szeptem, by ani jedno słówko nie dosięgło uszu młodej damy. Mimo to jednak dziewczyna drżała ze wzruszenia, a jej twarz wyrażała tyle obaw, niepokojów i grozy, że pan Lorry uważał za wskazane skierować pod jej adresem kilka słów otuchy.

— Odwagi, panno Manette, odwagi. Przecież załatwiamy interes. Jeszcze chwila, a najgorsze będzie za nami. Wystarczy otworzyć drzwi izdebki na poddaszu i wszystko minie. Później zacznie się szczęście, spokój ukojenia,; wszystko, najlepsze, co pani mu zaofiaruję. Może nasz zacny przyjaciel podtrzyma panią z drugiej strony. O, tak, Defarge, W porządku. No, idziemy. Załatwiamy interes, panno Manette. Tylko interes.

Wspinali się pod górę wolno i cicho, a że schodki były niedługie — rychło sięgnęli ich szczytu. Tam, za ostrym zakrętem, ujrzeli nagle trzech mężczyzn, którzy schyleni, zbici w ciasną grupkę stali opodal zamkniętych drzwi i ciekawie zaglądali do izby przez jakieś szpary czy szczeliny. Na dźwięk bliskich kroków wszyscy wyprostowali się i odwrócili. Okazało się wówczas, że są trzema Jakubami, co niedawno pili wino w szynku.

— Tak zaskoczyła mnie wizyta państwa, że na śmierć o nich zapomniałem — wyjaśnił sytuację Monsieur Defarge. — Moi drodzy, zostawcie nas samych. Mamy tu ważną sprawę do załatwienia.

Jakubowie wyminęli nowo przybyłych i bez słowa zsunęli się kolejno po stromych schodach. Ponieważ na poddaszu nie było innych drzwi, a Defarge zbliżył się do tych, od których przed chwilą odeszli trzej mężczyźni, pan Lorry spytał szeptem, lecz w tonie rozdrażnienia:

— Wystawia pan na pokaz doktora Manette?

— Pokazuję go w sposób, jaki pan dopiero co widział, i to tylko niewielu wybranym.

— Czy to wskazane?

— Wydaje mi się, że wskazane.

— Co to za „wybrani” i jak ich pan wybiera?

— Wybieram prawdziwych ludzi noszących moje imię... Mnie wołają Jakub, proszę łaskawego pana. Myślę, że niejednemu na dobre wyjdzie taki widok. Na razie starczy. Pan jest Anglikiem. Nie rozumie — pan tego. Proszę zaczekać chwilę, jeżeli łaska.

Rozkazującym gestem powstrzymał towarzyszy, nachylił się i przez otwór w ścianie zajrzał do izby. Następnie wyprostował się i trzykrotnie uderzył pięścią w drzwi, po ta jedynie, by narobić hałasu. Niewątpliwie w tym samym celu kilka razy przeciągnął kluczem po futrynie, zanim z chrzęstem wsunął go w zamek i przekręcił najgłośniej, jak to było możliwe.

Drzwi otworzyły się powoli do wnętrza izby, a Monsieur Defarge zajrzał do środka i coś powiedział, na co zabrzmiał głos stłumiony i słaby. Gały dialog trwał bardzo krótko, jak gdyby strony wymieniały tylko jednosylabowe słowa. Potem Defarge obejrzał się przez ramię i skinął na czekających. Pan Lorry otoczył ramieniem kibić dziewczyny i podtrzymał ją mocno, gdyż zorientował się, że słabnie.

— To... to... po prostu... interes... — wyjąkał, chociaż po policzkach spływały mu krople nie pasujące zgoła do człowieka interesu. — Wejdźmy już... wejdźmy...

— Boję się — szepnęła rozdygotana dziewczyna.

— Czego?

— Jego. Własnego ojca.

Przywiedziony do ostateczności stanem nerwów młodej damy i przyzywającymi gestami przewodnika, pan Lorry zarzucił na szyję ramię, które dotychczas ujmował, podniósł półprzytomną dziewczynę i wraz z nią wkroczył do pokoju, gdzie posadził ją na stołku, niemal we drzwiach. Panna Manette skuliła się i mocno przywarła do opiekuna.

Defarge wziął znów do ręki klucz, zatrzasnął drzwi, zamknął je od wewnętrznej strony, wyjął

klucz i stanął trzymając go w ręku. Wszystko to uczynił bez pośpiechu i przy akompaniamencie donośnego szczękania i brzęku. Wreszcie mierzonym krokiem pomaszerował w głąb izby pod małe okienko, aby zatrzymać się tam i nachylić.

Na poddaszu przeznaczonym początkowo na skład drewna opałowego i rozmaitych rupieci panował posępny mrok, gdyż okno było właściwie otworem w szczycie dachu wyposażonym w blok do windowania ciężarów wprost z ulicy. Było nie oszkłone i otwierało się pośrodku, jak dwuskrzydłowe drzwi we francuskich domach. Dla ochrony od zimna jedna połowa była zamknięta, druga uchylona nieznacznie, skutkiem czego do wnętrza przenikało tak mało światła, że po wejściu nic tam nie było widać. Tylko długie przyzwyczajenie mogło pozwolić na wykonywanie w podobnych ciemnościach pracy wymagającej jakiejś takiej dokładności. A przecież ktoś pracował na tym strychu, bo siwowłosa mężczyzna zwrócony plecami do drzwi a twarzą w stronę okna (pod którym stał teraz i przyglądał mu się Monsieur Defarge) siedział na niskiej ławie pochylony do przodu i bardzo zajęty robieniem trzewika.

ROZDZIAŁ VI

SZEWEC

— Dzień dobry — odezwał się Defarge spoglądając z góry na białą głowę pochyloną nad warsztatem szewskim.

Głowa uniosła się na moment i słaby, jak gdyby bardzo daleki głos odpowiedział na powitanie: — Dzień dobry.

— Jak widzę, wciąż pan ciężko pracuje.

Po długiej chwili głowa uniosła się znowu, a głos wyszeptał:

— Ta—ak... Pracuję.

Tym razem zapadłe, mgliste oczy spojrzały na szynkarza, nim twarz schyliła się ponownie.

Ów głos budził litość i grozę, był bowiem słaby, lecz nie fizycznym osłabieniem, choć niewątpliwie zamknięcie i nędzny wikt zrobiły swoje. Głuchy ton mowy wskazywał, iż jej słabość przypisać należy samotności i długoletniemu nieużywaniu, gdyż brzmiała ona jak gdyby echem dźwięków, które zamilkły już dawno, bardzo dawno. Mowa ta utraciła pełnię życia i melodię ludzkiego głosu, a wywierała wrażenie podobne do wyblakłej plamy pozostałej na miejscu wyraźnej niegdyś i pięknej barwy. Można było sądzić, że zapadła głęboko i odzywa się spod ziemi, że należy do istoty pogiębionej i nieszczęśliwej. W zbliżony sposób wędrowiec zabłąkany na pustyni mógłby wspominać dom i bliskich, zanim położy się, by skonać.

Przez kilka minut starzec pracował w milczeniu, potem znów uniósł mętne, zapadłe oczy. Nie było w nich zainteresowania ni ciekawości, tylko tępe zdziwienie, że miejsce, na którym stał przed chwilą jedyny widoczny gość, nie opustoszało dotychczas.

— Chciałbym — podjął Monsieur Defarge nie odrywając wzroku od szewca — chciałbym wpuścić trochę światła. Czy zniesie pan blask?

Starzec odłożył młotek. Spojrzał na podłogę — najprzód w prawo, potem w lewo — wreszcie zmierzył wzrokiem szynkarza. Minę miał półprzytomną, otępiałą.

— Co pan powiada?

— Pytałem, czy pan zniesie blask?

— Muszę znieść, jeżeli trzeba — odpowiedział szewc z ledwie dosłyszalnym akcentem na pierwszym wyrazie zdania.

Uchylona połowa okiennicy otwarła się nieco szerzej. Na poddasze wtargnął złocisty promień dziennego światła ukazując wyraźnie starca, który przerwał pracę i zastygł bez ruchu z nie dokończonym trzewikiem na kolanach. Kilka prostych narzędzi skrawków rozmaitej skóry leżało na polepie u jego stóp i przed nim na ławie.

Szewc miał, białą brodę — zmierzwioną, lecz niezbyt długą — wynędzniałą twarz i dziwnie jasne oczy. Przy zakłęsłej chudej twarzy oczy te mogłyby pozornie wydawać się duże. Ale naprawdę były duże, a pod ciemnymi jeszcze brwiami i spadającymi na czoło siwymi kosmykami sprawiały wrażenie nadnaturalnie wielkich. Żółta koszula była w strzępach, a jej rozpięty kołnierz odsłaniał zwiędłą, bezbarwną skórę. Człowiek, jego stary płócienny Spencer, rozciągnięte pończochy i inne niechlujne części podartej garderoby — wszystko to przez długie lata nie miało bezpośredniej styczności ze światłem, toteż wyblakło do nieokreślonej pergaminowej barwy i utworzyło jak gdyby jedną całość.

Starzec podniósł rękę, by osłonić oczy przed blaskiem, i w świetle dnia nawet kości jego dłoni wydały się przezroczyście. Siedział bez ruchu nad nie dokończoną robotą. Ilekroć zwracał spojrzenie

na pochylonego nad sobą szynkarza, zerkał wprzód ha podłogę po prawej i lewej stronie. Ilekroć próbował odpowiedzieć na pytanie, rozglądał się w podobny sposób i urywał w pół słowa, jak gdyby nie kojarzył dźwięku z miejscem lub zapominał końca rozpoczętego

— Skończy pan dzisiaj trzewiki? — zapytał Defarge dając panu Lorry znak, aby się zbliżył.

— Co pan powiada?

— Pytam, czy skończy pan dziś trzewiki?

— Może i skończę... Chyba tak... Nie wiem... — Pytanie przypomniało mii widać rozpoczętą robotę, bo szybko pochylił się nad warsztatem.

Pan Lorry zostawił przy drzwiach swoją towarzyszkę, cicho postąpił naprzód i zatrzymał się u boku szynkarza. Po dwóch lub trzech minutach starzec uniósł znów wzrok i spojrzał na nową osobę. Twarz jego nie wyraziła zainteresowania ani zdziwienia, lecz drżąca ręka powędrowała na moment do ust zdradzając, że wargi i paznokcie mają ten sam ołowianoszary kolor. Potem dłoń opadła i głowa pochyliła się nad warsztatem.

— Ma pan gościa — oznajmił rzeczowo Defarge. — Co pan powiada?

— Przyszedł ktoś w odwiedziny. Widzi pan?

Starzec znów uniósł wzrok nie przerywając pracy. Milczał.

— Proszę posłuchać — ciągnął szynkarz. — Ten pan zna się na szewskiej robocie. Potrafi ocenić bucik zrobiony jak należy. Proszę mu podać trzewik. Pan będzie łaskaw wziąć — dodał zwracając się do pana Lorry, który z wahaniem ujął w rękę nie dokończony trzewik. — Proszę powiedzieć temu panu, jaki to rodzaj obuwia i jak się szewc nazywa. Zapadła długa cisza.

— Nie pamiętam, o co pan pytał — wyszeptał wreszcie starzec. — Co pan powiada?

— Prosiłem, żeby pan wytłumaczył swojemu gościowi, jaki to rodzaj obuwia.

— Damski trzewik spacerowy przeznaczony dla młodej osoby. jest według ostatniej mody. Ja tej mody nigdy nie widziałem, ale miałem w ręku wzór. — Z przelotnym wyrazem zadowolenia zerknął na swoje dzieło.

— A jak się szewc nazywa? — podjął Monsieur Defarge. starzec nie miał teraz roboty, by więc. zając ręce, wkładał zaciśniętą prawą pięść w zagłębienie lewej dłoni, następnie robił to odwrotnie, następnie przeczesywał palcami zmierzwioną brodę i tak raz po raz w nieodmiennym porządku i bez najmniejszej nawet przerwy. Wyzwolenie go z otępienia, w jakie popadał zawsze, gdy próbował mówić, było zadaniem równie trudnym, jak ocucenie chorego z omdlenia lub powstrzymanie ducha szybko umierającego człowieka w nadziei wydobycia zeń jakichś rewelacji.

— Czy pan pytał, jak się nazywam? — odezwał się wreszcie.

— Naturalnie, że pytałem.

— Sto Pięć. Wieża Północna.

— Tylko tyle?

— Sto Pięć. Wieża Północna — powtórzył i z podobnym do jęku westchnieniem pochylił się znów nad warsztatem.

— Nie jest pan szewcem z zawodu? — zaryzykował po chwili pan Lorry.

Starzec spojrzał błagalnie na szynkarza, jak gdyby pragnął przekazać mu trud odpowiedzi, zorientował się jednak, że nie może liczyć na pomoc, zwrócił więc znowu twarz w stronę natrętnego gościa, lecz po drodze trwożliwie utkwiał wzrok w polepie.

— Szewcem z zawodu... — powtórzył głucho. — Nie. Nie byłem szewcem z zawodu... Wyuczyłem się... hm... tutaj... Sam się wyuczyłem. Prosiłem o to...

Znowu popadł w otępienie i jał przekładać szybko prawą pięść do lewej i odwrotnie. Po kilku minutach zwrócił znów wzrok w kierunku pana Lorry i podjął takim tonem, jak człowiek przebudzony

nagle ze snu i wracający do tematu rozmowy z minionego wieczora:

— Miałem wiele trudności. Długo miamałem prosić, by wolno mi się było uczyć. Na koniec dostałem pozwolenie. Od tego czasu szyję buty.

Wyciągnął rękę, aby odebrać trzewik gościowi, ów zaś powiedział mierząc go byстрыm spojrzeniem:

— Monsieur Manette, czy wcale mnie pan nie pamięta? Starzec upuścił trzewik, znieruchomiał, zapatrzył się w twarz pana Lorry.

— Monsieur Manette — podjął ten ostatni kładąc dłoń na ramieniu szynkarza — czy wcale nie pamięta pan tego człowieka?

Proszę na niego spojrzeć. Proszę na mnie popatrzeć. Czy w myślach pańskich nie wracają do życia dawne czasy, dawne interesy, dawny bankier i dawny sługa?

Długoletni więzień siedział bez ruchu przenosząc spojrzenie z dawnego bankiera na dawnego sługę, a na jego twarzy, jak gdyby spowitej w czarne, mroczne chmury, utorował sobie drogę od lat tam zatarty wyraz zrozumienia i inteligencji. Wyraz ten pojawił się, osłabł, zniknął, lecz niewątpliwie zajaśniał przelotnie i znalazł wierne odbicie w młodej i urodziwej twarzy dziewczyny, co lekliwie przesunęła się wzdłuż ściany i stała teraz na miejscu, z którego mogła widzieć starca. Zrazu podniosła dłonie gestem trwożnego współczucia albo nawet odrazy, jak gdyby chciała odsunąć żalostną zjawę, odciąć się od jej widoku, następnie jednak wyciągnęła dłonie i widać było, że płonie pragnieniem, by tę widmową głowę przytulić do gorących młodych piersi i miłością przywołać ją do życia i nadziei. Wyraz, co gościł przez moment na obliczu szewca, został powtórzony na drugiej młodej i piękniejszej twarzy tak dokładnie, jak gdyby był ruchomym światłem wędrującym od ojca do córki.

Mroki rychło spowiły znowu ojca, który z coraz mniejszą uwagą patrzył na dwóch natrętów, aby wreszcie odwrócić wzrok, rozejrzeć się dokoła na poprzednią modłę i podniósłszy trzewik z polepy zabrać się do roboty.

— Poznał go pan, Monsieur? — zapytał szeptem Defarge.

— Tak. Nie zaraz. Z początku wydawało mi się, że to zadanie ponad siły. Ale później przez chwilę widziałem twarz tak dobrze znaną przed laty. Ciszej. Cofnijmy się trochę. Ciszej.

Panna Manette oderwała się od ściany strychu i podeszła do ławy, na której siedział jej ojciec. Było coś potwornego w jego nieświadomości, że obok znajduje się ktoś, kto może wyciągnąć rękę i dotknąć pochylonych nad robotą ramion.

Nikt nie odzywał się słowem. Żaden dźwięk nie zakłócał ciszy. Ona stała za nim niby duch. On był zajęty jedynie trzewikiem. Tak się jednak złożyło, że niebawem musiał zastąpić nożem szewskim jakieś narzędzie, które trzymał w ręku. Nóż leżał wprawdzie po przeciwnej stronie ławy i szewc podniósł go bez przeszkód, lecz pochylając się znów nad robotą złowił wzrokiem rąbek damskiej spódnicy. Powoli uniósł spojrzenie i zobaczył twarz dziewczyny. Dwaj widzowie ruszyli naprzód, lecz panna Manette powstrzymała ich gestem ręki. Nie obawiała się, że ojciec uderzy ją nożem, chociaż pan Lorry i Defarge lękali się takiego właśnie odruchu.

Starzec wpatrywał się w dziewczynę wystraszonym wzrokiem i po niej jakim czasie zaczął bezdźwięcznie poruszać wargami. Oddychał szybko, głęboko. Widać było, że nie może dobyć z siebie głosu.

— Co... Co to? — wyjąkał wreszcie zdławionym szeptem. Strumienie łez spływały po dziewczęcej twarzy. Panna Manette podniosła do ust obie dłonie i posłała starcowi pocałunek, a następnie przytuliła je do piersi, jak gdyby składała tam białą, skołataną głowę.

— Nie jesteś chyba córką klucznika?

— Nie — odpowiedziała westchnieniem.

— Ktoś ty?

Dziewczyna nie ufała jeszcze tonowi swojego głosu, bez słowa więc usiadła na ławie obok ojca. Cofnął się, ale ona położyła mu dłoń na rękę. Dziwny, dobrze widoczny dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem. Doktor Manette spokojnie odłożył nóż i usiadł sztywno zapatrzony w osobliwego gościa. Potem wolno, ostrożnie wysunął rękę i dotknął złocistych długich loków córki pospiesznie odgarniętych na ramiona. Przez chwilę przyglądał się tym włosom, lecz nagle popadł znów w otepienie i z głębokim westchnieniem wrócił do przerwanej pracy.

Ale zainteresowanie trzewikiem nie trwało długo. Dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu. On zerknął kilkakrotnie na tę dłoń, jak gdyby chciał się upewnić, że nie jest złudzeniem. Następnie przestał pracować, sięgnął do swojej szyi i zdjął poczerńiały sznurek z przyczepionym do niego zwiniętym skrawkiem szmaty. Troskliwie rozwinął tę paczuszkę na kolanie i wydobyl ze środka pukiel włosów, a właściwie dwa lub trzy długie złociste włosy, które niegdyś owinał był dokoła palca. Potem jeszcze raz ujął w rękę loki córki i przypatrzył się im bardzo uważnie.

— Takie same — szepnął. — Czy to możliwe? Kiedy to wszystko było? Jak się stało?

Na jego twarz powrócił wyraz skupienia i zrozumienia i starzec się, że podobny wyraz rozjaśnia również twarz dziewczyny. Ujął ją za ramiona, odwrócił w stronę światła i począł bacznie obserwować. — Tamtego wieczora — szeptał — kiedy wezwano mnie do chorego, ona położyła mi głowę na ramieniu. Bała się czegoś, chociaż ja nie miałem złych przeczuć. Potem kiedy przywieziono mnie do Wieży Północnej, strażnicy znaleźli te włosy na moim rękawie. „Zostawcie je — powiedziałem. — Nie pomogą mi nigdy w ucieczce cielesnej, lecz mogą być przydatne przy duchowej”. To moje słowa. Pamiętam je dokładnie.

Przed rozpoczęciem tej tyrady starzec długo poruszał niemymi wargami, skoro jednak znalazł słowa, dawał im upust płynnie, chociaż cicho i powoli.

— Jak to się stało? — zawołał nagle. — Czy tam byłaś ty?

Gwałtownie zwrócił się w stronę dziewczyny. Dwaj świadkowie drgnęli i znów ruszyli naprzód. Ale ona siedziała bez ruchu i powiedziała tylko spokojnym, stłumionym głosem:

— Błagam was, dobrzy panowie, nie zbliżajcie się do nas, nie mówcie nic, stójcie na miejscu.

— Na Boga! — krzyknął doktor Manette. — Czyj to był głos?

Uwolnił ramiona córki i podniósłszy rękę począł szarpać nerwowo swoje siwe włosy. Po chwili ręce mu opadły i wzburzenie minęło, jak mija wszystko na świecie. Ale szewc nie myślał już o nie dokończonym trzewiku. Zawinał włosy w strzęp starego łachmana i próbował założyć sznurek na szyję. Przez cały czas jednak spoglądał spod oka na córkę i smutno kiwał głową.

— Nie, nie, nie! — mamrotał do siebie. — Jesteś zbyt młoda, zbyt kwitnąca. To niemożliwe. Spójrz, jak wygląda więzień. Ona nie znała tych rąk ani tej twarzy. Ona nie słyszała nigdy tego głosu. Nie, nie! Była ona i był on, przed wiekami, nim rozpoczęły się powolne lata Wieży Północnej. Jak ciebie zowią, dobry aniele?

Radośnie witając mniej głuchy głos i spokojniejsze zachowanie ojca panna Manette padła przed nim na kolana i wsparła o jego piersi błagalnie złożone dłonie.

— O, panie — zawołała. — Innym razem usłyszysz moje imię, dowiesz się, kto był moją matką, kto ojcem i czemu nie poznałam nigdy tragicznej historii rodziców. Niczego nie wolno mi rzec ci dzisiaj ani tutaj. Dzisiaj i tutaj mogę powiedzieć tylko jedno: błagam i zaklinam, abyś zechciał dotknąć mnie i pobłogosławić. Ach, ucałuj mnie, ucałuj, drogi, najdroższy!

Chłodna biel włosów starca połączyła się z promiennym złotem loków dziewczyny, które rozgrzały i rozjaśniły jego głowę, jak gdyby spłynęło na nią światło wolności.

— Jeżeli słyszysz w moich słowach... — ciągnęła młoda dama. — Nie wiem, czy jest tak istotnie, lecz mam nadzieję, że się nie mylę... Jeżeli słyszysz w moich słowach brzmienie podobne do innego głosu, co niegdyś dźwięczał w twoich uszach na kształt słodkiej muzyki, oplakuj tamten głos, oplakuj! Jeżeli gładząc moje włosy dotykasz czegoś, co przywodzi ci na myśl ukochaną głowę, która spoczywała na twej piersi, kiedy byłeś młody i wolny, oplakuj tamtą głowę, oplakuj! Jeżeli mówiąc o czekającym na nas domu, gdzie będę ci służyła wiernie i serdecznie, maluję w twojej pamięci inny dom, od dawna opuszczony, za którym tęskni twoje biedne serce, oplakuj tamten dom, oplakuj!

Mocniej objęła go za szyję i kołysała w ramionach niby dziecko.

— O, mój najdroższy! Jeżeli powiem, że nadszedł kres twojej męki, że przybyłam tutaj, by uwolnić cię i zabrać do Anglii, gdzie czeka cię spokój i wypoczynek; jeżeli powiem to wszystko i obudzę w tobie myśli o zmarnowanym życiu i okrucieństwie, z jakim potraktowała cię nasza francuska ojczyzna, oplakuj swoje zmarnowane życie i swoją krzywdę, oplakuj! A kiedy usłyszysz wreszcie moje imię i dowiesz się, kto jest moim ojcem i kim była nieżyjąca już matka, zrozumiesz, iż winnam klęknąć przed czcigodnym ojcem i błagać go o przebaczenie za to, że nigdy nie biadałam nad jego losem po dniach całych, a nocami nie leżałam we łzach i bezsennie, gdyż miłość macierzyńska zataiła przede mną jego mękę. O, panie! Płacz nad moją matką, płacz nade mną! Dobrzy panowie! Chwała niechaj będzie Bogu! Czuję na twarzy święte łzy męczennika, a jego łkania poruszają we mnie serce. Spójrzcie! On płacze. Dzięki Bogu! Dzięki Bogu!

Starzec osłabł w ramionach córki i na jej pierś opuścił głowę.

Był to widok rozczulający a zarazem — gdy wspomniało się ogrom minionych krzywd i cierpień — tak groźny, że dwaj widzowie ukryli twarze w dłoniach. Podeszli do ojca i córki dopiero wówczas, gdy na poddaszu od dawna zapanowała cisza, a szlochania i szybkie oddechy doktora Manette zastąpił spokój, który nastaje po każdej burzy. Jest to niejako symbolem losów człowieka, w których nawałnica zwana życiem milknie ostatecznie w spoczynku i bezruchu. Starzec powoli osuwał się na polepę i wreszcie legł tam do cna wyczerpany, jak gdyby zapadły w letarg. Córka nie wypuszczała go z objęć i opadła z nim razem chcąc wspierać skołataną głowę na swym ramieniu, jej rozwiane włosy zakryły twarz ojca i jak firanka przesłoniły ją od światła.

Pan Lorry wielokroć wytarł nos i pochylił się nad swoją towarzyszką podróży.

— Sądzę — powiedziała wyciągając dłoń do starego bankiera — że nie płosząc go zbyt można urządzić wszystko tak, abyśmy niezwłocznie opuścili Paryż? Ojca należałoby z tych drzwi wyprowadzić prosto do...

— Proszę się zastanowić — przerwał jej pan Lorry — czy doktor Manette wytrzyma podróż?

— Łatwiej wytrzyma podróż niż pobyt w tym, tak okropnym dlań mieście.

— Dużo w tym racji — przyznał Defarge, który dotychczas klęcząc przysłuchiwał się i patrzył.

— A zresztą z wielu względów Monsieur Manette powinien znaleźć się jak najprędzej za granicami Francji. Czy zamówić karetkę pocztową i konie?

— To wkracza w sferę interesów — odparł pan Lorry odzyskując nagle zwykły mu chłód i opanowanie — a interesy wolę zawsze załatwiać osobiście.

— Może w takim razie panowie zechcą zostawić nas tutaj — powiedziała panna Manette. — Widzą panowie, jak ojciec się uspokoił? Można bez obawy powierzyć go mojej pieczy. Nic się nie stanie. Jeżeli panowie zamkną drzwi na klucz i zabezpieczą nas od niepożądanych gości, na pewno po powrocie zastaną ojca równie spokojnym jak obecnie. W każdym razie zajmę się nim na czas nieobecności panów, a później *zaraz* go stąd zabierzemy.

Projekt nie podobał się zrazu ani panu Lorry, ani szynkarzowi i obydwaj byli zdania, że jeden z nich winien pozostać na straży. Ponieważ jednak należało się zająć nie tylko pojazdem i końmi, lecz

również niezbędnymi do wyjazdu papierami, a czas naglił, gdyż dzień zbliżał się do końca, dwaj mężczyźni podzielili między siebie zadania i spieszenie wyszli, aby się z nimi uporać.

Zaczynało się ściemniać. Córka oparła głowę o twardą polepę i leżąc u boku ojca czuwała nad nim w milczeniu. Było coraz ciemniej i ciemniej, a dziwnie dobrana para spoczywała bez słowa i ruchu, póki w szczelinach ściany nie błysnęło światło.

Pan Lorry i Monsieur Defarge zdążyli przysposobić wszystko do drogi i przynieśli na poddasze nie tylko płaszcze podróżne i szale, lecz również chleb, zimne mięsiwo, wino i gorącą kawę. Szylnik ustawił prowianty i latarnię na ławie warsztatowej, prócz której było w izbie tylko łóżko z siennikiem, a następnie wraz z panem Lorry dźwignął byłego więźnia i pomógł mu stanąć. Jego twarz przerażona i zdziwiona, a zarazem tępa, nie zdradzała niczego, co mogło dziać się w głowie. Czy starzec zdawał sobie sprawę z aktualnych wydarzeń? Czy zapamiętał słowa, które doń mówiono? Czy zrozumiał, że jest nareszcie wolny?

Na te pytania nie zdołałby odpowiedzieć nawet najmądrzy z najmądrzych. Obecni usiłowali nawiązać z nim rozmowę, był wszakże tak oszołomiony i odpowiadał z takim trudem, że chwilowo przynajmniej postanowili zostawić go w spokoju. Mimo to doktor Manette zachowywał się nerwowo i od czasu do czasu ścisnął skronie rękami, czego nigdy dotychczas nie czynił. Ale dźwięk głosu córki sprawiał mu widocznie przyjemność, bo ilekroć się odezwała, zwracał twarz w jej kierunku.

Z pokorą człowieka przywykłego od lat działać pod przymusem doktor Manette zjadł i wypił, co mu podsunięto, następnie zaś wdział płaszcz, w który polecono mu się ubrać. Gdy córka brała go pod rękę, nie wzbraniał się, lecz skwapliwie ujął jej dłoń w obydwie ręce i zatrzymał w uścisku.

Poczęli schodzić po stromych schodach. Monsieur Defarge z latarnią postępował pierwszy, pan Lorry zamykał pochód. Zostawili za sobą zaledwie kilka stopni, gdy starzec zatrzymał się i jął spoglądać niespokojnie na brudny sufit i poczerniałe ściany.

— Pamiętasz to miejsce, ojcze? Przypominasz sobie, jak wspinałeś się pod górę?

— Co powiadasz?

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, starzec mruknął, jak gdyby ponownie usłyszał pytanie:

— Czy sobie przypominam? Nie, nie pamiętam. To było bardzo dawno.

Jasno z tego wynikało, że we wspomnieniach starca nie pozostało jego przeniesienie z więzienia do domu dawnego sługi.

— Sto Pięć. Wieża Północna — mamrotał do siebie i rozglądając się wokół szukał niewątpliwie grubych fortecznych murów, wśród których spędził długie lata.

Na podwórzu zmienił chód, jak gdyby spodziewał się wkroczyć na most zwodzony, a kiedy zamiast mostu zobaczył oczekującą na ulicy karete, wypuścił rękę córki i raz jeszcze ścisnął własne skronie.

Przed domem nie było zbiegowiska. Nikt nie wyglądał z licznych okien. Nawet żaden przygodny przechodzień nie kręcił się w pobliżu. Na ulicy była tylko jedna osoba — Madame Defarge — która wsparta o futrynę drzwi winiarni pilnie robiła na drutach i nie widziała niczego.

Były więzień zajął miejsce w karecie i pozwolił córce usiąść obok siebie, lecz pana Lorry zatrzymał na stopniu pokornym zapytaniem o swoje narzędzia i nie dokończony trzewik. W tej chwili Madame Defarge zawołała pod adresem męża, że zaraz się o wszystko postara. Szybko weszła w mrok podwórka i wkrótce ukazała się znów w świetle ulicznej latarni dźwigając warsztat, narzędzia i trzewik. Potem wsparła się o futrynę drzwi i pochłonięta robotą na drutach znów nie widziała niczego.

Defarge wspiał się na kozioł i zakomenderował krótko:

— Do rogatek.

Woźnica strzelił z bicia. Pojazd ruszył i potoczył się dalej pod ulicznymi latarniami, które przy lepszych ulicach połyskiwały jasno, a przy gorszych mętnie. Mijał oświetlone witryny sklepowe, wesołe tłumy na chodnikach, kawiarnie, otwarte drzwi teatrów, aby wreszcie zatrzymać się przy jednej z bram miasta. Z wartowni wysypali się żołnierze z latarniami.

— Wasze dokumenty, podróżni!

— Proszę spojrzeć, panie oficerze — odezwał się Defarge, który zszedł z kozła i poważnie odprowadził na stronę komendanta warty. — To są papiery starszego pana, tego z długimi siwymi włosami. Oddano mi je razem z nim w... — zniżył głos do ledwie dosłyszalnego szeptu.

Poruszyły się wojskowe latarnie i jedna z nich wraz z ramieniem w mundurowym rękawie powędrowała do wnętrza karety. Żołnierskie oczy spojrzały ciekawie na starszego pana z długimi siwymi włosami, aby nasycić się widokiem, którego nie ogląda się każdego dnia ni każdej nocy.

— W porządku! Jazda! — rzucił człowiek w mundurze.

— Szczęśliwej podróży! — zawtórował mu Defarge.

Kareta potoczyła się znów pod blaskiem coraz rzadszych latarni i pod niezmiernym łańcem gwiazd.

Cienie nocy były czarne i rozległe pod baldachimem przedwiecznych i nieruchomych świateł, tak nieraz odległych, że uczeni żywią wątpliwości, czy promienie owych gwiazd odkryły w przestrzeni naszą ziemię — znikomy punkt, na którym dzieje się coś i ktoś, cierpi.

Pośród tych cieni pan Lorry zasypiał, budził się zziębnięty i znów zapadał w drzemkę. Siedząc obok odkopanego z grobu widma zastanawiał się, co ów człowiek utracił na zawsze, a co zdoła odzyskać, i raz po raz zadawał to samo urojone pytanie i oczekiwał tej samej urojonej odpowiedzi:

— Czy pragniesz żyć?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć.

Księga druga

Złota nić

ROZDZIAŁ I

PO PIĘCIU LATACH

Dom Bankowy Tellsonów mieścił się w pobliżu Tempie Bar i miał staroświecki wygląd nawet w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym. Był bardzo ciasny, bardzo mroczny, bardzo brzydki i bardzo niewygodny. Ale staroświecczyzna ta nie ograniczała się jedynie do pozorów — miała aspekt moralny, bo współwłaściciele firmy pysznili się ciasnotą, mrokami, szpetotą i niewygodą jej pomieszczeń. Ba! Byli dumni, że ich bank posiada te cechy w stopniu najwyższym, i niewątpliwie hołdowali pogładowi, że będąc mniej odrażającym nie zasługiwałby na tak wiele szacunku. Pogląd ów nie tylko stanowił wyraz czystej wiary, lecz był zarazem orężem, który współwłaściciele firmy zwracali przeciwko lepiej urządzonym konkurentom mówiąc: „Tellsonom nie trzeba salonów. Tellsonom nie trzeba światła. Tellsonom nie trzeba upiększeń. Bez takich rzeczy nie mogą się obejść Noakes i S—ka czy bracia Snook, ale Tellsonowie, dzięki Bogu...”

Każdy z współwłaścicieli wydziedziczyłby syna, gdyby ów ośmielił się napomknąć o przebudowie banku. Pod tym względem firma bardzo przypominała cały kraj, gdyż Anglia często wydziedziczała swoich synów, którzy zalecali naprawę obyczajów i ustaw od dawna już odrażających, lecz dzięki temu właśnie zasługujących na wiele szacunku.

A zatem Dom Bankowy Tellsonów był szczytem triumfującej niewygody. Po wyważeniu idiotycznie opornych i przeraźliwie skrzypiących drzwi od ulicy klient spadał z kilku karkołomnych stopni i odzyskiwał zmysły w obskurnym kantorku. Stały tam dwa stare pulpity, a zgrzybiali starcy odbierali klientowi czek i sprawdzając podpisy szeleścili nim, jak gdyby wiatr szarpał owym dokumentem. Działo się to przy najbrudniejszym z okien, ustawicznie opryskiwanym strugami błota z Fleet Street i zaciemnionym nie tylko własnymi kratami, lecz również ponurym cieniem Tempie Bar. Jeżeli charakter interesów nakazywał, żeby klient osobiście zetknął się z SZEFEEM, umieszczano klienta w podobnej do celi śmierci klitce od podwórka, gdzie mógł swobodnie medytować nad marnościami świata, pokąd nie stanął przed nim szef z rękoma w kieszeniach i prawie niewidoczny w półmroku. Pieniądze wyjmowano lub chowano do odwiecznych, zżartych przez robactwo szuflad, których próchno przy każdym poruszeniu drażniło nos i krtań klienta. Banknoty miały zatęchły odór, jak gdyby lada moment groził im rozkład i powrót do pierwotnego stanu szmat.

Oddane w depozyt srebro stołowe składano w podziemiach w obrzydliwym sąsiedztwie dołów ściekowych okolicznych domów, gdzie już po paru dniach traciło piękny połysk. Urzędowe dokumenty i akta przechowywano w improwizowanych skarbcach przerobionych z dawnych kuchni i kredensów, gdzie cały tłuszcz parował z pergaminu i rozplątywał się w bankowej atmosferze. Sepety z mniej ważnymi familijnymi papierami wędrowały na piętro do niby—jadalni, gdzie zawsze stał wielki stół bankietowy, lecz nigdy nie wydawano bankietów; tam pierwsze listy dzieci lub młodzieńczej miłości klienta spoczywały bezpiecznie, a w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym od niedawna nie zagrażała im już ohyda ściętych głów ludzkich, które przez okna zerkały z bramy Tempie Bar wystawiane na publiczny widok z szatańskim a bezmyślnym okrucieństwem godnym

Abisyinii lub Aszantii.

Ale zadawanie śmierci było receptą modną w owe lata, czemu więc obraz jej miałby przerażać Dom Bankowy Tellsonów? Śmierć jest uniwersalnym lekiem stosowanym przez Naturę we wszelkich dolegliwościach, wobec czego odwoływało się do niej również prawodawstwo. A zatem na śmierć skazywano szalbierza i człowieka puszczającego w obieg fałszywe banknoty, i takiego, co bez upoważnienia otworzył cudzy list, i takiego, co sprzeniewierzył czterdzieści szylingów i sześć pensów albo odlał fałszywą monetę wartości jednego szylinga, albo zbiegł z koniem powierzonym swojej pieczy przed drzwiami Domu Bankowego Tellsonów. Ów system nie uczynił wiele dobrego jako środek zapobiegawczy (raczej dawały się zaobserwować odwrotne skutki), ale w każdym wypadku ostatecznie załatwiał sprawę w sensie doczesnym i nie pozostawiał po niej nic, o co należałoby się później kłopotać. W takiej atmosferze Dom Bankowy Tellsonów — podobnie jak wiele innych współczesnych mu poważnych firm finansowych i handlowych — był od początku swego istnienia przyczyną tak licznych zgonów, że gdyby głowy jego ofiar układano rzędem nad bramą Tempie Bar zamiast uprzątać je po cichu, w parterowych pomieszczeniach Tellsonów do cna zabrakłoby światła.

Stłoczeni w przeróżnych klitkach i schowkach zgrzybiali starcy z powagą załatwiali sprawy urzędowe banku. Gdy do londyńskiej centrali Tellsonów przyjmowano młodego mężczyznę, ukrywano go gdzieś i przechowywano, póki się nie zestarzeje. Zapewne przebywał w ciemnicy, aby jak dojrzewający ser nabrać odpowiedniego zapachu i nalogów pleśni. Wówczas dopiero wychodził na widok publiczny, z godnością wertował stare księgi handlowe, a swoje staromodne spodnie i kamazę włączał do ogólnej atmosfery przedsiębiorstwa.

Na ulicy przed Domem Bankowym Tellsonów znajdował się stale (lecz do wnętrza nigdy nie wchodził bez wezwania) używany przy rozmaitych dorywczych pracach i na posyłki „człowiek”, który stanowił poniekąd żywy szyld firmy. W godzinach urzędowych był zawsze na posterunku, jeżeli zaś gdzieś go wysłano, miejsce zajmował syn, dwunastoletni wyblakły urwis, wierna podobizna ojca. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Tellsonowie łaskawie tolerują posłańca. Od początku swego istnienia firma tolerowała zawsze posłańca, którego z czasem zmieniał na posterunku jakiś następca. Aktualnie jegomość ten nosił nazwisko Cruncher, a wyrzekając się per procura szatana i spraw jego, otrzymał w niemowlęctwie imię Jerry, co stało się we wschodnim Londynie w kościele parafialnym Houndsditch.

Obecnie zmieniamy scenę i przenosimy się do prywatnego mieszkania pana Crunchera, przy Zaułku Miecza w Pochwie, niedaleko Whitefriars. Jest godzina pół do ósmej w wietrzny marcowy ranek Anno Domini tysiąc siedemset osiemdziesiątego. Sam pan Cruncher mówiąc o roku pańskim wyrażał się zawsze Domino Anny, jak gdyby mniemał, że era chrześcijańska liczy się od roku wynalezienia popularnej gry w domino nazwanej dodatkowo na cześć Anny, która ją zapoczątkowała.

Apartament pana Crunchera położony był w mało wytwornym sąsiedztwie, a składał się tylko z dwóch izb, jeżeli za izbę liczyć ciasną bokówkę oświetloną okienkiem o jednej małej szybce. Ale oba pomieszczenia były troskliwie utrzymane i mimo wczesnej pory zamiecione w ów wietrzny marcowy ranek, kiedy pan domu wylegiwał się jeszcze w łóżku. Kulawy sosnowy stół nakryto bardzo czystym białym obrusem, na nim zaś stały w porządku kubki i talerze.

Pan Cruncher leżał pod pikowanym becikiem z różnokolorowych gałganków, dzięki czemu przywodził na myśl spoczywającego arlekina. Zrazu spał mocno, niebawem jednak począł ruszać się i obracać z boku na bok, aż wreszcie nad zbałwanioną powierzchnią becika wychynęła głowa o włosach tak sterczących, że powinny właściwie poszarpać w strzępy prześcieradła. W tej samej chwili pan Cruncher zawołał tonem ostatecznej rozpaczy:

— A niech to Ucho! Ta znowu robi swoje!

W kącie izby kobieta o schludnym wyglądzie dobrej gospodyni dźwignęła się z klęczek z pośpiechem i niepokojem okazującym jasno, że apostrofa była zwrócona do niej.

— No i co? — podjął Cruncher szukając wzrokiem buta w pobliżu łóżka. — Znowu robisz swoje, he?

Po tym drugim powitaniu nowego dnia pan domu nie zwlekał z trzecim i w stronę swojej żony rzucił butem. Był to but bardzo zabłocony, co mogło budzić dziwne refleksje na temat życia rodzinnego Crunchera, który wracał często spod banku w obuwiu stosunkowo czystym, a następnego ranka znajdował je pokryte grubą warstwą gliny.

— No i co? — powtórzył chybiwszy celu. — Czego ty właściwie chcesz, cierpiętnico?

— Odmawiałam tylko pacierze.

— Odmawiała pacierze! Przyjemna kobiecina! Klęka, gdzie tylko może, i modli się przeciwko mnie!

— Modliłam się za ciebie, nie przeciwko tobie.

— Nie przeciwko mnie. Akurat, wierzę! Słuchaj no, Jerry. Mama to przyjemna niewiasta. Nic, tylko modli się o niepowodzenie interesów twojego ojca. Masz bardzo dobrą matkę. Tak, mój chłopcze. Masz bardzo pobożną matkę. Tak, mój chłopcze. Nic, tylko klęka, gdzie może, i modli się, żeby jej jedyne dziecko nie miało czego do gęby włożyć, nawet suchego chleba z masłem!

Młody Cruncher (który spacerował po izbie tylko w koszuli) mocno się zirytował i gorąco potępił wszelkie pacierze zwrócone przeciwko wiktuałom przeznaczonym na jego osobisty użytek.

— Ach, ty zarozumiała kobieto — ciągnął pan Cruncher z niesłabnącą urazą. — Pewno sobie wyobrazasz, że twoje pacierze mają wielką wagę. No, gadaj, ile są warte? Jaką im przypisujesz cenę?

— Moje modlitwy płyną z serca i warte są tylko tyle, co ludzkie serce.

— Tylko tyle! No, to prawdę mówiąc niewiele. Ale tak czy inaczej, nie pozwolę, żebyś się przeciwko mnie modliła. Rozumiesz? Wypraszam sobie. Nie chcę, żeby twoje jentrygi przynosiły mi pecha. Jeżeli już musisz klękać, gdzie popadnie, klękaj w imię korzyści, nie krzywdy własnego męża i dziecka. Gdybym nie miał wyrodnej żony, a mój syn wyrodnej matki, w zeszłym tygodniu mógłbym zarobić ładne pieniądze. Ale nie! Modliła się przeciwko mnie. Religijnymi sztuczkami zapędziła mnie w kozi róg i wszystko popsuła. A niech to lichy! — krzyknął pan Cruncher, który przez cały czas cytowanej przemowy wdziewał kolejno różne części garderoby. — W zeszłym tygodniu pobożność i podobne brednie przyniosły mi takiego pecha, że gorszy nie może się już trafić uczciwemu rzemieślnikowi! Jerry, mój synku, ubieraj się żywo, a jak ja będę czyścił buty, miej oko na mamę. Gdyby znowu próbowała klęknąć, gdzie popadnie, daj mi znać. Bo, powtarzam — zwrócił się znowu do żony — nie dam psuć sobie interesów. Rozumiesz? Rozklekotany jestem niczym stara drynda; śpiący, jak gdybym się opił naparu z makówek; gnaty tak mi dokuczają, że nie wiem, czy to ja sam, czy kto inny; a w kieszeni nic mi nie przybyło. A dlaczego?

Podejrzewam, że ty, cierpiętnico, robiłaś swoje od rana do nocy. Klepałaś pacierze, żeby mi nic w kieszeni nie przybyło. Co? Może nie mam racji? Nic pozwoli; na takie sztuki! Rozumiesz? Nie pozwolę! No i co ty na to? Gadaj!

Nie doczekawszy się odpowiedzi pan Cruncher przystąpił do czyszczenia butów, lecz od czasu do czasu rzucał przez zęby sarkastyczne uwagi:

— Aha, właśnie! Kobieta religijna, naturalnie! Nie, taka nie psułaby interesów własnego męża i dziecka. Nie! Nigdy! Skąd znowu!

Takie i tym podobne zdania tryskały raz po raz spod młyńskiego kamienia irytacji i uraz.

Tymczasem młodszy Jerry (miał włosy najeżone niczym kolce i oczy osadzone równie blisko jak ojcowskie) z zapalem pełnił powierzoną mu wartę. Co chwila wybiegał z bokówki, gdzie robił toaletę, i pokrzykiwał z cicha:

— Ojciec! Ojciec! Uwaga! Mama chce znowu klęknąć.

Po każdym fałszywym alarmie chłopiec zadowolony i złośliwie uśmiechnięty spieszenie wycofywał się z izby.

Pan domu usiadł do stołu w najgorszym humorze i obruszył się nie na żarty, gdy jego żona spróbowała odmówić modlitwę przed posiłkiem.

— Ach, ty cierpiętnico! — zawołał. — Znow robisz swoje! Po co?

Kobieta wyjaśniła nieśmiało, że „chciała tylko poprosić o błogosławieństwo Boże”, na co rozjuszony małżonek wrzasnął:

— Daj spokój! Takie błogosławieństwa wybłogosławiają mnie z własnego domu, a żarcie zbłogosławiają z naszego stołu. Siedź cicho! Rozumiesz?

Jerry Cruncher, senior, miał mocno zaczerwienione oczy i był ponury, jak gdyby spędził noc na przyjęciu poświęconym wyłącznie pijatyce. Przy śniadaniu więcej wydziwiał, niż jadł, lecz mlaskał i sapał głośniejsz niż niejeden czworonożny lokator menażerii. Koło pół do dziewiątej postarał się o nieco weselszą minę, wygładził pognieciony ubiór i udając się do pracy wyglądał o tyle godnie i przyzwoicie, o ile godnie i przyzwoicie mogła wyglądać podobna osobistość.

Pracę pana Crunchera trudno było nazwać rzemiosłem, chociaż sam pan Cruncher lubił mienić się „uczciwym rzemieślnikiem” i powtarzał to określenie nader często. Warsztat jego składał się jedynie ze stołka (lub raczej starego krzesła o złamanym oparciu i przyciętych nogach), który każdego rana dźwigał młody Jerry maszerujący u boku ojca. Ów stołek ustawiony pod oknem Domu Bankowego Tellsonów (najbliższym Tempie Bar) i uzupełniony garstką słomy ściągniętą z pierwszego lepszego pojazdu dla ochrony nóg posłańca od zimna i wilgoci stanowił jego całodzienne obozowisko. Pan Jerry Cruncher tkwiący na owym posterunku był znany całej Fleet Street nie gorzej niż Tempie Bar i — trzeba przyznać — był niemal równie brzydki jak ta budowla.

W ów wietrzny marcowy ranek „uczciwy rzemieślnik” przybył na miejsce kwadrans przed dziewiątą, zdążył więc powitać uniegiemieniem trojgraniastego kapelusza wszystkich zgrzybiałych starców ciągnących do Domu Bankowego Tellsonów.

W chwilach wolnych od wycieczek w labirynt Tempie Bar młodszy Jerry stał u boku starszego i słownie oraz czynnie znieważał przechodzących chłopców — oczywiście wystarczająco małych i słabych dla tak godziwego celu. Ojciec i syn byli uderzająco do siebie podobni, a gdy gapili się w milczeniu na poranny ruch Fleet Street trzymając głowy równie blisko, jak każdy z nich miał osadzone oczy — bardzo przypominali parę małp. Podobieństwa tego nie zmniejszał bynajmniej fakt, że ojciec ustawicznie żuł słomę, a syn strzelając niespokojnie wzrokiem obserwował ciekawie zarówno jego jak wszystko, co się działo wokół.

Kilka minut po dziewiątej jeden z woźnych Tellsonów wyjrzał na ulicę i oznajmił zwięźle:

— Trzeba posłańca!

— Hura, ojcze! Wcześniej się dziś zaczyna robota. Odprawiwszy starszego tymi słowami młodszy Jerry usadowił się na stołku i całą baczną uwagę poświęcił słomce, którą przed chwilą jeszcze żuł pan Cruncher.

— Rdza... znowu rdza — pomrukiwał do siebie. — Stary ma zawsze rdzę na palcach. Gdzie ją zbiera? Przecież nie tutaj...

ROZDZIAŁ II

WIDOWISKO

— Niewątpliwie znany ci jest Old Bailey ? — zagadnął posłanica jeden z najbardziej sędziwych kancelistów banku.— Tak wielmożny panie — odparł Jerry z niezupełnie wyraźną miną. — Znany mi jest Old Bailey.

— Oczywiście. Znasz też pana Lorry.

— Pana Lorry, wielmożny panie, znam dużo lepiej niż Old Bailey — podjął pan Cruncher tonem opornego świadka w wyżej wymienionej instytucji. — Pana Lorry znam dużo lepiej, niż chciałbym poznać Old Bailey. Jestem uczciwym rzemieślnikiem.

— W porządku, odszukasz zatem wejście dla świadków i wręczysz odźwiernemu list do pana Lorry. Wtedy odźwierny cię wpuści,

— Do sądu, wielmożny panie?

— Tak. Do sądu.

Zdawać się mogło, że oczy pana Crunchera zbliżyły się do siebie jeszcze bardziej, jak gdyby miały zamiar wymienić pytanie: „I co ty na to?”

— Czy mam czekać w sądzie, wielmożny panie? — zapytał Jerry w wyniku niemej konferencji.

— Zaraz ci wytłumaczę. Odźwierny odniesie ten list panu Lorry, a ty masz gestem, czy jak ci się podoba, zwrócić na siebie uwagę pana Lorry i pokazać mu, gdzie się znajdujesz. Następnie będziesz miał do roboty tylko tyle, żeby nie ruszać się z miejsca i czekać, aż zostaniesz wezwany.

— I to wszystko, wielmożny panie?

— Wszystko. Pan Lorry życzy sobie mieć pod ręką gońca. Musisz mu dać znać, że już przybyłeś.

Sędziwy kancelista począł bez pośpiechu składać i adresować list, a Cruncher obserwował go w milczeniu i zabrał głos dopiero wówczas, gdy doszło do operowania bibułą:

— Pewno będą dziś sądzić fałszerzy?

— Nie. Zdrajcę.

— Oo! Ćwiartowanie. To barbarzyństwo!

— Tak chce prawo — sędziwy kancelista ze zdziwieniem skierował okulary w stronę gońca. — Tak chce prawo.

— Surowe prawo... Tak mi się przynajmniej zdaje. Starczy chyba zabić człowieka. Po co jeszcze marnować jego zwłoki? Surowe prawo, wielmożny panie!

— Nie takie znów surowe. O prawie wyrażaj się z respektem. Ty dbaj lepiej o swoje płuca i chrypkę, a prawo niech się samo troszczy o siebie. Taka jest moja rada, zacny przyjacielu.

— To wilgoć, wielmożny panie, padła mi na płuca i wywołała chrypkę. Niech wielmożny pan zechce łaskawie zwrócić uwagę, w jak wilgotny sposób zarabiam na życie.

— Cóż, ludzie rozmaicie zdobywają chleb powszedni: jedni w sposób wilgotny, inni w suchy. Taki już los. No, masz list. Możesz odejść.

Pan Cruncher wziął złożoną i zapieczętowaną ćwiartkę papieru, ze znacznie mniejszym, niż okazywał, szacunkiem pomyślał: „Stary z ciebie trup, na kość wyschnięty”, ukłonił się nisko, mijając syna powiadomił go o celu swojej wędrówki i szparko ruszył w drogę.

W owe lata wieszano w Tyburn, a więc ulice okalające Newgate nie miały zlej sławy, jaka przylgnęła do nich w późniejszej dobie. Ale samo więzienie było nie tylko plugawym miejscem, gdzie krzewiły się wszelkie podłości i zbrodnie, lecz również wylęgarnią zaraźliwych chorób, co wraz i więźniami trafiały do sądu i czasami z ławy oskarżonych rzucały się na samego prezesa

trybunału i porywały go z dostojnego fotela. Nierzadko zdarzało się, że sędzia w czarnym berecie odczytywał wyrok równie nieodwołalny dla siebie, jak dla skazańca, a nawet umierał pierwszy. Ponadto Old Bailey słynął jako dziedziniec śmiertelnej oberży, skąd bladzi wędrowcy wyruszali wciąż karocami lub wozami w awanturnicze podróże na tamten świat i po drodze musieli za każdym razem przebyć dwie i pół mili ulic miejskich oraz publicznych gościńców. Gorszyło się tym tylko niewielu bardzo rozumnych obywateli, bo wielką jest siła przyzwyczajenia, zwłaszcza gdy ludzie uwierzą od początku, że to przyzwyczajenie chwalebne. Old Bailey słynął również z pręgiarza — mądrej odwiecznej instytucji, a zarazem narzędzia kary, której rozciągłości nigdy przewidzieć niepodobna. Słynął też pieńkiem chłosty — drugim starym i rozsądnym urządzeniem niezmiernie budującym dla widzów, co bez wątpienia wpływa zbawiennie na ich obyczajność. A wreszcie słynął z ożywionych transakcji pieniężnymi nagrodami dla świadków, których Zeznania przyczyniły się do wyroku śmierci, oraz odszkodowaniami dla rodziny za śmierć krewnego, co było jeszcze jednym dowodem mądrości naszych przodków, lecz powodowało najpotworniejsze pod słońcem podstępne zbrodnie z chęci zysku. Jednym słowem Old Bailey z tamtych czasów stanowił znakomitą ilustrację zdania: „Wszystko, co jest, jest dobre” — aforyzmu dowodzącego wprawdzie lenistwa, lecz bez zastrzeżeń słusznego, gdyby nie wynikał zeń logiczny wniosek, iż w takim razie: „Wszystko, co było, było dobre”.

Torując sobie drogę wśród ciżby zgromadzonej opodal ohydnej sceny wydarzeń Cruncher posuwał się wprawnie, aby znaleźć wreszcie wskazane drzwi i podać list przez umieszczone w nich okienko. W owe lata publiczność płaciła za oglądanie przedstawień w Old Bailey, podobnie jak płaciła za wstęp do szpitali wariatów — z tą różnicą, że pierwsze widowisko kosztowało znacznie drożej. Wobec tego wszystkie wejścia do sądu były pilnie strzeżone z wyjątkiem gościnnej i zawsze stojącej otworem bramy dla winowajców.

Po niejakiem wahaniu i zwłoce drzwi skrzypnęły odstrasząco i obróciły się trochę na zawiasach, dzięki czemu pan Cruncher mógł wcisnąć się na salę rozpraw.

— No i co? — zapytał szeptem najbliższego sąsiada.

— Na razie nic.

— A co będzie?

— Zdrada stanu.

— Ćwiartowanie, he?

— Aha — podjął mężczyzna tonem wyraźnego zadowolenia. — Najprzód powieszą go na żerdzi i zdejmą dopiero, jak się przez pół udusi. Potem ocucą go i rozplatają żywcem, i wypatroszą, i każą mu patrzeć, jak będą płonąć jego trzewia. Potem odrąbią mu głowę i poćwiartują ciało. Tak ma brzmieć sentencja wyroku.

— Jeżeli naturalnie podsądny okaże się winnym — dodał ostrożny Jerry.

— E, nie bój się pan — odrzekł nieznajomy. — Na pewno w końcu okaże się winnym.

W tym momencie Cruncher dał spokój interesującej gawędzie, gdyż spostrzegł, że odzwierny z listem w ręku przeciska się w kierunku adresata.

Pan Lorry siedział za stołem pośród kilku dżentelmenów w perukach. Jeden z nich — obrońca podsądnego — miał przed sobą gruby plik papierów. Drugi trzymał ręce w kieszeniach i, ilekroć Jerry spojrział na niego (obecnie i później w ciągu rozprawy), zdawał się zwracać uwagę jedynie na sufit sali rozpraw. Poślaniec zakasłał ochryple, potarł szczeciniasty podbródek i wreszcie podniósł ręce, aby przyciągnąć wzrok pana Lorry, który wstał i szukając go zaczął rozglądać się po sali. Wreszcie pan Lorry wymownie skinął głową i spokojnie zajął swoje miejsce.

— A cóż ten może mieć wspólnego ze sprawą? — zapytał sąsiad, z którym Jerry uprzednio

rozmawiał.

— Bodaj mnie лихо, jeżeli się domyślam.

— A co pan tutaj robi, o ile wolno spytać?

— Bodaj mnie лихо, jeżeli się domyślam — powtórzył pan Cruncher.

Tym razem dialog przerwało wejście sądu, a co za tym idzie znaczne poruszenie wśród publiczności i szukanie najdogodniejszych miejsc. Niebawem ława oskarżonych stała się ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Stojący tam dwaj strażnicy wyszli, aby powrócić po chwili z człowiekiem, który stawał przed sądem.

Wszystkie oczy, prócz oczu zagapionego wciąż w sufit dżentelmena w peruce, przywarły spojrzeniami do owego człowieka. Wszystkie ludzkie oddechy potoczyły się ku niemu niby morze albo wiatr, albo pożar. Rozpłomienione twarze ukazywały się zza kolumn, wyglądały z wszelakich kątów. Każdy chciał zobaczyć podsądnego. Widzowie z dalszych rzędów galerii wstawali, aby nie stracić JEGO widoku. Ludzie zbici ciasno na sądowej podłodze opierali dłonie na ramionach stojących przed nimi osób, aby dźwignąć się za wszelką cenę i czym bądź kosztem obejrzeć GO do ostatniego cala. Wspinali się na palce, stawali na poprzeczkach ław, na niemal niczym znajdowali podporę, by patrzeć, patrzeć, patrzeć! Jerry Cruncher — podobny do żywego odłamka kolczastych murów Newgate — stał dobrze widoczny pośród ścisku. Piwny oddech (bo łyknął był po drodze dla kurażu) wysyłał w stronę podsądnego, łączył z innymi wyziewami piwa, dżynu, herbaty, kawy, co gęsto napełniały sądową salę i kroplami nieczystego deszczu poczynały ściekać po zapotniałych szybach wielkich, umieszczonych w głębi okien.

Cel wszystkich spojrzeń i wszystkich zdyszanych oddechów stanowił wysoki, przystojny, mniej więcej dwudziestopięcioletni mężczyzna o ciemnych oczach i śniadej, ogorzałej cerze. Określając jego stanowisko społeczne należałoby użyć zwrotu „młody dżentelmen”. Ubrany był bardzo skromnie w strój czarny lub bardzo ciemnoszary, a długie czarne włosy związał na karku wstążką, raczej dla wygody niż ozdoby. Wzburzenie umysłu objawia się zawsze bez względu na to, jak ciało jest okryte. I tym razem bladość nieodzowna w podobnie groźnej sytuacji przebijała opalenizną dowodząc jasno, że duch ludzki jest mocniejszy niż słońce. Poza tym młody człowiek był spokojny i opanowany. Lekko skłonił się sędziemu i stanął za balustradą ławy oskarżonych.

Charakter spojrzeń i oddechów oblegających zewsząd podsądnego nie przynosił zaszczytu humanitarnym uczuciom widzów. Gdyby człowiekowi temu zagrażał wyrok mniej srogi, gdyby istniała nadzieja, że oszczędzony mu będzie bodaj jeden z potwornych zabiegów — mniej fascynowałby publiczność. Żywy kształt ludzki skazany na okrutne zmasakrowanie stanowił widok nie lada. Istota obdarzona nieśmiertelną duszą, lecz przeznaczona na rzeź tak straszliwą, wywoływała sensację. Zależnie od usposobienia poszczególnych gapiów i stopnia, w jakim potrafili okłamywać samych siebie, zaciekawienie ich płynęło z rozmaitych źródeł, na ogół jednak było drapieżne, ludożercze.

Cisza w sądzie! Karol Darnay oskarżony w dniu wczorajszym na podstawie doniesienia zaprzeczył, jakoby był winny tego, iż dopuścił się niecnej zdrady naszego miłościwego, najjaśniejszego, najłaskawszego itd. Pana i Władcy, króla Jerzego, ponieważ przy rozmaitych okazjach i rozmaitymi drogami oraz sposobami pomagał Ludwikowi, królowi Francji, w jego wojnach przeciwko rzeczonemu miłościwemu, najjaśniejszemu, najłaskawszemu itd., a to podróżując wielokrotnie między posiadłościami rzeczonego miłościwego, najjaśniejszego, najłaskawszego itd. a rzeczonego Ludwika, króla Francji, po to, by zdradliwie, podle, nikczemnie (następuje jeszcze kilka odpowiednio dobranych i niemile brzmiących przysłówków) informować rzeczonego Ludwika, króla Francji, jakie siły rzeczony miłościwy, najjaśniejszy, najłaskawszy itd. posiada w gotowości i

zamierza wysłać do Kanady oraz Ameryki Północnej.

Z niemałym ukontentowaniem Jerry Cruncher rozumiał aż tak wiele i chociaż od słuchania terminów prawniczych włosy powstawały mu na głowie jeszcze wyżej, okólnymi drogami doszedł do wniosku, że wielokrotnie wymieniany Karol Darnay stoi przed trybunałem, że odbywa się zaprzysiężenie ławy przysięgłych, następnie zaś pan prokurator królewski ma rozpocząć mowę oskarżycielską.

Podsądny zdawał sobie sprawę, że niemal wszyscy obecni na sali wieszają go w mrokach wyobraźni, ścinają i ćwiartują. Mimo tak ponurej sytuacji nie załamywał się ani nie przybierał póz teatralnych. Był skupiony i poważny. Z godnością śledził przebieg procedury wstępnej. Stał bez ruchu i chociaż ręce miał oparte na drewnianej balustradzie, nie zrzucił ani jednego listka ziół, którymi była usłana. Wyjaśnić tu należy, że całą salę rozpraw zasypano ziołami i skropiono octem, co służyło jako środek zapobiegający więziennemu zaduchowi i febrze więziennej.

Nad ławą oskarżonych wisiało lustro, aby podsądny stał zawsze w smudze odbitego światła. Z biegiem lat tafla ta rysowała podobizny tłumy zbrodniarzy i przestępców, którzy następnie niknęli niemal równocześnie ze zwierciadlanej powierzchni i z powierzchni ziemi. Ohydna sala rozpraw przedstawiałaby iście upiorny widok, gdyby zwierciadło mogło zwrócić dawne odbicia, podobnie jak ocean zwróci pewnego dnia wszystkich topielców. Karol Darnay pomyślał widać przelotnie o hańbie i poniżeniu, jakim miało służyć owo lustro, kiedy bowiem zobaczył je uniósłszy wzrok, zarumienił się i prawą ręką zrzucił z balustrady nieco suszonego ziela. Tak się złożyło, że w tymże momencie zwrócił odruchowo twarz w lewo i spostrzegł dwie osoby siedzące na podwyższeniu, tuż pod sędziowskim podium. Osoby te objął bystrym wzrokiem i zmienił się tak wyraźnie, że wszystkie zwrócone nań spojrzenia powędrowały naraz w tamtym kierunku.

Gapie zobaczyli młodą damę liczącą zapewne niewiele ponad lat dwadzieścia oraz starszego pana, niewątpliwie jej ojca. Człowiek ów sprawiał dziwne wrażenie, gdyż miał śnieżnobiałe włosy i twarz o szczególnym wyrazie smutku nie aktywnego, lecz jak gdyby zastarzałego, płynącego z wewnątrz. Wyraz ten upodobniał go do zgrzybiałego starca, lecz kiedy starzec ożywił się i zrzucił maskę (jak na przykład w danej chwili podczas rozmowy z córką), mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę w sile wieku.

Córka siedziała obok niego i jedną ręką ujmując ojca pod ramię, drugą ścisnęła mocno jego dłoń. Widać było, że tuli się tak z przerażenia, bo na jej skupionej twarzy malowała się jedynie groza i litość wywołana myślami o srogim losie czyhającym na podsądnego. Było to tak oczywiste i niewątpliwe, że gapie, pozbawieni zupełnie współczucia dla więźnia, wzruszyli się jej bólem. Publiczność drgnęła niespokojnie i salę przebiegł szept:

— Kto to?

— Kto to?

— Kto to?

Jerry Cruncher, który przez cały czas wysysał ślady rdzy z palców i na swój sposób czynił spostrzeżenia, wyciągnął teraz szyję, aby łowić uchem pytania i odpowiedzi. Słowa wędrowały z ust do ust, aż powoli trafiły do najbliższego skryby sądowego, by następnie wracać jeszcze wolniej.

— Kto to?

— Świadkowie.

— Za kim będą świadczyć? — Nie za, tylko przeciwko.

— A więc przeciwko komu?

— Przeciwko oskarżonemu.

Prezes trybunału, którego wzrok powędrował zrazu śladem wszystkich spojrzeń, odwrócił się,

wygodnie zasiadł w fotelu i zapatrzył się w człowieka, którego życie spoczywało w jego rękach. Tymczasem pan prokurator królewski wstał, aby kręcić powróż, ostrzyć topór i młotem wymowy wbijać gwoździe w szafot.

ROZDZIAŁ III

ROZCZAROWANIE

Pan prokurator królewski uważał za swój obowiązek poinformować sędziów przysięgłych, iż stojący przed nimi więzień, jakkolwiek młody wiekiem, jest starym zdrajcą i od dawna dopuszcza się praktyk, które winien opłacić życiem. Jego występne stosunki z wrogiem nie datują się od dzisiaj ani od wczoraj, ani nawet od ubiegłego czy zaprzeszłego roku. Nie ulega wątpliwości, że już w terminach znacznie wcześniejszych podsądny krążył często między Anglią a Francją załatwiając poufne sprawy, co do których nie może udzielić zadowolających wyjaśnień. Gdyby ów zdradziecki proceder rozwijał się pomyślnie (co, na szczęście, nie miało miejsca), prawdziwy występny charakter owych spraw załatwianych przez podsądnego mógłby nigdy nie wypłynąć na światło dzienne. Wszelako Opatrzność natchnęła serce pewnego człowieka bez trwogi i zmayı i kazała mu zdemaskować nieczne plany, aby następnie powiadomić o nich wielce szanownego Strażnika Tajnej Pieczęci miłościwie nam panującego Najjaśniejszego Pana. Patriota ten, którego cała postawa moralna i godne stanowisko w danej sprawie zasługują na najwyższy podziw, niebawem stanie przed ławą przysięgłych. Niegdyś był on przyjacielem podsądnego, gdy jednak w pewnej brzemiennej w skutki a bolesnej godzinie dostrzegł jego występki, pojął, iż nie wolno mu dłużej grzać zmił na własnym łonie ani tolerować jej obecności na najświętszym ołtarzu Ojczyzny. Gdyby w Wielkiej Brytanii podobnie jak w starożytnej Grecji czy w Rzymie stawiano posągi dobroczyńców publicznych, ów wzorowy obywatel niewątpliwie zasługiwałby na posąg. Ponieważ jednak w naszym kraju obyczaj taki nie istnieje, wzorowy obywatel prawdopodobnie posągu mieć nie będzie. Atoli, jak powiadają poeci w nieprzeliczonych strofach, które niewątpliwie cisną się na usta partów sędziów przysięgłych w tej chwili (panowie sędziowie przysięgli zrobili zakłopotane miny dowodząc niezbitcie, że o wzmiankowanych strofach nie mają pojęcia), jak więc powiadają poeci, cnota jest w pewnym sensie zaraźliwa, co szczególnie tyczy podniosłej cnoty zwanej patriotyzmem albo miłością ojczyzny. A zatem świetlany przykład wymienionego powyżej świadka oskarżenia, jako się rzekło człowieka bez trwogi i zmayı, podziałał na służącego więźnia i wzbudził w nim chwalebny zamiar, by w stosownej chwili przetrząsnąć szuflady biurka oraz kieszenie pana, nie mówiąc nawet o jego tajnych papierach. Pan prokurator królewski nie zdziwiłby się wcale, gdyby usłyszał takie lub inne zarzuty skierowane pod adresem przykładowego sługi, mimo to jednak służy tego ceni wyżej niż swoich braci lub swoje siostry i gotów jest uczyć go więcej niż własnych rodziców. Podobnych uczuć ma prawo oczekiwać od panów sędziów przysięgłych i oczekuje ich z ufnością. Zeznania owych dwóch świadków uzupełnione odkrytymi przez nich dokumentami, które zostaną okazane, dowiodą jaśniej słońca, iż podsądny posiadał wykazy morskich i lądowych sił Najjaśniejszego Pana oraz dane dotyczące dyslokacji i stanu gotowości tychże sił, które to informacje przekazywał stale agentom nieprzyjacielskiego mocarstwa. Rzeczne listy nie są pisane ręką podsądnego, lecz fakt ten nie może być uważany za okoliczność łagodzącą i przemawia raczej na korzyść aktu oskarżenia, gdyż dowodzi perfidnej ostrożności zdrajcy. Najstarsze dowody winy liczą sobie pięć lat, wynika więc z nich jasno, że więzień odbywał już swoje ryzykowne podróże na kilka tygodni przed pierwszym starciem między wojskami Najjaśniejszego Pana z Amerykanami. Prokurator królewski nie wątpi, iż panowie sędziowie przysięgli są lojalnymi obywatelami świadomymi swojej wielkiej odpowiedzialności, a więc chętnie czy niechętnie ogłoszą werdykt: WINIEN, gdyż innego ogłosić nie mogą. Panowie sędziowie przysięgli nie zdołaliby nigdy złożyć spokojnie głów na poduszkach i nie potrafiliby sobie wyobrazić, że ich żony lub dzieci złożą

spokojnie głowy na poduszkach, a mówiąc zwięźle oni i ich bliscy nie mogliby spokojnie składać głów na poduszkach, gdyby podsądny nie złożył swojej głowy na katowskim pieńku. Tej głowy pan prokurator królewski domaga się od ławy przysięgłych w imię wszystkiego, co podniosłe i święte, albowiem we własnym przekonaniu uważa już podsądnego za człowieka skazanego i wydanego na pastwę śmierci.

Po zakończeniu mowy oskarżycielskiej w ponurej sali rozpraw zahuczało, jak gdyby roje wielkich zielonych much zawirowały nad podsądnym oczekując tego, czym ma się stać rychło. Ale naturalnym rzeczy porządkiem gwar umilkł i na trybunę świadków wstąpił nieposzlakowany patriota.

Zastępca pana prokuratora królewskiego skierowany na właściwe tory przez zwierzchnika zajął się przesłuchaniem głównego świadka oskarżenia: dżentelmena nazwiskiem John Barsad. Historia czystej duszy wzorowego obywatela odpowiadała dokładnie — może nawet nieco za dokładnie — słowom pana prokuratora królewskiego. Świadek szybko zrzucił ze szlachetnego serca nieznośny ciężar cudzych win i zamierzał wycofać się skromnie. Niestety jednak pragnął mu zadać kilka pytań dżentelmen w peruce, który siedział obok pana Lorry i miał przed sobą gruby plik papierów. Drugi dżentelmen w peruce, od początku zapatrzony w sufit, i tym razem nie odwrócił wzroku.

— Czy świadek sam był kiedykolwiek szpiegiem?

— Nigdy! Stanowczo przeczy tym insynuacjom.

— Z czego żyje?

— Z osobistego majątku.

— Jaki to majątek i gdzie się znajduje?

— Nie może przypomnieć sobie dokładnie. A zresztą, to prywatna sprawa.

— Czy odziedziczył ten majątek?

— Tak. Odziedziczył.

— Po kim?

— Po krewnym.

— Dalekim krewnym?

— Tak. Raczej dalekim.

— Czy siedział kiedy w więzieniu?

— Oczywiście, że nigdy.

— A w więzieniu za długi?

— Świadek nie rozumie, co to może mieć wspólnego ze sprawą.

— Nigdy więc nie siedział w więzieniu za długi?

— Świadek drugi raz powtarza swoje.

— No i jak? Nigdy?

— Owszem, siedział w więzieniu za długi.

— Ile razy?

— Dwa albo trzy.

— A może pięć lub sześć?

— Nie wykluczone.

— Zawód świadka?

— Dżentelmen utrzymujący się z własnych funduszków.

— Czy był kiedy skopany?

— Mogło się zdarzyć.

— A często się zdarzało?

— Nieczęsto.

- Czy nigdy nie był zrzucony kopniakiem ze schodów?
- Na pewno nie! Raz kopnięto go na górnym podejściu, ale dalej stoczył się z własnej chęci.
- Czy w danym wypadku chodziło może o oszustwo przy grze w kości?
- Coś w tym sensie bełkotał pijany oszczerca, który dopuścił się napaści. Ale to kłamstwo.
- Świadek może przysiąc, że to kłamstwo?
- Może przysiąc.
- Czy żył kiedy z oszukańczej gry?
- Nigdy.
- A z gry w ogóle?
- W stopniu nie wyższym, niż to przystoi dżentelmenowi.
- Czy pożyczał pieniądze od podsądnego?
- Tak.
- A zwracał te długi?
- Nie.
- Czy przyjaźń z podsądnym nie była raczej przelotną znajomością narzucaną mu w dyliżansach, zajazdach i na statkach pasażerskich?
- Nie.
- Czy świadek na pewno widywał w rękach podsądnego dokumenty, o których była mowa?
- Na pewno.
- I nic więcej nie wie o tych dokumentach?
- Nic więcej nie wie.
- Nie sam je sprokurował?
- Nie.
- Czy za swoje zeznania spodziewa się pieniężnej nagrody?
- Nie.
- Czy jako prowokator nie otrzymuje regularnej płacy od władz rządowych?
- Na Boga, nie!
- Ani nie otrzymuje takiej płacy w innym charakterze?
- Na Boga, nie!
- Może na to przysiąc?
- Choćby sto razy!
- Czy na donos nie wpłynęły motywy inne niż czysty patriotyzm?
- Nie wpłynęły.

Zacny służący — Roger Cly — gładko złożył przysięgę i dobrze radził sobie z zeznaniami. Przed czterema laty przyjął służbę 11 podsądnego w dobrej wierze i prostocie ducha. Na pokładzie statku utrzymującego komunikację z Calais zagadnął podsądnego, czy nie przyda mu się sprytny chłopak, i z miejsca został zatrudniony. Bynajmniej nie narzuczał się i nie prosił o zmiłowanie. Nawet mu to w głowie nie powstało! Wkrótce zaczął podejrzewać nowego pana i coraz pilniej miał go na oku. Kiedy czyścił ubrania podczas wspólnych podróży, nieraz znajdował w kieszeniach papiery bardzo podobne do tych, które okazano sądowi. Ostatnie dokumenty znalazł w szufladzie biurka podsądnego. Oczywiście nie podłożył ich w to miejsce. Takie i zbliżone zestawienia podsądny pokazywał lub wręczał Francuzom, z którymi spotykał się zarówno w Calais jak i w Boulogne. Pan Roger Cly wielokrotnie był świadkiem takich spotkań. Jest patriotą, kocha kraj rodzinny, nie mógł więc ścierpieć długo podobnej sytuacji i, jak przystało, złożył doniesienie. Nigdy nie był podejrzany o kradzież srebrnego imbryka. Złośliwie pomawiano go o przywłaszczenie srebrnej musztardniczki,

lecz w rezultacie okazało się, że musztardniczka była platerowana. Poprzedniego świadka zna od siedmiu lub ośmiu lat, ale to tylko zbieg okoliczności. Osobliwy? Być może. Zbiegi okoliczności są na ogół osobliwe. Motywem zeznań jest również czysty patriotyzm, czego nie można też uważać za niezwykle zbieg okoliczności. Pan Roger Cly uważa się za dobrego Anglika i sądzi, że w Anglii nie brak podobnych mu ludzi.

Roje zielonych much znów zabrzęczały, a pan prokurator królewski wezwał trzeciego świadka: Jarvisa Lorry.

— Panie Lorry — rozpoczął przesłuchanie — czy jest pan pracownikiem Domu Bankowego Tellsonów?

— Tak.

— Czy pewnej piątkowej nocy w listopadzie roku tysiąc siedemset siedemdziesiątego piątego odbywał pan podróż dyliżansem z Londynu do Dover?

— Odbywałem taką podróż.

— Czy w pojeździe znajdowali się jacyś inni pasażerowie?

— Tak. Dwaj.

— Czy w ciągu nocy wysiedli po drodze?

— Wysiedli.

— Panie Lorry, proszę spojrzeć na podsądnego. Czy jest jednym z tamtych pasażerów?

— Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

— Czy jest podobny do któregoś z nich?

— I tym razem odpowiedź przekracza moje możliwości. Podróżowaliśmy w noc szczególnie ciemną, bardzo grubo ubrani i nie zamieniliśmy ani słowa.

— Panie Lorry, proszę ponownie spojrzeć na podsądnego. Załóżmy, że jest opatulony podobnie jak tamci dwaj pasażerowie. Czy jego wzrost lub postawa wyklucza możliwość, że jest to jeden z nich?

— Nie wyklucza.

— Przysięgnie pan, panie Lorry, że to na pewno nie żaden z pańskich ówczesnych towarzyszy podróży?

— Nie przysięgną.

— A zatem twierdzi pan, że podsądny mógłby być jednym z nich?

— Zapewne... Hm... Z małym zastrzeżeniem. Tamci, podobnie jak ja, bardzo się bali rozbójników. Podsądny nie wygląda na osobnika trwożliwego.

— A często widywał pan osobników trwożliwych?

— Naturalnie, że widywałem.

— Niech pan jeszcze raz spojrzy na podsądnego. Czy widział pan już niegdyś tego człowieka?

— Widziałem.

— Kiedy?

— W kilka dni po owej podróży dyliżansem wracałem z Francji. W Calais podsądny wszedł na pokład i wspólnie odbyliśmy drogę przez Kanał.

— O której godzinie wszedł na pokład?

— Wkrótce po dwunastej.

— A więc głuchą nocą. Czy był jedynym pasażerem, który przybył o tak spóźnionej porze?

— Tak się złożyło.

— Proszę nie mówić o tym, co i jak się złożyło. Czy był jedynym pasażerem, który przybył o tak spóźnionej porze?

— Jedynym.

— A pan, panie Lorry, odbywał podróż samotnie czy w towarzystwie?

— W towarzystwie dwóch osób: pani i pana. Obydwoje są obecni na sali.

— Wiem, że są obecni na sali. Czy rozmawiał pan wówczas z podsądnym?

— Bardzo niewiele. Był sztorm. Płynęliśmy długo. Czuję się źle i leżałem na sofie prawie całą drogę, od brzegu do brzegu.

— Panna Manette.

Młoda dama wstała z miejsca i po raz drugi tego dnia przyciągnęła wszystkie spojrzenia. Ojciec podniósł się jednocześnie z córką i nie wypuścił spod ramienia jej ręki.

— Panno Manette, proszę spojrzeć na podsądnego. Współczucie, młodość, uroda— wszystko to było dla więźnia próbą nieporównanie cięższą niż widok bezlitosnego tłumu. Stojąc nad grobem, twarzą w twarz z piękną panną, lecz tak od niej daleko, nie potrafił zachować kamiennego spokoju nawet w obliczu otaczającej go zewsząd krwiożerczej ciekawości. Drżącą prawą ręką począł układać z suszonych ziół urojone klomby kwiatowego ogrodu. Daremnie starał się o równy, spokojny oddech, a drżące wargi posiniały mu tak, jak gdyby cała krew spłynęła z nich do serca. Brzęczenie wielkich zielonawych much rozległo się znów donośnie.

— Panno Manette, czy widziała już pani kiedyś podsądnego?

— Tak, proszę pana.

— Gdzie?

— Na wspomnianym przed chwilą statku i przy tej samej sposobności.

— O pani zatem mówił niedawno pan Lorry?

— Niestety, o mnie. Mój Boże! Mój Boże!

W żalony ton szczerego współczucia wtargnął mniej melodyjny głos prezesa trybunału, który przypomniał, że świadek winien odpowiadać na zadawane pytania i powstrzymać się od komentarzy.

— Panno Manette — podjął pan prokurator królewski — czy w czasie podróży przez Kanał rozmawiała pani z podsądnym?

— Tak, proszę pana.

— Proszę powtórzyć tę rozmowę.

Pośród grobowej ciszy dziewczyna rozpoczęła drżącym głosem:

— Kiedy ten pan wszedł na pokład...

— Ma pani na myśli podsądnego? — wtrącił prezes groźnie marszcząc brwi.

— Tak, wysoki sędzie.

— Proszę więc mówić: podsądny.

— Kiedy podsądny wszedł na pokład, mój ojciec — czułym spojrzeniem objęła stojącego u jej boku starszego mężczyznę — był bardzo zmęczony i stan jego zdrowia pozostawiał wiele do życzenia. Obawiałam się pozbawiać chorego świeżego powietrza, urządziłam mu więc poślanie na pokładzie w pobliżu zejścia do kabin, sama zaś postanowiłam czuwać nad nim nieustannie. Na statku nie było pasażerów, prócz nas czworga. Podsądny zwrócił się do mnie uprzejmie i pokazał mi, w jaki sposób osłonić ojca od wiatru lepiej, niż to zrobiłam. Sama nie mogłam sobie poradzić, bo nie wiedziałam, z której strony wiatr powieje, kiedy wypłyniemy z portu. Podsądny był tak dobry, że wszystko za mnie zrobił. Nie szczędził słów współczucia dla mojego ojca i mam wrażenie, że był szczerzy. Tak rozpoczęły się nasze rozmowy.

— Niechaj mi wolno będzie przerwać pani na moment. Czy podsądny wszedł na statek sam?

— Nie.

— Ile z nim było osób?

— Dwaj Francuzi.

— Prowadzili jakieś rozmowy?

— Tak. Do ostatniej chwili, kiedy Francuzi musieli wrócić na ląd swoją łodzią, bo nasz statek odpływał.

— Czy podczas tych rozmów widziała pani papiery podobne do tych dokumentów?

— Widziałam jakieś papiery, ale nie potrafię ich opisać.

— Czy przypominały te arkusze kształtem albo rozmiarem?

— Możliwe... Nie wiem, doprawdy, chociaż podsądny i Francuzi stali bardzo blisko, u szczytu schodków wiodących do kabin. Zapewne chcieli korzystać ze światła, wiszącej tam latarki. Ale latarka była zakopcona, a rozmowę prowadzono szeptem, nie słyszałam więc nic, widziałam zaś tyle tylko, że przeglądali jakieś papiery.

— Panno Manette, wróćmy teraz do pani rozmów z podsądnym.

— Podsądny był dla mego ojca dobry, serdeczny, troskliwy, a ze mną rozmawiał dużo i otwarcie. Zapewne litował się nad naszym oplakany położeniem. Mam nadzieję — łzy popłynęły obficie z dziewczęcych oczu — że dzisiaj nie odpłacę mu niewdzięcznością i nie stanę się przyczyną jego krzywdy.

Jeszcze raz zabrzmiały donośnie natrętne muchy.

— Panno Manette, składa pani zeznania przed sądem, czyli z konieczności spełnia obowiązek, którego uniknąć niepodobna. Może podsądny niedokładnie to pojmuje, lecz nikt więcej na sali nie podziela jego wątpliwości. Proszę opowiadać dalej.

— Podsądny zwierzał się, że do podróżowania zmuszają go pewne zawile sprawy delikatnej natury, których ujawnienie mogłoby narazić na przykrości wiele osób, dlatego więc on występuje pod przybranym nazwiskiem. Ostatnio na przykład musiał spędzić kilka dni we Francji i zapewne jeszcze przez długi czas będzie krążył między Wyspami Brytyjskimi i Kontynentem.

— Czy mówił coś na temat Ameryki? Proszę sobie dokładnie przypomnieć, panno Manette.

— Próbował mi tłumaczyć, co było powodem zadrażnień, podkreślając, że jego zdaniem Anglia zajęła stanowisko błędne i nierozsądne. Dodał ponadto żartobliwym tonem, że pan Jerzy Waszyngton może zyskać w historii imię większe nawet niż sam król Jerzy Trzeci. W zdaniu tym nie widziałam niczego złego, bo wypowiedziane było ze śmiechem, jak to w gawędzie dla zabicia czasu.

Gdy rozgrywa się scena budząca żywe zainteresowanie, każdy ostro zaznaczony wyraz twarzy głównego aktora znajduje wnet odbicie na obliczach nieświadomych tego widzów. I tym razem w czasie składania zeznań panna Manette miała czoło boleśnie zmarszczone, ilekroć zaś czyniła krótkie pauzy, by prezesowi trybunału dać czas na sporządzenie notatek, obserwowwała zbliżone fałdy na czołach rzeczników oskarżenia i obrony. Na całej sali rozpraw pośród publiczności widać było tu i ówdzie podobnie skupione twarze, które (prawdę mówiąc) stanowiły znakomitą większość w chwili, gdy prezes trybunału uniósł wzrok posłyszawszy straszliwą herezję o Jerzym Waszyngtonie.

Pan prokurator królewski oznajmił wysokiemu sądowi, iż ze względów proceduralnych i formalnych uważa za wskazane, by doktor Manette, ojciec młodej damy, również złożył zeznania. Sąd przychylił się do tego wniosku i powołał świadka.

— Doktorze Manette — rozpoczął pan prokurator królewski — proszę spojrzeć na podsądnego. Czy widział go pan, kiedy?

— Raz jeden. Był w moim mieszkaniu w Londynie trzy lata temu, może trzy i pół.— Czy poznaje pan w nim towarzysza podróży na statku płynącym z Callais do Dover i czy przypomina pan sobie jego rozmowy z pańską córką?

— Nie poznaję go i nie przypominam sobie rozmów z moją córką.

— Istnieją po temu szczególne powody?

— Tak... szczególne... powody — odparł świadek zdławionym szeptem.

— Doktorze Manette, czy za szczególny powód uważa pan pożałowania godny fakt, iż w rodzinnym kraju bez rozprawy sądowej a nawet bez oskarżenia spędził pan wiele lat w więzieniu?

— Wiele lat... w więzieniu... — powtórzył Francuz takim tonem, że ścisnęły się wszystkie serca.

— Czy w okresie, o którym mowa, był pan niedawno zwolniony?

— Tak twierdzą moi bliscy.

— A sam pan nic nie pamięta?

— Nie. We wspomnieniach mam mroczną lukę od momentu... nie potrafię określić, kiedy to właściwie było... gdy w więzieniu zająłem się robieniem butów. Świadomość odzyskałem pewnego dnia w moim londyńskim domu, gdzie do dziś mieszkam z obecną tutaj ukochaną córką. Była mi już wtedy znajoma i bliska, ale nie potrafię powiedzieć, jak i kiedy się z nią zżyłem. Nie zachowałem w pamięci przebiegu tego procesu.

Pan prokurator królewski zajął miejsce na swoim fotelu, ojciec i córka usiedli jednocześnie.

Od tej chwili rozprawa poczęła przybierać szczególny obrót. Głównym celem oskarżenia było przeprowadzenie dowodu, iż owej piątkowej nocy w listopadzie roku tysiąc siedemset siedemdziesiątego piątego podsądny w towarzystwie nie wykrytego współnika opuścił Londyn dylizansem udającym się do Dover. Dla zatarcia śladów wysiadł nocą w pewnej przydrożnej miejscowości, nie pozostał tam jednak, lecz wrócił mniej więcej dwanaście mil, aby zebrać potrzebne informacje w mieście, gdzie stał garnizon i znajdowały się doki. Pan prokurator królewski powołał świadka, który miał stwierdzić, że następnego dnia o bardzo stosownej porze podsądny był w owym mieście garnizonowym i w hotelowej restauracji niewątpliwie kogoś oczekiwał. obrońca zasypał świadka pytaniami, lecz nie osiągnął wiele, bo dowiedział się jedynie, że świadek widział podsądnego tylko ten jeden raz w życiu. Nagle dżentelmen w peruce, który dotychczas gapił się na sufit, skreślił kilka słów na kartce, zwinął ją w trąbkę i rzucił przez stół obrońcy, ten zaś przeczytał ukradkiem wiadomość i z nowym zainteresowaniem przyjrzał się Darnayowi.

— Świadek twierdzi nadal, że w hotelowej restauracji był napewno podsądny?

Świadek nie miał pod tym względem wątpliwości.

— Czy świadek widział kiedy kogoś podobnego do podsądnego?

— Nie tak bardzo podobnego, by mogła zajść omyłka.

— Proszę się dobrze przyjrzeć temu panu, mojemu uczonemu koledze — wskazał dżentelmena w peruce, od którego przed chwilą otrzymał kartkę — a następnie podsądnemu. No i co świadek powie? Są chyba bardzo podobni?

Pomijając fakt, że uczony kolega miał wygląd zaniedbany i sprawiał wrażenie zniszczonego hulaki, podobieństwo dwóch mężczyzn było tak uderzające, że zdumiało nie tylko świadka, lecz i wszystkich obecnych na sali. Za niechętnie udzielonym przyzwoleniem prezesa trybunału uczony kolega zdjął na moment perukę, dzięki czemu upodobił się jeszcze bardziej do swojego sobowtóra z ławy oskarżonych. Prezes trybunału zapytał pana Stryvera (obrońcę podsądnego), czy zamierza z kolei oskarżyć pana Cartonę (tak nazywał się uczony kolega) o zdradę. Pan Stryver odpowiedział przeczeniem i wyjaśnił, iż pragnął tylko wykazać, że coś, co zdarzyło się raz, mogło również przytrafić się dwa razy. Następnie zadał świadkowi pytanie, czy byłby tak pewien swego, gdyby uprzednio miał możliwość porównać uczonego kolegę z oskarżonym, i czy po tym eksperymencie jest nadal tak pewien swego? W rezultacie świadek załamał się, a jego wkład do sprawy zupełnie spalił na panewce.

Słuchając kolejnych zeznań pan Cruncher zdążył posilić się nieźle rdzą wyssaną z palców, przerwał jednak posiłek i nastawił uszu, kiedy pan Stryver zaczął demonstrować przysięgłym sprawę podsądnego wywróconą jak surdut podszewką do góry. Ów nieskazitelny patriota — Barsad — jest płatnym szpiegiem i zdrajcą, bezwstydnym handlarzem krwi, najnikczemniejszym łotrem na ziemi — od czasów wyklętej pamięci Judasza, którego zresztą pod wielu względami przypomina. A zacny służący — Cly — to przecież kamrat i współnik Barsada! Warci są siebie. Bystry wzrok pary fałszerzy i krzywoprzysięzców upatrzył Karola Darnaya jako ofiarę. Dlaczego? Bo Karol Darnay, Francuz z. pochodzenia, często odbywał podróże między Anglią i Francją załatwiając sprawy rodzinne tak drażliwe dla 'bliskich mu i drogich osób, że nie może ich ujawnić nawet za cenę życia. Zeznania wydobyte brutalnie z młodej damy, której ból i zmieszanie wszyscy niewątpliwie dostrzegli, nie dowodzą niczego. Rozmowy między ową damą a podsądnym ograniczały się do gładkich słówek i uprzejmości, jakie mogliby wymieniać każdy młody człowiek i każda panienka, którym los kazał zostać towarzyszami podróży. Zastrzeżenie budzi jedynie wzmianka o Jerzym Waszyngtonie, wszelako jej niedorzeczność i 'dziwactwo jasno świadczą, że była makabrycznym żartem. Władze państwowe nie powinny szukać taniej popularności grając na niskich instynktach narodowych niechęci, a chociaż pan prokurator królewski uczynił w danym wypadku wszystko, co w ludzkiej mocy, akt oskarżenia opiera się jedynie na fałszywych donosach i zeznaniach zniekształcających fakty, co zresztą zdarza się i zdarzało często, jak wynika z licznych akt sądowych naszego kraju. W tym miejscu prezes trybunału udzielił napomnienia obrońcy i zrobił tak groźną minę, jak gdyby pan Stryver istotnie rozminął się z prawdą.

Z kolei złożyło zeznania paru świadków oskarżenia, następnie zaś pan Cruncher miał sposobność wysłuchać, jak replika oskarżycielska ponownie odwraca surdut podszewką do wnętrza. Przebieg rozprawy wykazał niezbitcie, iż Barsad i Cly są sto razy lepsi, niż się to zrazu wydawało, podsądny zaś — przynajmniej sto razy gorszy. Po panu prokuratorze królewskim głos zabrał prezes trybunału, który przewracał surdut raz na jedną, raz na drugą stronę, na ogół jednak przykrawał całun śmiertelny dla podsądnego. Wreszcie sędziowie przysięgli odwrócili się twarzami do ściany, by w spokoju zastanowić się nad werdyktem.

Roje zielonych much zadzwięczały znowu. Pan Carton spoglądał wciąż w sufit i nie zmieniał miejsca ani postawy nawet obecnie, gdy wokoło nie brakowało oznak podniecenia. Stryver nerwowo przekładał papiery, szeptał coś z sąsiadami i od czasu do czasu zerkał podejrzliwie ku ławie przysięgłych. Publiczność kręciła się po sali, wymieniała uwagi, tworzyła nowe grupki. Nawet sam prezes trybunału powstał z fotela i wolno przechadzał się tam i z powrotem po swoim podeście nie bacząc, iż złośliwość ludzka może pomówić go o stan rozgorączkowania. Tylko ów młody prawnik siedział przechylony do tyłu w podartej, zsuniętej z ramion todze i w peruce sterczącej na bakier, tak jak ją włożył po chwilowym odsłonięciu głowy. Ręce trzymał w kieszeniach i spoglądał w sufit nie inaczej, niż czynił to przez dzień cały. Jego niedbała poza i znudzona mina budziły antypatię, a ponadto zmniejszały podobieństwo do oskarżonego tak bardzo, że gapie poczynali szeptać tu i ówdzie, iż ci dwaj nie są wcale podobni. Pan Cruncher szepnął coś w tym sensie najbliższemu sąsiadowi i dorzucił z przekąsem:

— Założę się o pół gwinei, że ten niewiele ma roboty. Co? Nie wygląda wcale na prawnika, któremu sprawy pchają się w ręce.

Ale pan Carton widział więcej, niżby się zdawać mogło, kiedy bowiem głowa panny Manette opadła bezwładnie na pierś jej ojca, spostrzegł to pierwszy i powiedział głośno:

— Woźny! Zajmij się młodą damą. Pomóż ją wyprowadzić. Nie widzisz, że mdleje?

Kiedy wyprowadzano z sali pannę Manette, publiczność nie szczędziła wyrazów współczucia

zarówno jej jak i ojcu. Przypomnienie niedoli i cierpień źle podziało na doktora. Był niespokojny podczas słuchania zeznań, następnie zaś powrócił na jego twarz zwykły wyraz tępego przygnębienia. Spowijał ją na kształt ciężkiej czarnej chmury i nadmiernie postarzał. Wkrótce po odejściu pana Manette i jego córki sędziowie przysięgli odwrócili się znów twarzami do sali i przemówili ustami przewodniczącego ławy.

Okazało się, że nie osiągnęli jednomyślności, pragną więc „udać się na osobność”. Prezes trybunału, który myślał, być *może*, o Jerzym Waszyngtonie, zdradził pewne zdziwienie, iż nie osiągnięto jednomyślności, pozwolił jednak przysięgłym „udać się na osobność” i sam opuścił salę. Rozprawa zajęła cały dzień i w sądzie zapalano już lampy. Zaczęły krążyć pogłoski, że namysły przysięgłych mogą potrwać bardzo długo, toteż widzowie wychodzili na miasto, by się posilić, a podsądny cofnął się w głąb ławy oskarżonych i usiadł.

Pan Lorry wyszedł za panną Manette i jej ojcem, obecnie jednak wrócił i skinął na Jerry'ego, który przecisnął się doń łatwo, igdyż sala na poły opustoszała.

— Jerry, możesz teraz coś przekąsić, jeżeli jesteś głodny. Ale nie odchodź daleko. Na pewno usłyszysz, że przysięgli wracają. Nie spóźnij się ani o sekundę. Chcę, żebyś zaraz poniósł werdykt do banku. Nie znam szybszego niż ty gońca. Na pewno dotrzesz do Tempie Bar na długi ,czas przede mną.

W braku kapelusza Jerry dotknął niskiego czoła dziękując za słowa uznania oraz szylinga. W tej chwili zbliżył się Carton i położył dłoń na ramieniu pana Lorry.

— Jak się czuje panna Manette?

— Bardzo przygnębiona i zdenerwowana. Ale w poczekalni dla świadków zrobiło się jej lepiej. Ojciec próbuje ją pocieszać.

— Powiem o tym podsądnemu, bo widzi pan, nie wypada, by rozmawiał z nim publicznie poważny dżentelmen, pracownik znanego banku.

Pań Lorry poczerwieniał, jak gdyby uprzytomnił sobie, że przed chwilą dręczyła go ta właśnie kwestia, a Carton ruszył w stronę ławy oskarżonych. Ponieważ droga z sali rozpraw wiodła w tym samym kierunku, Jerry poszedł za nim wytyczając wzrok i słuch tak, że włosy zjeżyły mu się na głowie jeszcze bardziej.

— Panie Darnay.

Podsądny wstał i zbliżył się do balustrady.

— Niewątpliwie interesuje pana stan zdrowia świadka, panny Manette. Otóż młoda dama czuje się lepiej. Widział pan jej najgorsze chwile. Po zeznaniach była bardzo wzruszona.

— Niezmiernie mi przykro, że stałem się mimowolną przyczyną jej wzruszenia. Może zechce pan powtórzyć to w moim imieniu i dodać wyrazy głębokiego szacunku i życzliwości dla panny Manette.

— Chętnie to zrobię, jeżeli pan sobie życzy.

Maniery pana Caritona były niedbałe, prawie obraźliwe. Rozmawiając z podsądnym stał obrócony do niego bokiem, oparty łokciem o balustradę.

— Życzę sobie i proszę o to — powiedział Karol Darnay. — A panu dziękuję z głębi serca.

Carton nie zmienił pozy.

— Czego się pan spodziewa? — zapytał.

— Najgorszego.

— Stanowisko rozumne i wskazane. Chociaż przysięgli udali się na osobność. To zdaje się przemawiać na pańską korzyść.

Jerry nie słyszał więcej, bo nie wolno było wałęsać się w bliskości wyjścia z sądu. Opuścił salę, gdzie zostawił dwóch mężczyzn, równie podobnych z rysów twarzy, jak niepodobnych ze sposobu

bycia, którzy stali obok siebie pod własnymi odbiciami w lustrze umieszczonym nad ławą oskarżonych.

Półtorej godziny — chociaż urozmaicone piwem i zimną baraniną — wlokło się leniwie w nawiedzanych przez łotrów i złodziei korytarzach. Ochryply posłaniec posiliwszy się usiadł na niewygodnej ławie i zapadł w drzemkę. Nagle zbudził go gwar i porwała na piętro rzeka ludzi wracających pospiesznie do sądowej sali.

— Jerry! Jerry! — nawoływał pan Lorry stojąc już w drzwiach.

— Jestem! Jestem, wielmożny panie! Okropny ścisk! Już lecę, lecę! Nad głowami ciżby pan Lorry rzucił mu zmiętą kartkę.

— Masz?

— Mam, wielmożny panie.

— Biegnij żywo.

Na papierze widniało tylko jedno spiesznie skreślone słowo: UNIEWINNIONY

—Hm... Gdybyś dzisiaj napisał „wrócony życiu" — mruknął do siebie Jerry — dobrze bym wiedział, co to znaczy.

Na tym musiał urwać rozważania i zdołał zebrać myśli dopiero za murami Old Bailey, gdyż tłum wypływał z sądu tak gwałtownie, że omal go z nóg nie zwalił. Zdawać się mogło, że roje zawiedzionych much — wielkich i zielonych — odlatują z głośnym brzęczeniem, by gdzie indziej szukać innej padliny.

ROZDZIAŁ IV

GRATULACJE

Ostatnie szumowiny ludzkiego rosołu, który kipiał przez dzień cały, odpływały z mętnie oświetlonych korytarzy sądowych, gdy doktor Manette z córką Lucie, pan Lorry i adwokat Stryver otoczyli zwolnionego z więzienia Karola Darnaya, aby pogratulować mu ucieczki ze szponów śmierci.

Nawet przy znacznie lepszym świetle trudno byłoby rozpoznać szewca z paryskiego poddasza w mężczyźnie o wyprostowanej postawie i inteligentnej twarzy, jakim stał się lekarz z Beauvais. Ale postać jego przykuwała wszystkie spojrzenia, jeżeli nawet zasięg obserwacji nie obejmował posępnych tonów niskiego, poważnego głosu oraz niespodziewanych ostępień, jakim doktor Manette podlegał bez widocznej przyczyny. Każda wzmianka o, latach przewlekłej męki (taka na przykład, jak podczas rozprawy sądowej) rodziła posępną zadumę i dobywała ją z tajników duszy. Przygnębienie jawiło się często samo przez się i ogarniało byłego więźnia w sposób niepojęty dla osoby nie obznajmionej z jego losami, jak gdyby naprawdę twarz doktora spowił nagle cień odległej o trzysta mil Bastylii.

Tylko córka miała dziwną moc rozpraszania owych żalonych mroków. Była złotą nicią wiążącą przeszłość z chwilą obecną — lata poprzedzające mękę z tymi, co nastąpiły po jej zakończeniu. Dźwięk głosu Lucie, promienny wyraz twarzy, dotknięcie ręki nie zawodziły prawie nigdy i wywierały na ojca wpływ zbawienny. Nie zawsze tak się działo i dziewczyna pamiętała przypadki, gdy jej starania nie odnosiły skutku. Wierzyła jednak w siebie, gdyż niepowodzenia trafiały się nader rzadko.

Karol Darnay z uczuciem i zapałem ucałował dłoń młodej damy, aby z kolei zwrócić się do swego obrońcy i gorąco mu podziękować. Pan Stryver liczył niewiele ponad trzydziestkę, wyglądał jednak o dwadzieścia lat starzej. Był tęgi, czerwony, hałaśliwy, bardzo pewny siebie i kompletnie wyprany z wszelkich pozorów delikatności. Do towarzystw i rozmów potrafił wpychać się natrętnie, co nie kolidowało z jego metodą torowania sobie łokciami drogi przez życie. Obecnie nie zdążył jeszcze zdjąć togi i peruki, a w bezpośrednie sąsiedztwo klienta wepchnął się tak natrętnie, że odtrącił pod ścianę Bogu ducha winnego pana Lorry.

— Miło mi, panie Darnay — powiedział — że z honorem wyciągnąłem pana z matni. Oskarżenie było niktzemne, najnikczemniejsze pod słońcem, ale dlatego właśnie miało wielkie szansę powodzenia.

— Wdzięczność zachowam do końca życia, bo winienem panu życie — rzekł były więzień.

— Robiłem, panie Darnay, co mogłem, a mogę chyba nie mniej niż inni.

Ktoś musiał oczywiście dodać: „Nawet znacznie więcej!”, wziął więc to na siebie pan Lorry, nie tyle może z przekonania, co chcąc wcisnąć się z powrotem do zajętej rozmową grupki.

— Tak pan sądzi, co? — ciągnął prawnik. — Był pan na sali cały dzień, no i powinien się pan znać na takich rzeczach. Jest pan człowiekiem interesu, podobnie jak ja.

— I w tym charakterze — podchwycił pan Lorry, którego mąż uczony w prawie wepchnął do grupki podobną metodą, jaką go uprzednio wypchnął — proponuję, aby doktor Manette zamknął naszą konferencję i polecił uczestnikom udać się do domów; Panna Lucie mizernie wygląda. Pan Darnay ma za sobą okropny dzień. Wszyscy jesteśmy przemęczeni.

— Proszę mówić tylko we własnym imieniu, panie Lorry. Mnie czeka noc ciężkiej pracy. Proszę mówić we własnym imieniu — obruszył się adwokat.

— Mówię we własnym imieniu i w imieniu panny Manette, i pana Darnaya, i... panno Lucie, chyba mam prawo mówić w imieniu całego zgromadzenia? — ostatnie pytanie podkreślił dobitnym naciskiem i wymownie spojrzął na doktora.

Ten ostatni wpatrywał się w Darnaya, a twarz krzepła mu stopniowo w osobliwy wyraz niechęci, nieufności, ba! nawet obawy. Widać było, że myślami błądzi znów gdzieś daleko.

— Ojcie — szepnęła Lucie kładąc mu delikatnie dłoń na ramieniu.

Otrząsnął się z zadumy i spojrzął na córkę.

— Czy życzysz sobie, abyśmy wrócili do domu?

— Tak — odpowiedział, a zabrzmiało to niby głębokie westchnienie.

Grupka — przyjaciół Karola Darnaya rozpraszała się pod szczególnym, zapoczątkowanym przezeń wrażeniem, iż tego wieczora nie wydobędzie się na wolność. W korytarzach gaszono już światła, ze szczykiem i łoskotem zamykano żelazne wrota. Ponury gmach miał opustoszeć do następnego dnia, kiedy zainteresowanie szubienicą, pręgierzem, palem chłosty i żelazami do piętnowania ponownie wypełni go ludźmi.

Lucie Manette wyszła na ulicę między ojcem i uwolnionym podsądnym. Wnet przywołano dorożkę i ojciec odjechał pod opieką córki.

Pan Stryver pożegnał się w korytarzu i zamaszystym krokiem ruszył w stronę pokoju adwokackiego, aby zostawić tam perukę i tokę. Tymczasem ktoś inny, kto nie przyłączył się uprzednio do rozmawiającej grupy i z nikim nie zamienił słowa, lecz stał na uboczu w najgęstszym cieniu, dyskretnie wysunął się z sądu i przystanąwszy na chodniku patrzył śladem dorożki, pokąd nie odjechała. Następnie zbliżył się do pana Lorry i Darnaya.

— No i cóż, panie Lorry? — zagadnął. — Człowiek interesu może teraz spokojnie rozmawiać z panem Daranayem?

Nikt dotąd nie wspomniał słowem o roli odegranej tego dnia przez pana Carton. Nikt o nim nie pamiętał. Adwokat nie miał na sobie togi, lecz w zwyczajnym ubraniu wyglądał niewiele lepiej.

— Tęgo ubawiłby się pan, panie Darnay — ciągnął Carton — gdyby pan widział, jakie srogie walki między dobrymi skłonnościami a przywiązaniem do pozorów toczą się czasem w duszy człowieka interesu.

Stary bankowiec poczerwieniał na twarzy i odparł żywo:

— Był pan już łaskaw mówić dziś na ten temat. My, ludzie interesu służący firmie, nie jesteśmy panami własnej woli. O firmie musimy myśleć więcej niż o sobie.

— Wiem, wiem — przerwał lekceważąco młody prawnik. — Proszę się nie jeżyć, panie Lorry. Nie gorszy z pana człowiek niż inni. Ba! Chyba nawet lepszy.

— Słowo daję, proszę pana — ciągnął Jarvis Lorry nie bacząc na wtrącone zdanie — nie rozumiem, co właściwie ma pan tu do powiedzenia. Przepraszam za uwagę, do której upoważnia mnie wiek, ale wydaje mi się, że to nie pański interes.

— Interes! Na Boga! Ja nie mam żadnych interesów.

— Bardzo współczuję, łaskawy panie.

— Ja też sobie współczuję.

— Gdyby miał pan interesy — ciągnął bankowiec — może dbałby pan o nie.

— Nie! Nie dbałbym. Na pewno!

— Szkoda, łaskawy panie. Interesy to sprawy poważne, godne nie lada szacunku — zawołał pan Lorry dotknięty do żywego podobną beztrąską. — Naturalnie obarczają nas pewnymi obowiązkami i niekiedy wbrew woli zmuszają do milczenia, ale człowiek tak szlachetny jak pan Darnay pojmuje to bez wątpienia. Życzę dobrej nocy, panie Darnay. Niech Bóg ma pana w swojej pieczy. Myślę, że

ocalił dziś pana, by dać mu długie i szczęśliwe życie. Hej! Lektyka!

Pan Lorry zirytowany po trosze na siebie i młodego adwokata szybko usadowił się w lektyce i został poniesiony w stronę Domu Bankowego Tellsonów. Wówczas Carton — podchmielony nieco i silnie pachnący winem — roześmiał się i zwrócił do Darnaya:

— Szczególny kaprys losu zrządził nasze spotkanie. Jak się pan czuje stojąc na ulicznym bruku twarzą w twarz z sobowtórem?

— Trudno mi jeszcze uwierzyć, że wróciłem do tego świata — odparł Karol.

— Nic dziwnego. Tak niedawno był pan na prostej drodze do tamtego. Mówi pan słabym głosem.

— Bo trochę mi słabo.

— Więc czemu, u diaska, nie zje pan czego? Ja to zrobiłem, kiedy te tępaki głowiły się nad kwestią, do którego świata powinien pan należeć: naszego czy też jakiegoś innego. Zaraz pokażę panu najbliższą knajpę, gdzie można się smacznie posilić.

Ujął Darnaya pod ramię i przez Ludgate Hill zaprowadził na Fleet Street, a następnie krytym pasażem do ustronnej restauracji. Tam dwaj młodzi ludzie zasiedli w osobnym pokoiku i były podsądny pokrzepił się skromnym, lecz smacznym obiadem oraz dobrym winem. Carton zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu i mając przed sobą własną butelkę porto zachowywał się nadal w sposób niedbały, niemal obraźliwy.

— No i co, panie Darnay? Zaczyna pan wierzyć w swój powrót na tę ziemię?

— Mam „ pewne wątpliwości co do czasu i miejsca. Ale w swój powrót na tę ziemię istotnie zaczynam wierzyć.

— To musi być diabelna satysfakcja!

Carton rzucił ostatnie zdanie ironicznym tonem i jeszcze raz podniósł do ust bardzo dużą szklanekę.

— Jeżeli o mnie chodzi — ciągnął — to najgoręcej pragnę zapomnieć, że chodzę po naszej ziemi. Z wyjątkiem wina nie ma tu dla mnie nic dobrego, a i ja całkiem nie nadaję się do życia. Przynajmniej pod tym względem pan i ja różnimy się zupełnie. Ba! Zaczynam podejrzewać, że w ogóle jesteśmy do siebie podobni znacznie mniej, niż się to na pozór wydaje.

Karol był wyczerpany przeżyciami dnia, a towarzystwo gburowatego sobowtóra zdawało mu się chwilami sennym koszmarem, zawahał się więc i w rezultacie nic nie odpowiedział.

— Jest już pan po obiedzie — podjął niebawem miody prawnik. — Zechce pan chyba wypić za czyjeś zdrowie, wznieść jakiś toast?

— Za czyje zdrowie? Jaki toast? — zdziwił się Darnay.

— No, jeden toast ma pan na końcu języka! Zgadłem, co? Gotówem przysiąc, że się nie mylę.

— A więc, za zdrowie panny Manette.

— A więc, za zdrowie panny Manette — powtórzył Carton. Wypił, spojrzał w oczy współbiednika i opróżnioną szklanekę

rzucił przez ramię, a gdy trafiła w ścianę i rozprysnęła się na części, zadzwonił i kazał podać drugą.

— Przyjemnie odprowadzać do karocy tak urodziwą młodą damę... zwłaszcza po ciemku... Nieprawda, panie Darnay? — zapytał po chwili nalewając sobie wina.

Odpowiedzią było jedynie lakoniczne: „tak” i ledwie dostrzegalne zmarszczenie brwi.

— Przyjemnie odczuć litość tak urodziwej młodej damy. Przyjemnie być przez nią oplakiwanym — ciągnął adwokat. — No, jakie to uczucie? Warto chyba czekać wyroku śmierci, aby zarobić na takie współczucie i litość. Co, panie Darnay?

Tym razem Karol nie odezwał się słowem.

— Okropnie się ucieszyła, jak powtórzyłem to, co pan polecił jej powiedzieć. Nie zdradziła radości. Nie! Nie! Ale tak mi się zdawało.

Ta dyskretna aluzja przypomniała Karolowi, że jego niesympatyczny kompan pomógł mu nie proszony w najkrytyczniejszym momencie minionego dnia, wobec czego skierował rozmowę na ten właśnie temat i wyraził Cartonowi wdzięczność.

— Nie chcę pańskich podziękowań i wcale na nie nie zasługuję — padła szorstka odpowiedź. — Po pierwsze, nie zrobiłem nic wielkiego, a po drugie, nie mam pojęcia, czemu to zrobiłem. Panie Darnay! Wolno zadać panu jedno pytanie?

— Oczywiście. Należy się panu przecież nagroda za wielką przysługę.

— Czy sądzi pan, że darzę go szczególną sympatią?

— Doprawdy, panie Carton — bąknął zbity z tropu Karol — nie zastanawiałem się nad tą kwestią.

— Niechaj się pan teraz nad nią zastanowi.

— Postępek pana nakazywałby odpowiedź twierdzącą, nie sądzę jednak, by tak w istocie było.

— Ja też nie sądzę — odburknął Carton. — Zaczynam nabierać dołbrego mniemania o pańskiej inteligencji, panie Darnay.

— Lecz mimo wszystko — powiedział były podsądny wstając, aby zadzwonić — wolno mi chyba poprosić o rachunek i rozstać się z panem bez wzajemnych uraz. — Naturalnie, naturalnie — ożywił się prawnik i dodał spiesźnie, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka. — Czy pan myśli poprosić o cały rachunek?

— Tak.

— W porządku! Kelner! Jeszcze jedną flaszkę tego samego wina i obudź mnie o dziesiątej.

Darnay uregulował rachunek, wstał i uprzejmie życzył dobrej nocy niesympatycznemu kompanowi, który wstał również

i nie odpowiadając bezpośrednio rzucił tonem jak gdyby wyzwania:

— Ostatnie słowo, panie Darnay. Myśli pan, że jestem pijany?

— Myślę, że pan pił.

— Jak to pan myśli? Przecież pan wie, że piłem.

— Zatem zgoda: wiem.

— W takim razie powinien pan wiedzieć także, dlaczego piję. Jestem, łaskawy panie, zniechęconym do życia łachmanem. Nie dba o mnie nikt na świecie i ja nie dbam o nikogo.

— Wielka szkoda. Mógłby pan lepiej wykorzystać swoje zdolności.

— Mógłbym albo i nie mógł. Diabli wiedzą, panie Darnay. Ale niech się pan nie upaja własną trzeźwością i rozważą. Trudno przewidzieć, co kogo czeka. Dobranoc.

Dziwak pozostał sam. Wziął ze stołu świecę i podszedł do wiszącego na ścianie lustra.

— No i co? — mruknął przypatrując się uważnie swojemu odbiciu. — Czy darzysz tego faceta szczególną sympatią? Hm... Z jakiej racji miałbyś lubić kogoś, kto jest do ciebie podobny? W tobie nie ma przecież nic przyjemnego i dokładnie zdajesz sobie z tego sprawę. Ten człowiek swoim wyglądem i postawą pokazuje ci, z jak wysoka upadłeś i jaki być powinieneś. To świetny powód do serdecznych uczuć wobec takiego wzoru. Zamień z nim miejsca, a przekonasz się, czy te błękitne oczy będą tak na ciebie spoglądać, czy z twojej racji ta urodziwa twarz zasepi się i spochmurnieje. No, śmiało! Nie licz się ze słowami. Przyznaj, że nienawidzisz tego jegomościa.

Carton wrócił do stołu i dla pociechy wypił w niewiele minut całą butelkę wina. Potem złożył głowę na rękach i usnął głęboko. Jego włosy rozsypały się po obrusie, a płynny łój ze stojącej blisko świecy począł plamić ubranie.

ROZDZIAŁ V

SZAKAL

Był to okres pijaństwa i niemal wszyscy mężczyźni pijali wówczas niepomiernie. Minione lata przyniosły w tej dziedzinie tak znaczną poprawę obyczajów, że za komiczną przesadę uchodziłoby dzisiaj nader oględne obliczenie wina i ponczu, jakie jeden człowiek potrafił wchłonąć w ciągu jednej nocy nie uchybiając zgoła opinii nieposzlakowanego dżentelmena. Uczony zawód prawniczy hołdował również Bachusowi i nie pozwalał prześcignąć się innym uczonym zawodom, a pan Stryver, który szybko torował sobie łokciami drogę do rozległej i lukratywnej praktyki, nie lubił zostawać w tyle za kolegami, starał się więc dorównywać przedstawicielom palestry zarówno pod tym względem, jak i pod wszystkimi innymi.

Ulubieniec Old Bailey i oczko w głowie wielu innych sądów — pan Stryver poczynił ostrożnie rąbać niższe szczeble drabiny, po której się wspinał. Ostatnio Old Bailey i inne sądy musiały specjalnie zapraszać swojego faworyta i wyciągać do niego stęsknione ramiona, 'ho pan Stryver przepychał się natrętnie ku obliczu Najwyższego Sędziego Królewskiego i trybunałowi King's Bench. Codziennie widywano jego kwitnącą twarz nad łanem peruk, jak gdyby twarz ta była wielkim słonecznikiem wystrzelającym w stronę słońca nad grzędą mniej zaradnych sąsiadów.

Niegdyś w sferach adwokackich szeptano, że Stryver jest wprawdzie sprytny, pozbawiony skrupułów, śmiały, układny i gotów na wszystko, nie potrafi jednak wydobyć istotnej treści ze stosu akt, co jest bez wątpienia największą i najbardziej nieodzowną zaletą prawnika. Z czasem jednak nastąpiła korzystna zmiana, a im więcej roboty miał pan Stryver, tym łatwiej i dokładniej zaczynał trafiać w sedno. Mógł przesiadywać do późnej nocy i pić na umór z Sydneyem Cartonem — mimo to wszakże z rana miał zawsze całą sprawę w małym palcu.

Sydney Carton — najbardziej leniwy i najmniej obiecujący z młodych prawników — był nieodłącznym towarzyszem i sojusznikiem Stryvera. Po tym, co wypijali we dwóch między styczniową a wrześniową sesją, mógłby swobodnie pływać okręt Jego Królewskiej Mości. Ilekroć Stryver miał sprawę w jakimś sądzie, był tam również Carton, który przez cały czas bezmyślnie gapił się w sufit. Nie rozstawali się również podczas sesji wyjazdowych i nawet wówczas hulali do późnej nocy, a (jak fama głosi) Carton widywano często, gdy w biały dzień wracał do domu chyłkiem i na chwiejnych nogach, niczym kocur z nocnej rozpusty. Po pewnym czasie w kołach zainteresowanych utarł się pogląd, że Sydney Carton nie będzie nigdy lwem, jest jednak zdumiewająco dobrym szakalem i w tym skromnym charakterze oddaje Stryve—rowi nie lada przysługi.

— Dziesiąta, wielmożny panie — powiedział kelner, któremu prawnik kazał się obudzić. — Wielmożny panie, dziesiąta.

— Co? Co się stało?

— Dziesiąta, wielmożny panie.

— Jak to? Dziesiąta wieczór?

— Tak, wielmożny panie. Wielmożny pan przykazał się zbudzić.

— A, tak... Pamiętam... Dobrze już, dobrze.

Po kilku nieudanych próbach ponownego uśnięcia, którym służący sprytnie zapobiegał grzebiąc przez pięć minut w węglach na kominku, Carton dźwignął się ciężko, wdział na bakier kapelusz i wyszedł. Z ulicy skręcił na dziedziniec Tempie i po krótkiej przechadzce dla odzyskania przytomności udał się do apartamentu pana Stryvera.

Kancelista, który nigdy nie asystował przy tego rodzaju nocnych konferencjach, dawno już poszedł do domu, toteż pan Stryver otworzył drzwi własnoręcznie. Był w luźnym szlafroku i rannych pantoflach, a dla tym większej wygody zupełnie odsłonił szyję. Oczy jego miały ów dziwny wyraz — senny a zarazem okrutny, chytry i zdradliwy — który, zmieniany przeróżnymi formami sztuki malarskiej, można obserwować na portretach biboszków stanu pana Stryvera poprzez wszystkie pijackie epoki poczynając od podobizny Jeffreysa .

— Witaj, moja pamięci! — odezwał się Stryver. — Coś dzisiaj późno.

— Przychodzę o zwykłej porze. Najwyżej kwadrans później. Weszli do obskurnego pokoju pełnego papierów i książek. Na

kominku płonął suty ogień, imbryk parował na trójnogu, a pośród stosu akt wesoło połyskiwał stół zastawiony nieprzebraną obfitością win, rumu, koniaku, cukru i cytryn.

— Widzę, Sydneyu, że nie obeszło się dziś bez butelki — powiedział gospodarz.

— O ile dobrze pamiętam, wytrąbiłem dwie. Jadłem kolację z naszym klientem albo raczej patrzyłem, jak on jadł kolację. To zresztą wychodzi na jedno.

— Dobrze spisałeś się, Sydneyu, z tym podważeniem tożsamości. Wyborny kawał! Skąd przyszedł ci do głowy?

— Myślałem, że nasz klient to przystojny facet, a potem, że i ja byłbym mniej więcej takim jak on facetem, gdybym miał chociaż łut szczęścia.

— Ach, ty, Sydneyu, i łut szczęścia! — zawołał gospodarz i od śmiechu aż zatrzęsł mu się wydatny brzusek. — Do roboty! Do roboty!

Z posępną miną szakał rozneglizował się po trosze, wyszedł do sąsiedniego pokoju, skąd wrócił wkrótce niosąc dzbanek zimnej wody, miednicę i parę ręczników. Ręczniki zmoczył w wodzie, wyżał delikatnie i niedbale udrapował nimi głowę. Potem usiadł za stołem i oznajmił:

— No, jestem gotów.

— Dobrze, moja pamięci. Niewiele musimy dziś upitrasić — odrzekł pan Stryver spoglądając wesoło na papiery.

— Ile?

— Tylko dwie sprawy.

— Dawaj najprzód trudniejszą.

— Masz i do dzieła. Śmiało!

Lew ułożył się na wznak na sofie stojącej obok zastawionego trunkami stołu. Szakał zajął miejsce po przeciwnej stronie i obok rozrzuconych przed sobą papierów ustawił butelkę oraz szklankę. Obydwaj prawnicy popijali raz po raz, lecz każdy robił to w odmienny sposób. Lew nieznacznie tylko zmieniał pozę i zdawać się mogło, iż wciąż leży bez ruchu z rękami za pasem szlafroka, spogląda w ogień lub co najwyżej od czasu do czasu sięga beztrósco po jakiś mniej zawily dokument.

Szakał miał twarz skupioną i brwi ściągnięte surowo; tak był pogrążony w pracy, że nie śledził wzrokiem ręki sięgającej po napój i nim podniósł go do ust, nierzadko szukał omackiem minutę lub dłużej. Kilkakroć napotykał zapewne poważne trudności, gdyż wstawiał i odchodził, by zwilżyć ręczniki. Po tych pielgrzymkach do dzbanka i miednicy wracał mając na głowie trudny do opisania wilgotny turban, co przy skupionej, zadumanej twarzy wywoływało tym komiczniejsze wrażenie.

Wreszcie szakał przysposobił godną lwa biesiadę i począł go częstować swoim dziełem. Lew ostrożnie i z rozważą przyjmował smaczne kąski, czynił właściwy wybór, rzucał swoje uwagi, a skromny szakał pomagał mu przy tym gorliwie. Następnie lew wsunął ręce za pas szlafroka i ułożył się znowu na sofie, aby rozmyślać w spokoju. Szakał dodał sobie energii sporą miarką wina i świeżym okładem na głowę, „po czym zabrał się rażno do przygotowywania drugiej uczy. Posiłek ów

lew skonsumował w identycznie ten sam sposób, a gdy go kończył, zegary miejskie były trzecią w nocy.

— No, zrobiliśmy swoje, Sydneyu — powiedział pan Stryyer. — Teraz możesz nalać ponczu.

Carton zdjął z głowy parujące ręczniki, otrząsnął się, ziewnął, zadrżał i posłuchał gospodarza.

— Miałeś głowę na karku, kiedy przygotowywałeś pytania dla dzisiejszych świadków oskarżenia. Nie przegapiliśmy niczego — podjął pan Stryver.

— Zawsze mam głowę na karku. Jak ci się zdaje?

— Coś ci się humor popsuł. Łyknij jeszcze ponczu, a zaraz się poprawi.

Szakał mruknął gniewnie, lecz znowu posłuchał.

— Dawny Sydney Carton z naszej starej szkoły w Shrewsbury — mówił gospodarz i kiwając głową przypominał sobie, jak to dodawał ducha koledze w przeszłości i obecnie. — Ten .sam dawny Sydney, niestały niczym huśtawka. Raz w górę, raz w dół. Raz w górę, raz w dół. I tak co minuta. To wesoły, to zrozpaczony.

— Tak, tak — westchnął szakał. — Ten sam dawny Sydney z tym samym psim szczęściem. Nawet w budzie robiłem zadania dla kolegów, ale nie dla siebie.

— A czemu nie odrabiałeś własnych zadań?

— Bóg wie. Taki już widać jestem.

Poprawił się w fotelu, wsunął ręce w kieszenie i wyciągnawszy nogi spojrzał posępnie w ogień.

Gospodarz nadał się i zrobił ważną minę. Zdawać się mogło, że kominek jest ognistym piecem, w którym przetapiają się zmarnowane zdolności, a jedyna przysługa, jaką można wyświadczyć dawnemu Sydneyowi Cartonowi ze starej szkoły w Shrewsbury, polega na tym, by wepchnąć go do tego pieca.

— Cartonie, jesteś i zawsze byłeś niedowarzony. Brak ci energii, brak celu w życiu. Proszę, spójrz na mnie.

— Ach, przestań nudzić — szakał roześmiał się swobodniej, weselej. — Już ty nie moralizuj!

— Dlaczego zrobiłem to, co już zrobiłem? Dlaczego robię to, co robię?

— Po części dlatego, że płacisz mi za pomoc. Ale po co wygłaszać do mnie przemówienia i rozwodzić się nad tym? Robisz to, co chcesz robić. Ty zawsze byłeś w pierwszych szeregach, ja na tyłach.

— Musiałem dostać się do pierwszych szeregów. Nie należałem do nich z urodzenia.

— Nie asystowałem przy twoich narodzinach. Nie wiem. Ale wydaje mi się, że mimo wszystko musiałeś przyjść na świat w pierwszych szeregach — znowu roześmiał się, a gospodarz mu zawtórował.

— Przed Shrewsbury, w Shrewsbury i po Shrewsbury ty trzymałeś się swojego miejsca, ja swojego — ciągnął Carton. — Nawet wówczas, kiedy kolegowaliśmy w paryskiej Dzielnicy Łacińskiej, kiedy uczyliśmy się francuskiego języka, francuskich praw i rozmaitych okrucich francuskiej kultury (z czego zresztą nic nam nigdy nie przyszło), nawet wówczas ty zawsze byłeś gdzieś, ja nigdzie.

— A czyja to wina?

— Na Boga! Nie jestem pewien, czy przypadkiem nie twoja. Tak rozpychałeś się, hałasowałeś, rzucałeś na wszystkie strony, że mnie pozostawały tylko bezczynność i spoczynek. Ale to smutna sprawa rozmawiać o własnej przeszłości o brzasku dnia. Zanim odejdę, zwróć moje myśli na jakiś inny temat.

— Niech i tak będzie. Proponuję zdrowie pięknego świadka. Czy twoje myśli zwróciłem na przyjemniejszy temat?

Zapewne tak nie było, gdyż Carton zrobił posępną minę.

— Piękny świadek? — mruknął nie odrywając wzroku od swojej szklanki. — Tylu świadków spotkałem dzisiejszego dnia i dzisiejszej nocy. Który z nich ma być piękny?

— Efektowna córka doktora, panna Manette.

— Ona piękna? — zdziwił się szakał.

— Uważasz, że nie?

— Uważam, że nie.

— Co gadasz, człowieku? Przecież podziwiał ją cały sąd!

— Nie obchodzi mnie podziw całego sądu. Kto mianował Old Bailey sędzią niewieściej urody?

Panna Manette to złotowłosa lalka.

— Posłuchaj, Sydneyu — odparł gospodarz i spoglądając nań bystro pogładził dłonią swoje kwitnące oblicze. — Posłuchaj; Sydneyu, zdawało mi się, że w pewnych momentach żywo współczułeś złotowłosej lalce. W każdym bądź razie szybko zauważyłeś, co przytrafiło się złotowłosej lalce.

— Szybko zauważyłem, co jej się przytrafiło! Chyba każdy mężczyzna zauważy bez lunety, kiedy dziewczyna (lalka czy też nie lalka) mdleje o krok od jego nosa. Chętnie wypiłbym za zdrowie panny Manette, ale pić mi się już nie chce. Mam dosyć. Idę do łóżka.

Kiedy pan Stryver odprowadzał ze świecą gościa, brzask zaglądał przez brudne okna klatki schodowej. Kiedy zaś gość wyszedł z domu, powietrze było chłodne, niebo pochmurne, rzeka ciemna i zamglona, a cały krajobraz przypominał ponurą pustynię. Poranny wiatr wznosił wiry kurzu, jak gdyby gdzieś daleko powstały piaski pustynne i ruszyły do ataku na miasto.

Carton czuł w sobie zmarnowane siły, wokół zaś widział pustynię, zatrzymał się więc bez ruchu i na moment ujrzał przed sobą fatamorganę szczytnych ambicji, samowyrzeczeń, wstrzemięźliwości. Piękne miasto oglądane oczyma wyobraźni obfitowało w strzeliste krużganki tętnące uczuciem i wdziękiem, w drzewa, na których dojrzewały owoce życia, w pięknie połyskujące źródła nadziei. Po chwili zniknęło wszystko. Sydney Carton wspiał się na wysokie schody domu o podwórku jak studnia, a gdy znalazł się w swoim pokoju, padł w ubraniu na nie zasłane łóżko. Wkrótce poduszka była mokra od łez przelanych na darmo.

Smutno, bardzo smutno wstawało słońce, lecz najsmutniejszym widokiem, jaki oglądało, był ów człowiek o wielkich zdolnościach i szlachetnych popędach, których nie potrafił wykorzystać właściwie. Niezdolny do walki w obronie własnej, niezdolny do szczęścia, dobrze wiedział o zżerającym go rozkładzie, nie przeciwdziałał jednak temu.

ROZDZIAŁ VI

SETKI LUDZI

Zaciszne mieszkanie pana Manette mieściło się w narożnym domu przy ustronnej uliczce niedaleko Soho Square. Pewnej pogodnej niedzieli — w cztery miesiące po głośnym procesie o zdradę, który czas porwał z ludzkiej pamięci na swych falach i uniósł do morza — pan Jarvis Lorry zmierzając na kolację do doktora wędrował skąpanymi w słońcu ulicami Clerkenwell, gdzie od dawna rezydował. *W* wyniku kilku konferencji o interesach stary bankowiec odnowił przyjaźń z lekarzem i odtąd zaciszny dom narożny stanowił słoneczny kącik w jego życiu.

Owej pogodnej niedzieli pan Lorry szedł wczesnym popołudniem w kierunku Soho dla trzech powodów zgodnych z jego przyzwyczajeniami. Po pierwsze: w pogodne niedziele często spacerował przed kolacją z Lucie i jej ojcem. Po drugie: w niepogodne niedziele zwykł dotrzymywać irn towarzystwa i w charakterze przyjaciela rodziny gawędzić z gospodarzami, czytywać, wyglądać przez okna i w ogóle zabijać jakoś czas. Po trzecie: miał chytry plan rozwikłania pewnych niepokojących go wątpliwości, a znając domowe obyczaje byłego więźnia Bastylji wiedział, iż pora sprzyja owym zamierzeniom.

Trudno było w Londynie o ustronie spokojniejsze niż to, w którym zamieszkiwał doktor. Zaulek był ślepy, a z okien domu roztaczał się widok na uliczkę spowitą miłą atmosferą odosobnienia i ciszy. *W* owych czasach niewiele 'było zabudowań na północ od Oxford Road; rosły tam za to liczne drzewa, pieniały się dzikie kwiaty, a rozkwitłe głogi zdobiły wiosną nie istniejące dzisiaj pola. *W* wyniku tego wiejskie powietrze swobodnie krążyło w Soho miast włóczyć się ukradkiem, jak nędzarz bez dachu nad głową, a w pobliskim sąsiedztwie stała niejedna na południe wystawiona ściana, przy której w odpowiednim sezonie dojrzewały brzoskwinie.

Latem w godzinach rannych ustronie to kąpało się w promieniach słońca, kiedy jednak na ulicach zaczynał panować skwar, spoczywało w cieniu, nie tak wszakże głębokim, by nie czuć za nim świetlistych blasków dnia. Było to chłodne miejsce, monotonne, lecz wesołe i chociaż często dźwięczało echem, stanowiło uroczą przystań pośród gwarnych ulic.

W takim porcie winna stać na kotwicy spokojna barka i działo się tak w istocie. Doktor zajmował dwa piętra dużego sennego domu. Jacyś ludzie przychodzili tu niekiedy, niewiele jednak było słyszeć i widać za dnia, a wieczorami nie działo się nic zgoła. *W* oficynie — za podwórkiem, gdzie pośrodku stary platan szeleścił zielonymi liśćmi — wyrabiano podobno organy i cyzelowano srebro, a złotnictwem trudnił się tajemniczy olbrzym, którego połączane ramię przytwierdzone do frontowej ściany steraj czało nad uliczką, jak gdyby ów kowal cennego kruszcu zmienił" sam siebie w kosztowną figurę i wszystkim gościom groził tym samym losem. Ale warsztaty mało dawały o sobie znać wzrokowi lub słuchowi, nie inaczej zresztą niż samotny lokator, który jakoby zajmował górne piętro, albo niewidoczny fabrykant powozów, co podobno miał kantor na parterze. Niekiedy czeladnik mijał podwórko naciągając bluzę czy też zajrzał tam nieśmiało obcy przybysz z miasta. Niekiedy szcęknęło coś w oficynie albo olbrzym o złotym ramieniu potężnie uderzył młotem. Ale wszystko to były wyjątki potwierdzające regułę głoszącą, iż wróble na platanie domem i echa w spokojnym zaułku przed domem mają całkowitą swobodę od niedzielnego ranka do sobotniej nocy.

Doktor Manette przyjmował w domu nielicznych pacjentów, których zawdzięczał swojej dawnej sławie odżywiającej dzięki szeptom o tragicznej historii. Był uczony, sumienny i śmiało przeprowadzał pomysłowe eksperymenty, toteż zyskał umiarkowaną praktykę i zarabiał nie mniej niż mu było trzeba.

O wszystkim tym wiedział i myślał pan Jarvis Lorry, gdy w pogodne —niedzielne popołudnie dzwonił do drzwi narożnego domu w Soho.

— Doktor Manette w domu?

— Niedługo wróci.

— Panna Manette w domu?

— Niedługo wróci.

— Panna Pross w domu?

Nie było to wykluczone, lecz pokojówka nie znając planów panny Pross nie potrafiła odpowiedzieć ani twierdząco, ani przecząco.

— Hm — podjął stary bankowiec. — Ponieważ ja jestem tu jak w domu, pójdę na górę.

Lucie niewiele wiedziała o swoim rodzinnym kraju, zdawać się jednak mogło, że nieświadomie wyniosła stamtąd dar robienia wielkich rzeczy małymi środkami, co stanowi jedną z największych i najbardziej ujmujących zalet Francuzów. Urządzenie mieszkania było skromne, lecz ozdobione tak znaczną ilością bezwartościowych, ale gustownych drobiazgów, że czyniło urocze wrażenie. Rozmieszczenie w pokojach wszystkich przedmiotów od największych do najmniejszych, trafny dobór barw, różnaitość wytwornych kontrastów dowodzących dbałości o szczegóły, bystrego oka, delikatnej ręki i zdrowego rozsądku — wszystko to było samo, przez się nader mile i mówiło wiele o swej twórczyni. Pan Lorry rozglądał się dokoła; i wyobrażał sobie, że (nawet stoły i krzesła pytają uprzejmie, czy mu się tu podoba, a imają przy tym ów szczególny wyraz, który z biegiem czasu zdążył poznać tak dokładnie.

Na piętrze były trzy pokoje, a że drzwi między nimi stały otworem, by powietrze krążyło swobodnie, pan Lorry mógł przechadzać się po całym mieszkaniu i wszędzie obserwować z uśmiechem owe podobieństwa do młodej pani domu, które uderzyły go na wstępie. W pierwszym, najokazalszym pokoju znajdowały się ptaszki i kwiaty Lucie, jej książki, biureczko, stolik do robótek i kasetka akwareli. Drugi, używany również jako jadalnia, mieścił gabinet przyjęć doktora. Trzeci, gdzie najlepiej było słyszeć zmienne szelesty platanowych liści, był sypialnią pana domu. W kącie stał tam od dawna nie używany warsztat szewski i skrzynka z narzędziami, co przypominało żywo piąte piętro domu z winiarnią położonego w Paryżu na Przedmieściu Świętego Antoniego.

Pan Lorry przestał rozglądać się dokoła i mruknął pod własnym adresem:

— Często się zastanawiam, po co ten człowiek przechowuje pamiątki swojej niedoli?

— Nad czym się tu zastanawiać? — padło nagle pytanie i stary bankowiec wzdrygnął się nerwowo.

Pytanie zadała panna Pross — gwałtowna rudowłosa niewiasta o krzepkich rękach — znajoma z hotelu Pod Królem Jerzym w Dover, którą z biegiem lat pan Lorry zdążył poznać znacznie lepiej.

— Sądziłbym raczej... — zaczął niepewnym tonem.

— Aha! Sądziłby pan raczej! — zawołała panna Pross, a stary bankowiec dał za wygraną.

— Jak się pan ostatnio czuje? — rzuciła dama szorstko, lecz jak gdyby chciała dać do zrozumienia, iż nie chowa urazy.

— Zupełnie dobrze, doskonale — odparł układnie pan Lorry. — A co słyszeć u łaskawej pani?

— Nic szczególnego. Nie ma się czym chwalić.

— Doprawdy?

— Właśnie! Doprawdy! Bardzo się niepokoję o moją ptaszynę.

— Doprawdy?

— Na miłość boską, niechże pan powie coś więcej niż „doprawdy” i „doprawdy”, bo zanudzi mnie pan na śmierć! — wybuchnęła panna Pross, która na przekór swojej długiej sylwetce była

zwolenniczką krótkich zdań i słów.

— A więc... istotnie? — poprawił się pan Lorry.

— „Istotnie” to też nic osobliwego. Ale wolę „istotnie” niż „doprawdy”. Tak, proszę pana!

Bardzo się niepokoję.

— Wolno zapytać o powód?

— Nie podoba mi się, że rozmaici ludzie wcale niewarci mojej ptaszyny przychodzą tutaj dziesiątkami, żeby ją oglądać.

— Czy istotnie w tym celu przychodzą dziesiątki ludzi? — zdziwił się starszy pan.

— Co tam dziesiątki! Setki! — zawołała kobieta. Bo podobnie jak wiele osób była skłonna do jeszcze większej przesady, gdy ktoś kwestionował jej pierwotne twierdzenie.

— Dobry Boże! — westchnął pan Lorry, ponieważ nie mógł wymyślić bezpieczniejszej odpowiedzi.

— Od dziesiątego roku jej życia mieszkałam z moją pieszczotką albo raczej moja pieszczotka mieszkała ze mną i płaciła mi za to, chociaż nie wątpi pan chyba, że nie potrzebowałyby płacić, gdybym potrafiła za darmo utrzymać ją i siebie. To przykre... Naprawdę bardzo przykre!

Pan Lorry nie zrozumiał dokładnie, co jest bardzo przykre, pokiwał więc głową używając tej najważniejszej części ciała niby czarodziejskiego płaszczka, co może leżeć dobrze na każdej figurze.

— Wciąż się tu kręcą rozmaici ludzie wcale niewarci mojej ptaszyny — ciągnęła kobieta. — Odkąd pan zrobił początek...

— Ja zrobiłem początek, panno Pross?

— Może nie pan? A kto wrócił do życia jej ojca?

— Ach, jeżeli to nazywa pani początkiem...

— Pewnie, że nie końcem! — przerwała. — Odkąd więc pan zrobił początek, zaczęły się przykrości. Doktorowi nic nie mam do zarzucenia, chyba tyle, że wcale nie zasługuje na taką córkę. Ale to nie jego wina, bo na taką córkę nie może zasługiwać nikt i pod żadnym pozorem. Ojca ścierpiałabym jakoś, ale za ojcem przychodzą całe tłumy po to tylko, by odbierać mojej ptaszynie miłość do minie. To gorszą sprawa... znacznie gorsza!

Pan Lorry wiedział, iż panna Pross jest bardzo zazdrosna, ale zdążył się również przekonać, że pod skórą dziwaczki kryje się jedna z owych istot całkowicie pozbawionych egoizmu, a spotykanych rzadko i wyłącznie pośród kobiet. Osoby takie z czystej miłości i uwielbienia chętnie zaprzędają się w niewolę młodości, którą utraciły, urodzie, której nie posiadały, wykształceniu, którego los nie pozwolił im zdobyć, promiennym nadziejom, które nie rozjaśniały nigdy ich szarych dni. Starszy dżentelmen znalazł świat wystarczająco i zdawał sobie sprawę, że mało jest na nim zjawisk piękniejszych niż wierna służba płynąca z serca i absolutnie wolna od wyrachowania. Dla służby takiej miał wiele szacunku i podczas dyskusji prowadzonych z samym sobą (wszyscy niekiedy prowadzimy takie dyskusje) stawiał pannę Prosa znacznie bliżej chórów anielskich niż wiele dam nieporównanie hojniej obdarowanych przez naturę i sztukę i posiadających własne konta w Domu Bankowym Telleonów.

— Nie było i nie będzie mężczyzny godnego mojej ptaszyny — podjęła panna Prosa — z wyjątkiem chyba mojego brata Salomona, gdyby... gdyby... gdyby biedak nie popełnił życiowej omyłki.

Pan Lorry zebrał cokolwiek danych o sprawach osobistych panny Prosa, wiedział więc, że ów brat Salomon — pozbawiony serca łajdak — chcąc zdobyć pieniądze na jakieś spekulacje ograbił siostrę ze wszystkiego, co posiadała, a następnie zostawił ją w biedzie i bez —skrupułów porzucił na zawsze. Jej wiara w Salomona (nie licząc dyskretnych wzmianek o życiowej omyłce) i stałość

siostrzanych uczuć były dla starego bankowca poważnymi sprawami i w niemałym stopniu wpływały na jego dobrą opinię o dziwacznej niewieście.

— Tak się złożyło, że chwilowo jesteśmy sami — rozpoczął pan Lorry, gdy wrócili do bawialni i zasiedli tam w najlepszej komitywie — a że z obydwojga nas trzeźwi ludzie interesu, niechaj mi wolno będzie zapytać, czy w rozmowach z Lucie doktor wspomina czasem okres, kiedy szył buty?

— Nigdy.

— Hm... A mimo to trzyma w sypialni warsztat i szewskie narzędzia.

— Nie powiedziałam przecież, że tego okresu nie wspomina w rozmowach z samym sobą.

— Sądzi pani, że wiele o tym myśli?

— Sądzę.

— Czy wyobraża sobie pani... — zaczął pan Lorry, lecz kobieta przerwała mu szorstko:

— Nic sobie nigdy nie wyobrażam. Zupełnie nie mam wyobraźni.

— Robię zatem poprawkę. Czy przypuszcza pani... Chyba niekiedy posuwa się pani tak daleko, by pozwalać sobie na przypuszczenia?

— Tak. Od czasu do czasu.

— Czy przypuszcza pani zatem — ciągnął starszy dżentelmen mierząc pannę Pross przychylnym i roześmianym wzrokiem — że doktor Manette zbudował i zachował przez długie lata jakąś własną teorię tyczącą powodu jego cierpienia a być może i nazwiska prześladowcy?

— Niczego nie przypuszczam. Wiem tylko to, co mówiła mi moja ptaszyna.

— A mianowicie?

— Że jej zdaniem doktor musi mieć w głowie coś takiego.

— Proszę się na mnie nie gniewać, że o wszystko dopytuję. Cóż... Jestem nudnym człowiekiem interesu, a i panią traktuję jak człowieka interesu.

— Równie nudnego? — zapytała niewinnie panna Pross.

— Nie, nie, nie! — zaprotestował pan Lorry wyrzucając sobie, iż nie w porę użył przymiotnika.

— Na pewno nie! Ale "wracajmy do interesów. Czy to nie dziwne, że doktor Manette nigdy nie porusza tej kwestii, chociaż nie dopuścił się żadnej zbrodni,

o czym nikt z nas nie wątpi? Nie żądam, aby mówił ze mną, jakkolwiek od bardzo dawna łączą nas stosunki handlowe, obecnie zaś jesteśmy przyjaciółmi. Ale z córką, z córką tak mu oddaną

i tak tkliwie kochaną przez niego! Proszę mi wierzyć, panno Pross, nie z ciekawości, lecz ze szczerego zainteresowania próbuję wraz z panią rozwikłać ów problem.

— Rozumiem — powiedziała kobieta ułagodzona sensem — i tonem ostatniego zdania. — Otóż wedle mojej najlepszej wiary, która może wydać się panu najgorszą, doktor po prostu boi się całej tej historii.

— Boi się?

— Oczywiście. Przyczyny są jasne. Łączą się z tą historią okropne wspomnienia, no i utrata świadomości. Doktor nie wie, jak i kiedy się zgubił i jak i kiedy odnalazł, może więc podejrzewać, że nawrót grozi w każdej chwili. Już to samo wystarczy, żeby obrzydzić rozmowy na ten temat. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Uwaga była głębsza, niż pan Lorry mógł się spodziewać.

— Słusznie... słusznie... — mruknął. — To wystarczy, by obrzydzić rozmowy a nawet zbudzić strach przed myślami na ten temat. Ale jedna wątpliwość dręczy mnie najbardziej. Czy to dobrze, panno Pross, że doktor wszystko dławi i tłumi w sobie? Prawdę rzekłszy, ta właśnie wątpliwość, wracająca raz po raz, skłoniła mnie do naszej dzisiejszej rozmowy.

— Możemy rozmawiać, ale i tak nic nie pomożemy — panna Pross bezradnie rozłożyła ręce. —

Niech pan zacznie z tej beczki, a doktor zaraz zmieni się na gorsze. Najlepiej się nie wtrącać. Albo raczej: czy nam to odpowiada, czy nie odpowiada, nie możemy się wtrącać. On czasami wstaje w nocy i my na górze słyszymy, że biedak chodzi po swoim pokoju tam i z powrotem. Moja ptaszyna wie, co to znaczy; wie, że jej ojciec chodzi myślami po dawnej celi: tam i z powrotem, tam i z powrotem. Moja ptaszyna zbiega wtedy na dół i obydwójce chodzą po sypialni tam i z powrotem, tam i z powrotem, aż doktor się wreszcie uspokoi. Ale on nigdy nie wspomni słowem o prawdziwej przyczynie swego rozdrażnienia, a ona sądzi, że najlepiej o nic nie pytać. W milczeniu chodzą tam i z powrotem, tam i z powrotem, dopóki jej towarzystwo i miłość nie przywróci mu równowagi.

Panna Pross nie przyznawała się do posiadania wyobraźni, musiała ją jednak posiadać, gdyż ustawiczne powtarzanie zwrotu „tam i z powrotem” dawało wyrazisty obraz udręki tą samą wciąż bolesną myślą.

W tej chwili cichy zakątek — jak już wiadomo, szczególnie sprzyjający echem — rozbrzmiał odgłosem zbliżających się kroków, jak gdyby zbudzonych opowiadaniem o długotrwałym chodzeniu tam i z powrotem.

— Otóż i oni! — zawołała panna Pross i wstając z miejsca przerwała konferencję. — Rychło będziemy tu mieli setki ludzi.

Jako się rzekło, zakątek ten miał osobliwe właściwości akustyczne i stanowił poniekąd echo całej okolicy, toteż pan Lorry stając przy otwartym oknie i wypatrując przyjaciela i jego córki wyobraził sobie, że nigdy nie nadejdą, chociaż długo słyszał ich kroki. Po jakimś czasie echo umilkło nagle, a zamiast niego odezwał się miarowy tupot jakichś innych kroków, które znowu ucichły, gdy wydawały się już całkiem bliskie. Na koniec jednak pojawiły się oczekiwane osoby, a panna Pross stanęła w drzwiach od ulicy gotowa na powitanie swoich państwa.

Panna Pross była gwałtowna, rudowłosa, pochmurna, mimo to wszakże przedstawiała miły widok, gdy wprowadzała na schody swoją ptaszynę. Ostrożnie zdejmowała jej kapelusz, otrzępywała własną chusteczką do nosa, zdmuchiwała z niego niedostrzegalne pyłki; troskliwie składała okrycie panny Manette i przyglądała jej bujne włosy z taką dumą, z jaką mogłaby się odnosić do swojej fryzury, gdyby była niewiastą wysoce prózną i nad wszelki wyraz urodziwą. Ptaszyna przedstawiała widok niemniej ujmujący: tkliwie ścisnęła swoją opiekunkę, dziękowała jej za fatywę i powtarzała, że zbytecznie tak bardzo się dla niej trudzi. Ale wymówki były nieśmiałe i na poły żartobliwe, bo w przeciwnym wypadku panna Pross dotknięta do żywego schroniłaby się w swoim pokoju, aby tam popłakać spokojnie. Równie przyjemnie było popatrzeć na doktora, który obejmował wzrokiem kobiety i wyrzucał pannie Pross, że okropnie psuje Lucie, przy czym ton jego głosu i wyraz oczu mówiły, że do „psucia Lucie” jest równie skłonny jak panna Pross, a byłby jeszcze więcej, gdyby to leżało w granicach możliwości. I na pana Lorry można było spojrzeć z satysfakcją, ho twarz promieniała mu pod przylizaną peruczką, jak gdyby dziękował swoim szczęśliwym starokawalerskim gwiazdom, iż pod koniec życia zawiodły go pod dach domu naprawdę rodzinnego.

Ale setki ludzi nie nadchodziły jakoś i pan Lorry daremnie oczekiwał na spełnienie proroctw panny Pross.

W porze kolacji nie przybyły również setki ludzi. Gospodarstwem domowym zajmowała się panna Pross i zadania swoje wypełniała znakomicie. Jej skromne na ogół dania były smacznie przyrządzone i gustownie podane, a ponadto stanowiły tak pomysłową mozaikę angielskiej i francuskiej kuchni, że nic pod słońcem nie mogło im dorównać. Życzliwość tej kobiety wyrażała się przede wszystkim w praktycznych kwestiach życiowych, toteż panna Pross często myszkowała po Soho i okolicznych dzielnicach, aby tropić zbiedniałych Francuzów, którzy ulegając pokusie szylingów czy półkoronówek tnie cofną się przed zdradą tajemnic kulinarnych. Od takich

podupadłych synów i cór Galii nauczyła się wiele i w oczach służących poczyniała uchodzić za wróżkę, jak gdyby chrześną matkę Kopciuszka, która może kazać przynieść królika albo kurę oraz trochę włoszczyzny z ogródka i zrobić z tego wszystko, co smenne jej spodoba.

W święta panna Pross zwykła siadać do stołu doktora, chociaż w dni powszednie uparcie pożywiała się o niewiadomej porze albo w gospodarskiej suterenie, albo we własnej położonej na drugim piętrze błękitnej sypialni, dokąd wzbraniała wstępu wszystkim, z wyjątkiem swojej ptaszyny. W tę pogodną niedzielę panna Pross uległa roześmianej twarzy Lucie i jej ustawicznym staraniom, by przypodobać się opiekunce, toteż rozchmurzyła się znacznie i kolacja upłynęła nader miło.

Ze względu na upalny wieczór panna Manette zaproponowała po deserze, by wino wynieść pod platan i posiedzieć trochę na świeżym powietrzu. Ponieważ wszystko w domu obracało się wokół niej niby wokół osi, biesiadnicy pospieszyli pod platan, a Lucie zaniósła tam wino przeznaczone głównie na użytek pana Lorry. Od dość dawna Lucie sprawowała przy starym bankowcu funkcje podczaszego i tym więc razem dbała, by podczas gawędy miał stałe pełny kieliszek. Z rozmaitych stron sterczały nad podwórkiem dziwaczne boki i tyły domów, a nad głowami zajętych rozmową ludzi szeptał platan w języku sobie tylko zrozumiałym.

Wciąż jednak nie pojawiały się zapowiedziane setki ludzi. W trakcie posiedzenia pod platanem nadszedł pan Darnay, lecz to był dopiero jeden człowiek.

Doktor Manette powitał go życzliwie — nie inaczej niż Lucie. Ale panna Pross odczuła nagle bóle w głowie i całym ciele i musiała poszukać schronienia w domu. Wyjaśnić należy, iż zacna niewiasta często ulegała podobnej niedyspozycji, którą w poufnych rozmowach nazywała „atakami konwulsji”.

Pan domu czuł się owej niedzieli wyjątkowo dobrze i wyglądał szczególnie młodo. W takich momentach podobieństwo między ojcem a córką było uderzające, kiedy więc siedzieli obok siebie (ona z głową na jego ramieniu, on trzymając rękę na oparciu jej fotela), studiowanie tego podobieństwa stanowiło zajmującą rozrywkę.

Przez cały wieczór lekarz mówił z ożywieniem o rozmaitych sprawach.

— Panie doktorze — zwrócił się doń Darnay nawiązując do rozmowy, która tyczyła ostatnio starych budowli londyńskich — czy szczegółowo zwiedził pan Tower?

— Byłem w Tower z Lucie raz i raczej krótko, lecz wystarczająco długo, by upewnić się, że to miejsce godne zainteresowania.

— Jak pan niewątpliwie pamięta, gościłem tam w innym charakterze, całkiem nie sprzyjającym zwiedzaniu — młody człowiek uśmiechnął się, lecz poczerwieniał, jak gdyby z nagłej irytacji. — Mimo to jednak słyszałem ciekawą historię.

— Jaka? — zapytała Lucie.

— W trakcie przebudowy robotnicy odkryli celę zamurowaną od dawna i zapomnianą. Napisy wyryte przez więźniów pokrywały kamienne ściany. Były tam daty, nazwiska, skargi i modlitwy. W samym rogu, na wystającym gładzie, widniały trzy litery (bodaj że ostatnie słowo na tej ziemi jakiegoś więźnia, który szedł na stracenie). Litery były wyciosane nieudolnie, prawdopodobnie jakimś lichym narzędziem i drżącą, niepewną ręką. Zrazu odczytano je jako K.O.D., lecz po dokładniejszym zbadaniu okazało się, że ostatnią literą jest P. Człowiek o takich inicjałach nie figurował w urzędowych spisach ani tradycja ustna nie przechowała o nim wzmianki, długo więc głowiono się daremnie nad zagadką niewiadomego nazwiska. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, że litery nie są inicjałami, lecz stanowią jeden wyraz: ROP. Troskliwie zbadano podłogę pod tym napisem i po usunięciu kamiennej płyty posadzkowej znaleziono w ziemi zbutwiałe szczątki papieru oraz małej skórzanej kalety czy torby. W ten sposób nikt nie dowie się nigdy, co napisał nieznan

więzień, nie ulega jednak wątpliwości, że napisał coś i ukrył przed strażnikami.

— Ojczy! Czyś ty chory? — zawołała panna Manette, gdyż doktor wzdrygnął się gwałtownie i obydwoma rękami ścisnął skronie, a jego wygląd i niespokojne ruchy przeraziły całe towarzystwo.

— Nie, nie, drogie dziecko — odrzekł. — Nie jestem *chory*. Deszcz zaczął padać wielkimi kroplami i to mnie zaskoczyło. Lepiej wracajmy do domu.

Powiedziawszy to opanował się zaraz i pokazał wierzch dłoni zwilżony istotnie kilkoma wielkimi kroplami. Ani słowem jednak nie napomknął o szczególnym odkryciu w Tower. Kiedy zaś gospodarze i goście wkraczali do domu, bystre oko pana Lorry spostrzegło lub doznało złudzenia, iż spostrzega na twarzy przyjaciela ten sam osobliwy wyraz, który pojawił się tam w mrocznym sądowym korytarzu, kiedy doktor zwrócił wzrok w stronę Karola Darnaya.

Ale i tym razem pan Manette odzyskał równowagę tak szybko, e stary bankowiec zwątpił w bystrość swego oka. Złote ramię olbrzyma nie było bardziej sztywne niż lekarz, który przystanął pod nim, aby powiedzieć, że jest jeszcze i zapewne będzie do końca życia wrażliwy na błahe nawet niespodzianki, nic więc dziwnego, że przestraszył się nagłego deszczu.

Nadeszła pora wieczornej herbaty i panna, Pross w nowym „ataku konwulsji” zaczęła krzątać się koło stołu, lecz setki ludzi nie pokazywały się nadal. Pan Carton przyszedł leniwym krokiem, ale liczbę natrętów podniósł do dwóch tylko osób.

Noc była dziwnie parna. Upał dokuczał mimo otwartych drzwi i okien. Po uprzątnięciu stołu wszyscy skupili się przy jednym z okien i spoglądali w gęsty półmrok. Lucie siedziała obok ojca, Darnay koło Lucie, a Carton wsparł się leniwie o okienną wnękę. Niespokojny wir wiatru przed burzą trafił jakoś do cichego zaułka, porwał długie białe franki i uniósł je do sufitu, gdzie zatrzepotały niby widmowe skrzydła.

— Deszcz pada ciągle wielkimi kroplami, ciężko i z rzadka — powiedział doktor. — Burza nadchodzi wolno.

— Ale za to pewnie — dodał młody adwokat.

Mówili cicho, gdyż ludzie wyglądający i oczekujący czegoś czynią tak przeważnie, a wyglądający i oczekujący burzy — zawsze.

Z odległych ulic płynęły odgłosy żywej krzątaniny, bowiem ludzie spieszyli, by znaleźć schronienie, nim zdąży rozszałec się nawałnica. W zaułku specjalnie sprzyjającym echem dźwięczały zbliżające się i oddalające kroki, jakkolwiek nikt nie stąpał po jego bruku.

Wszyscy nasłuchiwali przez chwilę w milczeniu.

— Samotność pośród tłumu — powiedział wreszcie Karol.

— To robi wrażenie. Nieprawda, panie Darnay? — podchwyciła Lucie. — Czasami, kiedy jestem tu sama wieczorem, wyobrażam sobie... Ale dzisiaj jest tak ciemno i posępnie, że drzę na samą myśl o tym...

— Może wszyscy zadrżymy. Niech nam pani opowie o złudach swojej wyobraźni.

— Dla panów będą one niczym. Takie błahostki mają znaczenie tylko w momencie, gdy w nas powstają. Niepodobna przekazać ich innym. Czasami, kiedy jestem tu sama wieczorem, nasłuchuję długo i wreszcie zaczynam sobie wyobrażać, że te odgłosy stanowią echo wszystkich kroków, co mają wtargnąć w nasze życie.

— Jeżeli jest tak istotnie, pewnego dnia w nasze życie wtargną nieprzeliczone tłumy — wtrącił Carton na właściwy mu posępny sposób.

Odgłos kroków brzmiał nieustannie, coraz szybciej i szybciej, a chociaż nikogo nie było widać w pobliżu, zdawać się mogło, że ludzie przebiegają pod oknem lub nawet w głębi pokoju, że zbliżają się, oddalają, przystają na chwilę lub odchodzą na dobre.

— Czy te liczne kroki są przeznaczone dla nas wszystkich, czy też mamy podzielić je jakoś między sobą? — zapytał Darnay.

— Nie wiem, proszę pana. Mówiłam, że to niemądre twory wyobraźni, ale pan pragnął dowiedzieć się szczegółów. Kiedy przyszło mi to do głowy, byłam sama, pomyślałam więc, że słucham kroków ludzi, którzy wtargną kiedyś w życie moje i ojca.

— Biorę tych ludzi na siebie — odezwał się znów Carton. — Ja nie zadaję pytań i nie stawiam warunków. Tak, panno Manette! Idą na nas nieprzeliczone tłumy. Widzę je... przy świetle błyskawicy — dokończył, gdyż w tej chwili zajaśniało niebo i sylwetka młodego prawnika zarysowała się wyraźnie na tle okna. — I słyszę — ciągnął przy wtórze grzmotu. — Szybko nadchodzą groźne, szalone, straszliwe...

Carton określił tak szum nagłej ulewy, która kazała mu umilknąć, bo przy jej łoskocie nie można by usłyszeć słowa. Nad Londynem rozpętała się pamiętna nawałnica z grzmotami i piorunami i nie było ani chwili przerwy w łoskocie, błyskach i potokach deszczu, dopóki wreszcie księżyc nie zajaśniał po północy.

W oczyszczonym powietrzu wielki dzwon Katedry Świętego Pawła wybił pierwszą, gdy pan Lorry ruszał w stronę domu pod eskortą Jerry'ego, który miał na nogach długie buty, a w rękę trzymał latarnię. Na drodze między Soho a Clerkenwell leżały w owe lata zdradliwe pustkowia, więc pan Lorry nie zapominał o rabusiach i zawsze korzystał z usług Crunchera, chociaż wracał zwykle o dobre dwie godziny wcześniej.

— Ale mieliśmy noc, Jerry — powiedział stary bankowiec. — Nie dziwiłbym się, gdyby w taką noc umarli wstawali z grobów.

— Ja tam, wielmożny panie, nie chodzę po nocach i nie wiem, w jaką pogodę umarli mogą wstawać z grobów. Chyba w żadną! — odburknął Jerry.

— Dobranoc, panie Carton — powiedział człowiek interesu. — Dobranoc, panie Darnay. Czy przeżyjemy jeszcze kiedy razem noc podobną do dzisiejszej.

Czy przeżyją podobną noc? Czas pokaże. Może też zobaczą nieprzeliczone tłumy idące na nich ze zgiełkiem i rykiem.

ROZDZIAŁ VII

PAN MARKIZ W MIEŚCIE

W swoim okazałym pałacu w Paryżu książę pan — jeden z najbardziej wpływowych dygnitarzy dworskich — miał udzielić porannej audiencji, jak to zwykł czynić co dwa tygodnie. Chwilowo znajdował się w prywatnej komnacie — miejscu świętym świętych dla tłumu wielbicieli zgromadzonych w amfiladzie salonów. Książę pan miał właśnie pokrzepić się czekoladą. Był w stanie przełknąć wiele (jak wazyli się twierdzić niektórzy pesymiści: szybko pochłaniał Francję), lecz filiżanka porannej czekolady nie przeszłaby mu przez gardło bez pomocy czterech silnych mężczyzn, nie licząc oczywiście kucharza.

Tak. Aby do jaśnie oświeconych ust podnieść szczęśliwą czekoladę, potrzeba było czterech wspaniałe i jaskrawo odzianych ludzi, których szef, zgodnie z modą wprowadzoną przez arystokrację, nie umiałby żyć bez co najmniej dwóch złotych zegarków w kieszeniach. Jeden lokaj stawiał przed najdostojniejszym obliczem dzbanuszek z czekoladą; drugi mieszał ją i pienił posługując się narzędziem specjalnie przystosowanym do tak wzniosłego celu; trzeci podawał wysoce uprzywilejowaną serwetkę; czwarty (ten z dwoma zegarkami) napełniał filiżankę.

Książę pan nie mógłby naturalnie obejść się bez któregoś z owych szafarzy porannej czekolady i mimo to zachować swoją wysoką pozycję pod łaskawym dlań niebem... Na jego herbowej tarczy powstałaby głęboka skaza, gdyby w uwłaczający sposób czekoladę podawało zaledwie trzech fagasów, a obecność tylko dwóch wpędziłaby go zapewne do grobu, Ubiegłej nocy książę pan jadł w mieście kolacyjkę w miłym towarzystwie Opery i Komedii. Książę pan najczęściej spędzał noce w mieście i w czarującej kompanii. Był tak uprzejmy i łaskawy, że w sferze kłopotliwych spraw oraz tajemnic państwowych Opera i Komedia wywierała nań wpływ nieporównanie silniejszy niż wszystkie potrzeby państwa. Była to okoliczność równie pomyślna dla Francji, jak dla innych krajów podobnie szczęśliwych w rozmaitych okresach, jak na przykład dla Anglii w nieodżałowanych latach panowania wesołych Stuartów gotowych zawsze sprzedać ojczyznę.

Na sprawy publiczne w sensie najogólniejszym książę pan miał szlachetny i świątły pogląd, ten mianowicie, że wszystko winno toczyć się własną drogą. Na poszczególne sprawy publicznie książę pan miał inny, równie szlachetny pogląd, ten mianowicie, że wszystko winno toczyć się jego drogą, przysparzając mu władzy i napełniając kieszenie. Na własne przyjemności książę pan miał także szlachetny i świątły pogląd, ten mianowicie, że świat został stworzony wyłącznie dla tych przyjemności. Dewiza jego stanu (różniaca się od oryginału tylko zaimkiem bez istotnego znaczenia) brzmiała: „I rzecze Pan: — Ziemia oraz jej bogate plony są moje”.

Atoli z biegiem czasu książę pan jął pojmować, że wulgarne troski zakłócają bieg jego spraw zarówno publicznych jak prywatnych, i chcąc nie chcąc związał się w sprawach obydwóch tych kategorii z pewnym dzierżawcą podatków. Powody były zrozumiałe. Książę pan absolutnie nie znał się na finansach państwowych, musiał więc przekazać je komuś lepiej uświadomionemu. Jeżeli zaś idzie o finanse prywatne, to dzierżawcy podatków bywali na ogół bogaci, a książę pan zubożał po wielu pokoleniach żyjących zbyt kłótnie i bez liczenia się z wydatkami. A zatem książę pan zabrał z klasztoru swoją siostrę i uchroniwszy w porę od welonu (najtańszego ze strojów, jakie mogła nosić) dał ją za żonę ubogiemu w antenatów bogaczowi, który był dzierżawcą podatków. Ów dzierżawca podatków wraz ze świadczącą o jego urzędzie laską zakończoną złotym jabłkiem znajdował się w danej chwili na salonach księcia pana i ludzie nie szczędzili mu uniżonych dowodów szacunku. Tak odnosił się doń ogół ludzi, z wyjątkiem osób najwyższego rodu, które (nie wyłączając jego własnej

żony) spoglądały na dzierżawcę podatków z nieopisaną pogardą.

Ów dzierżawca podatków — pan nader hojny — trzymał na stajni trzydzieści koni; dwudziestu czterech lokai kręciło się po jego rezydencji; sześć panien służących posługiwało jego małżonce. Jako człowiek, który (mimo dostojnych koligacji sprzyjających wysokim zasadom moralnym) dążył jedynie do tego, "by kraść i grabić wszędzie, gdzie się zdarzy, dzierżawca podatków wyróżniał się realizmem spośród wysokich osobistości wypełniających tego ranka salony księcia pana. Bo komnaty te, chociaż piękne dla oka i przyozdobione wszystkim, na co stać było dobry smak i sztukę tamtych czasów, przedstawiały widok nienajzupełniej zdrowy. Gdyby zaś bodaj jeden z gości księcia pana zechciał poświęcić takim zagadnieniom chwilę uwagi, komnaty wyglądałyby żenująco w porównaniu z ubranymi w łachmany i szlafmyce strachami na wróble, nie bardzo nawet dalekimi, gdyż czujne wieże Katedry Panny Marii z jednakowej niemal odległości spoglądały na te przeciwieństwa.

Oficerowie armii lądowej pozbawieni wiedzy wojskowej; oficerowie floty nie mający wyobrażenia o okręcie; urzędnicy nieświadomi spraw państwowych; światowi księża o miedzianym czole, lubieżnym oku, rozwiązłym języku i jeszcze bardziej rozwiązłym życiu — wszyscy kompletnie nieprzygotowani do swoich zawodów i kłamiący niech nie, że zawody te pełnią — wszelako wszyscy bliżej lub dalej związani z klanem księcia pana i z tej racji pchani na urzędy publiczne, z których dawało się coś wycisnąć. Tyle mniej więcej można było powiedzieć o wielu, wielu gościach. Niemniej licznie występowali ludzie nie związani bezpośrednio z księciem panem lub państwem, podobnie jednak nie związani z niczym realnym ani z żadną szeroką drogą, po której zmierza się prosto do jakiegoś ziemskiego celu. W przedpokojach księcia pana uśmiechali się do swoich szykownych pacjentów lekarze, co dorobili się fortun na łagodnych środkach przeciwko urojonym, nie istniejącym chorobom. Wynalazcy przeróżnych leków na pomniejsze dręczące Francję niedomagania, którzy nie odkryli jedynie metody wykorzenia chociażby jednego z najbardziej rozpowszechnionych grzechów, bełkotali do ucha każdemu, kogo zdołali przychwycić w oczekiwaniu na audiencję u księcia pana. Niewierzący filozofowie, co słowami przerabiali świat i z kart wznosili Wieże Babel, by zajrzeć do nieba, gawędzili na salonach księcia pana z niewierzącymi chemikami pochłoniętymi głównie kwestią przemiany metali. Wytworni salonowcy, których doskonałe wychowanie (podobnie w tamtej epoce, jak wcześniej i później) polegało na zupełnym braku zainteresowania dla wszelkich spraw interesujących zwyczajnych ludzi, snuli się po komnatach ' w stanie doskonałego zblazowania. A wszyscy ci wielcy ludzie różnego pokroju zostawili w eleganckich dzielnicach Paryża takie domy rodzinne, że najbystrzejszy ze szpiegów stanowiących co najmniej połowę wykwintych wielbicieli księcia pana nie znalazłby tam ani jednej żony, która wyglądem i postępowaniem zasłużyłaby sobie na miano matki. Prawdę rzekłszy, macierzyństwo nie było modne w dobrym towarzystwie i ograniczało się zwykle do wydania na ten świat kłopotliwej istoty, co nie wystarcza do uzyskania tytułu matki. Wiejskie kobiety wychowywały i pielęgnowały niemodne dzieci, a sześćdziesięcioletnie babunie stroiły się i szczebiotały tak samo jak wówczas, gdy miały lat dwadzieścia.

Trąd oderwania od rzeczywistości szpecił wszystkie istoty ludzkie oczekujące audiencji u księcia pana. W najbardziej odległym salonie zebrało się pół tuzina wyjątkowych osób, które od kilku lat podejrzewały mgliście, że na ogół zaczyna się dziać nie najle—,piej. Poszukując rozumnych środków naprawy trzy z tych osób przystąpiły do fanatycznej sekty Konwulsjonistów i w danej chwili naradzały się poważnie między sobą, czy nie warto zacząć na miejscu miotać się, pieniść i ryczeć, aby dzięki atakom epilepsji dać księciu panu mądrą i zrozumiałą wskazówkę na przyszłość. Drugi połowa wymienionego wyżej pół tuzina szukała ocalenia w inne; sekcie, w której żargonie wciąż powracał jakiś Ośrodek Prawdy Ludzie ci dowodzili, że człowiek wyszedł z Ośrodka Prawdy, lecz

nie opuścił jeszcze Kręgu Prawdy, wobec czego należy uczyni wszystko, aby człowieka w tym Kręgu Prawdy zatrzymać, a nawet (jeżeli to możliwe) zawrócić do Ośrodka Prawdy, co można uzyskać dzięki postom i rozmowom z duchami. Wobec tego zwolennicy Ośrodka Prawdy wiedli długie i częste dyskursy z duchami czyniąc w ten sposób bardzo wiele dobrego, ale co mianowicie — nie wiadomo.

Cała pociecha, że towarzystwo zgromadzone w okazałym pałacu księcia pana ubrane było bez zarzutu. Gdyby dzień Sądu Ostatecznego miał stać się dniem przeglądu strojów, wszyscy obecni byliby najzupełniej poprawili, bo na wieki wieków chyba wystarczyć mogły te włosy wspaniale upięte, fryzowane, pudrowane, te cery zakonserwowane i poprawione w kunsztowny sposób, te radujące oko szpady i hołdy oddawane subtelnie zmysłowi powonienia. Znakomicie wychowani panowie wysokiego rodu poruszali się leniwie i przy każdym ruchu pobrzękiwali licznymi brelokami, które dźwięczały niby cenne małe dzwoneczki. Łatwo się zapewne domyślić, że dzwonenie to wraz z szelestem jedwabi, brokatów i śnieżnobiałych atlasów tworzyło w całej atmosferze powiew, który daleko odpędzał Świętego Antoniego i jego nienasycone głody.

Strój stanowił jedyny talizman i gusła używane po to, by wszystkim sprawom zapewnić właściwe proporcje. Wszyscy poprzebierali się na bal kostiumowy, co nigdy nie ustawał. Z Tuileries poprzez księcia pana, dwór, urzędy, trybunały i całe społeczeństwo (z wyłączeniem, oczywiście, strachów na wróble) bal kostiumowy sięgał aż do wykonawcy wyroków sprawiedliwości. Zgodnie z popularnym gusem kat musiał sprawować 'swoje funkcje „w pudrowanej i fryzowanej peruce, szamerowanym złotem surducie, spodniach do kolan i białych jedwabnych pończochach". A zatem Monsieur Paris, Monsieur Orleans oraz ich współbracia, nazywani tak na biskupią modłę, przewodniczyli w wykwinnym stroju podczas obrzędów przy szubienicy lub kole, gdyż szafot i topór należały do rzadkości. Cóż dziwnego, że nikt z 'kompanii zebranej w obszernym pałacu księcia pana nie mógł w owym roku pańskim tysięcznym siedemsetnym i osiemdziesiątym przewidywać zaćmienia pomyślnych gwiazd systemu, którego ostoją był kat w pudrowanej i fryzowanej peruce, szamerowanym złotem surducie, spodniach do kolan i białych jedwabnych pończochach.

Książę pan przełknął wreszcie czekoladę i uwolniwszy czterech lokai od ich porannego brzemienia kazał otworzyć drzwi miejsca świętego świętych, aby udać się na salony. Ileż się tam objawiło pokory, łaszenia się i krygowania, serwilizmu, dobrowolnych poniżeń! Ani trochę cielesnych i duchowych pokłonów nie pozostało dla Boga i w tym zapewne szukać należy przyczyny, dla której czciciele księcia pana nigdy nie naprzykrzali się Niebiosom.

Książę pan rzucił tu obiecujące słówko, tam chłodny uśmiech; jednego niewolnika zaszczycił poufnym szeptem, drugiego gestem ręki i w taki sposób przemierzył leniwym krokiem swoje salony, aż do najdalszego Kręgu Prawdy. Potem zawrócił i w odpowiedniej chwili zamknął się znowu w pachnącym czekoladą sanktuarium, by nie ukazać się więcej.

Po zakończeniu widowiska dyskretny powiew w atmosferze pałacu zmienił się w umiarkowany huragan, a cenne małe dzwoneczki nieco głośniejsz zadźwięczały na schodach. Niebawem z licznego towarzystwa pozostał tylko jeden pan, który z kapeluszem pod pachą i tabakierką w ręku wolno wędrował pośród luster w stronę wyjścia.

Przy ostatnich drzwiach człowiek ów przystanął, odwrócił się ku sanktuarium i wyrzekł:

— Oddaję cię szatanom!

Następnie otrzepał palce z tabaki, jak gdyby strząsał pył z sandałów, i w milczeniu zeszedł ze schodów.

Był to strojnie odziany sześćdziesięcioletni mężczyzna o wyniosłych manierach i twarzy przypominającej delikatną maskę. Twarz ta, niemal przezroczyście blada, miała wyraźnie zaznaczone

rysy i jak gdyby zakrzepły, wciąż jednak wyraz. Nos — kształtny na ogół — był z lekka wklęsnięty po obydwu stronach nad nozdrzami, a wszelkie odmiany, jakie zachodziły na kamiennym obliczu, obrały sobie siedzibę w tych właśnie zagłębieniach czy bruzdach. Czasami zmieniały one barwę albo drżały poruszane czymś na kształt lekkiego pulsowania. W takich właśnie chwilach cała twarz przybierała wyraz okrutny i zdradliwy. Pobudzony tym zjawiskiem baczny obserwator potrafiłby zapewne dostrzec zbliżony wyraz w zarysie ust i wykroju oczu mocno wydłużonych i o wiele za wąskich. Mimo to wszakże twarz jako całość mogła uchodzić za przystojną i niepospolitą.

Właściciel owej twarzy zeszedł po schodach na dziedziniec, zajął miejsce w swojej karocy i odjechał. Podczas audiencji w pałacu rozmawiało z nim niewiele osób. Stał nieco na uboczu, a książę pan mógł niewątpliwie odnieść się doń trochę cieplej. W takiej sytuacji przyjemność sprawiał mu widok ludzi z gminu, którzy w popłochu pierzchali przed końmi i nierzadko ledwie chronili się od przejechania. Stangret powoził tak, jak gdyby szarżował hufce wroga, a nieostrożność ta bynajmniej nie prowokowała pana do gestu lub słowa nagany. Nawet w owym głuchym mieście i niemym wieku często 'słyszało się utyskiwania, iż ma wąsikach uliczkach bez chodników arystokratyczny obyczaj kawalerskiej jazdy po barbarzyńsku grozi ludziom śmiercią lub kalectwem. Nikt jednak nie dbał o takie skargi i nie zaprzętał sobie nimi głowy, wobec czego pospólstwo musiało radzić sobie samo w tych tarapatach, podobnie jak w innych.

Z brzękiem, turkotem i nieludzką beztroską, trudną do pojęcia w naszych czasach, karoca mknęła wzdłuż ulic i ostro brała zakręty, chociaż kobiety wrzeszczały przed nią, a mężczyźni odciągali się wzajemnie lub unosili dzieci z jej drogi. Wreszcie na skrzyżowaniu ulic opodał fontanny jedno z kół podskoczyło niepokojąco. Kilka głosów krzyknęło donośnie, a konie spłoszyły się i cofnęły stając dęba. Gdyby nie ta drobna na pozór przeszkoda, ekwipaż pojechałby dalej, bo ekwipaże często pozostawiały za sobą rannych i nie dziwiło to nikogo. Tym razem jednak wystraszony lokaj zeskoczył z kozła i w jednej chwili dwadzieścia rąk sięgnęło do lejców przy końskich pyskach.

— Co się stało? — zapytał spokojnie pan wychylając się z okna karocy.

Wysoki mężczyzna w szlafmicy porwał jakiś tłumoczek spomiędzy nóg koni, położył go na cembrowinie fontanny, sam zaś padł na kolana w ulicznym pyłe i błocie i począł wyc niby dzikie zwierzę.

— Stokrotnie przepraszam, jaśnie wielmożny panie markizie — odezwał się jakiś pokorny obdartus — ale to dziecko.

— A czemu ten wrzeszczy tak ohydnie? To jego dziecko?

— Niestety, za pozwoleniem jaśnie wielmożnego pana markiza, jego.

Fontanna znajdowała się w pewnym oddaleniu, bo przy zbiegu ulic był placyk szeroki na dziesięć lub dwanaście jardów. Kiedy więc wysoki mężczyzna zerwał się nagle z ziemi i skoczył ku karocy, pan markiz zdążył położyć dłoń na rękojęści szpady.

— Zabity! — krzyknął ojciec tonem szaleńczej rozpacz i nie odrywając wzroku od wytwornego pana podniósł nad głową obie ręce. — Nie żyje!

Ludzie obstąpili karocę i patrzyli na pana markiza, ale oczy ich wyrażały tylko skupioną uwagę. Nie było w tych spojrzeniach gniewu ni otwartej groźby. Nikt też nie odezwał się słowem. Po pierwszym wrzasku wszyscy umilkli i nadal stali w ciszy. Ton głosu pokornego obdartusa, który odpowiadał jaśnie panu, był łagodny a nawet uniżony. Pan markiz powiódł spojrzeniem po ludziach, jak gdyby patrzył na szczury, co wypełzły ze swoich nor. Potem dobył sakiewki.

— Zdumiewa mnie — powiedział — że wy, dobrzy ludzie, nie potraficie pilnować siebie i swoich dzieci. Jak nie jeden, to drugi stoi na drodze. Czy tylko nie stało się coś moim koniom? Trzymaj! Daj mu to!

Rzucił złotą monetę, którą lokaj miał podnieść z bruku. Wyciągnęły się wszystkie szyje, alby wszystkie oczy mogły widzieć dokładnie lot i upadek sztuki złota.

— Nie żyje! — powtórzył wysoki mężczyzna głosem jak gdyby nie z tej ziemi. — Nie...

Urwał, gdyż w tej chwili podszedł doń szybko jakiś inny mężczyzna, przed którym rozstąpili się gapie. Nieszczęsny ojciec padł w jego ramiona i począł płakać i szlochać wskazując ręką fontannę. Kobiety pochylały się tam nad nieruchomym tobołkiem i dotykały go delikatnie, milcząc podobnie jak mężczyźni.

— Wiem, wiem wszystko — odezwał się nowo przybyły. — Odwagi, mój Gaspardzie. Lepiej, że małe biedactwo zginęło w taki sposób, niż miałoby żyć. Śmierć nastąpiła w jednej chwili, bezboleśnie. Czy choć godzinę mogłoby przeżyć tak szczęśliwie?

— Jak widzę, filozof z ciebie — rzekł z uśmiechem pan markiz. — Jak się nazywasz?

— Defarge.

— A co robisz?

— Sprzedaję wino, panie markizie.

— Trzymaj to, filozofie i sprzedawco wina — powiedział pan markiz rzucając drugą sztukę złota. — Trzymaj i kup sobie, co zechcesz. Jak tam konie? W porządku?

Nie zaszczyciwszy motłochu spojrzeniem pan markiz rozparł się wygodnie i zamierzał odjechać z miną dżentelmena, który przypadkiem zniszczył pospolity przedmiot i zapłacił zań, bo mógł sobie pozwolić na wydatek. W tej chwili jednak spokój jego został zakłócony, gdyż przez okno karocy wleciała złota moneta i z brzękiem upadła na podłogę.

— Stój! — zawołał pan markiz do stangreta. — Trzymaj konie! Kto to rzucił?

Instynktownie zwrócił wzrok na miejsce, gdzie tak niedawno stał Defarge, handlarz wina. Ale na miejscu tym nieszczęsny ojciec zawodził leżąc twarzą w ulicznym pyłe, a obok niego widać było tylko tęgą ciemnowłosą kobietę, która pilnie robiła na drutach.

Pan markiz twarz miał obojętną i głos opanowany, a o wzburzeniu jego świadczyło jedynie drganie i kolor zagłębień przy końcu nosa.

— Podłe psy! — rzucił. — Chętnie przejechałbym was wszystkich i wszystkich startł z powierzchni ziemi. Gdybym wiedział, jaki szubrawiec rzucił pieniądz do karety, i gdyby łądak znajdował się w pobliżu, zgniótłbym go kołami.

Ludzie byli ujarzmieni i od bardzo dawna przekonywali się boleśnie na własnej skórze, ile złego może im zrobić wielki pan z pomocą prawa albo i wbrew prawu, toteż w tłumie mężczyzn nie podniósł się ani jeden głos, ani jedna pięść, ani jedno spojrzenie. Tylko kobieta zajęta robotą na drutach odważyła się popatrzeć przenikliwie prosto w twarz pana markiza. Ów nie poniżył się zwróceniem na to uwagi, lecz pogardliwym wzrokiem objął kobietę oraz resztę szcurów, rozsiadł się znów wygodnie i rzucił stangretowi jedno słowo:

— Ruszaj!

Odjechał, lecz za nim poczęły nadlatywać karoce — szybko jedna po drugiej. Minister, intendent, dzierżawca podatków, lekarz, prawnik, duchowny, Wielka Opera, Komedia Francuska — cały bal kostiumowy kłębił się błyskawicznym, nieprzerwanym wirem. Szczury wypełzły z nor, aby patrzeć, i patrzyły przez długie godziny. Często żołnierze lub policjanci wkraczali między gapiów a widowisko i tworzyli barierę, za którą tłum cofał się pokornie i przez którą zerkał ciekawie. Ojciec od dawna ukrył się gdzieś ze swoim tobołkiem, a kobiety, co zajmowały się tobołkiem, gdy ów spoczywał na cembrowinie fontanny, siedziały teraz na tejże cembrowinie i słuchając szumu tejże fontanny oglądały bal kostiumowy. Kobieta, która podczas niedawnej sceny stała na widocznym miejscu, stała tam nadal i robiła nad drutach z nieubłaganą cierpliwością losu. Woda fontanny płynęła, płynęła bystra

rzeka, dzień płynął w kierunku wieczoru, a życie zgodnie z prawami natury w kierunku śmierci. Czas nie zatrzymywał się dla nikogo. Niebawem szczury usnęły stłoczone w dusznych norach, a na balu kostiumowym biesiadne stoły rozjarzyły się świecami, wszystko więc popłynęło właściwym sobie nurtem.

ROZDZIAŁ VIII

PAN MARKIZ NA WSI

Malowniczy krajobraz ozdabiały niezbyt bujne lany. Poletka lichego żyta, zagony grochu, soczewicy i najpospolitszych jarzyn zastępowały pszenicę krzewiąc się w miejscach, gdzie winna być jej obfitość. W roślinach i zajętych ich uprawą mężczyznach i kobietach wyczuwało się niechętnie wegetowanie, beznadziejną skłonność do rezygnacji i przedwczesnego więdnienia.

Czwórka koni popędzanych przez dwóch pocztylionów z trudem windowała na strome wzgórze podróżną 'kolasę pana markiza, która mogłaby być nieco lżejsza. Rumieniec na obliczu pana markiza nie uchybiał jego doskonałemu wychowaniu, gdyż wywołała go przyczyna zewnętrzna i absolutnie nie podlegająca kontroli: zachód słońca.

Na szczycie wzgórza wieczorny blask tak wypełnił kolasę, że jej pasażer jak gdyby skąpał się w szkarłacie.

— To zaraz minie — mruknął spoglądając na swoje dłonie. — Za chwilę.

Istotnie słońce było tak nisko, że schowało się w momencie, gdy założono na koła ciężkie hamulce. Kolasa poczęła zjeżdżać w dół pośród pachnącego popiołem kurzu i purpurowa łuna niknęła stopniowo, jak gdyby pan markiz i słońce zachodzili jednocześnie. Kiedy zdejmowano hamulce, nie było już ni śladu krwawego odbłasku.

Dokoła ciągnęły się pola faliste i rozległe. Widać było małą osadę u stóp wzgórka, a dalej szeroką równinę, wieżę kościelną, las przeznaczony dla łowów i strome urwisko, na którego wierzchołku wznosiła się forteca używana obecnie jako więzienie. Pośród szybko gęstniejących mroków pan markiz spogląda! na to wszystko z miną człowieka zbliżającego się do domu. Przy jedynej nędznej uliczce osady stał nędzny browar, nędzna garbarnia, nędzny szynk, nędzny zajazd, gdzie zmieniano konie pocztowe, nędzna fontanna — jednym słowem wszystkie nędzne urządzenia właściwe takim osadom. Osada miała też swoją wynędzniałą ludność. Wszyscy jej mieszkańcy byli ubodzy. Wielu z nich siedziało teraz przed domami obierając liche cebulki lub jakieś inne jarzyny przeznaczone na wieczerzę. Inni — zebrani koło fontanny — płukali liście, trawę i tym podobne skromne płody ziemi nadające się do spożycia. Nie brakło w osadzie ,aż nazbyt oczywistych znaków wyjaśniających powody ubóstwa jej mieszkańców, gdyż urzędowe obwieszczenia nakazywały wpłacać tu i ówdzie takie lub inne podatki lokalne i ogólne na rzecz państwa, Kościoła, dziedzica... Dziw, że daniny te nie pochłonęły jeszcze całej osady i zostawiły z niej cośkolwiek.

Dzieci widziało się niewiele, a psów wcale. Jeżeli zaś chodzi o dorosłych, ci mieli do wyboru tylko dwie drogi: życie na pograniczu śmierci głodowej w nędznej osadzie i jej manufakturach albo więzienie i śmierć w fortecy panującej z urwiska nad okolicą.

Pan markiz przybył przed bramę zajazdu pocztowego poprzedzony przez laufra i anonsowany trzaskaniem pocztylionskich biczów, które wiły się w wieczornym powietrzu jak gdyby podróżną kolasę eskortowały furie. Zajazd stał w pobliżu fontanny i wieśniacy przerwali swoje czynności chcąc pogapić się na dziedzica. Dziedzic spojrzał na nich z góry i nie zdając sobie nawet sprawy dostrzegł wyniszczone przez niedostatek, zamierające z wolna ciała i twarze, dzięki którym zrodził się .angielski przesąd o bezprzykładnej chudości Francuzów — przesąd, co o niemal sto lat przeżył prawdę.

Pan markiz przebiegał spojrzeniem twarze ludzi uniżonych, którzy chylili przed nim głowy tak, jak jemu podobni przed magnatem wpływowym u dworu. Cała różnica polegała na tym, że tutaj ponizano się tylko, aby cierpieć, nie aby ciągnąć korzyści. W tej chwili do gromadki gapiów

przyłączył się szpakowaty dróżnik.

— Przyrowadź mi tego człowieka — rozkazał pan markiz laufrowi.

Człowiek z czapką w rękę został przyrowadzony, a inni zbili się ciasniej, aby patrzeć i słuchać na podobieństwo tłumu koło paryskiej fontanny.

— Miąłem cię na drodze.

— Tak, jaśnie wielmożny panie. Miąłem ten zaszczyt. Jaśnie wielmożny pan miął mnie na drodze.

— Nawet dwa razy. Jadąc pod górę i na grzbiecie wzgórza. — Tak jest, jaśnie wielmożny panie.

— Dlaczego przyglądałeś się tak bacznie mojej karecie?

— Jaśnie wielmożny panie, przyglądałem się człowiekowi. Pochylił się lekko i wyblakłą szafirową czapką wskazał pod kolasę. Wszyscy gapie pochyłili się również, aby zajrzeć między koła podróznego wehikułu.

— Gadaj wyraźnie, świnió! Na jakiego gapiłeś się człowieka? Dlaczego wskazujesz tam teraz?

— Bardzo przepraszam jaśnie wielmożnego pana, ale on był uwieszony u łańcuchów tego... jak mu tam... hamulca.

— Kto? — zapytał pan markiz.

— Człowiek, jaśnie wielmożny panie!

— Niech diabli porwą tych matołków! Jak się ten człowiek nazywa? Znasz wszystkich w okolicy. Kto to był?

— Łaski, jaśnie wielmożny panie! On nie pochodzi z naszych stron. Nie widziałem go, jak żyję.

— Mówisz, że wisiał u łańcuchów hamulca. Po co? Żeby się udusić?

— Za pozwoleniem jaśnie wielmożnego pana, temu się właśnie dziwowałem, jaśnie wielmożny panie. Głowa zwisała mu do tyłu... tak... o, tak!

Dróżnik odwrócił się bokiem do karety i przechylił w tył głowę tak, że spojrzał prosto w niebo. Potem wyprostował się i nisko uklonił mnąc w garści czapkę.

— Jak ten człowiek wyglądał?

— Jaśnie wielmożny panie, był bielszy od młynarza, cały pokryty kurzem. Biały jak widmo! Wysoki jak widmo!

Obraz ten wywarł wielkie wrażenie, lecz w gromadce gapiów nikt nie spojrzał na sąsiada. Wszyscy przyglądali się nadal panu markizowi. Może byli ciekawi, czy ma na sumieniu widmo, które go może przesładować.

— Ładnie się popisałeś. Doskonale — rzekł spokojnie pan markiz w błogim przeświadczeniu, że tak lichy robak nie może go zirytować— Widziałeś, że jakiś złodziej czepia się mojej karety, i nie otworzyłeś gęby. Dobrze sobie! Możesz go puścić, Monsieur Gabelle.

Monsieur Gabelle — poczmistrz a zarazem poborca niektórych podatków — nadbiegł gorliwie przy początku przesłuchania i przez cały czas z urzędu trzymał przesłuchiwanego za luźny rękaw bluzy.

— Dobrze sobie! — rzekł Monsieur Gabelle. — Możesz odejść.

— Słuchaj, Gabelle — podjął markiz. — Gdyby ten włóczęga szukał tutaj noclegu, przytrzymaj go i upewnij się, że nie ma złych zamiarów.

— Jaśnie wielmożny panie, będzie dla mnie zaszczytem wykonanie rozkazów jaśnie wielmożnego pana.

— Hej, ty! Czy tamten człowiek uciekł? Gdzie się podział ten przeklętnik?

Przeklętnik był pod kolasą i posługując się szafirową czapką pokazywał łańcuchy hamulca sześciu osobistym przyjaciołom. Sześciu innych osobistych przyjaciół wywlokło go niezwłocznie i

zdrętwiałego ze strachu postawiło przed panem markizem.

— Słuchaj, ośle! Czy tamten człowiek uciekł, kiedy przystanęliśmy, by założyć hamulce?

— Jaśnie wielmożny panie, skoczył ku stokowi wzgórza. Rzucił się głową naprzód, jak człowiek, co skacze do rzeki.

— Weź to pod uwagę, Gabelle. Jazda!

Osobiści przyjaciele dróżnika, którzy oglądali łańcuchy, byli jeszcze między kołami, mogli więc uważać się za szczęśliwych, że uratowali skórę i kości, chociaż kolasa nagle ruszyła z miejsca. Gdyby mieli coś więcej do ratowania, zapewne szczęście gorzej by im dopisało.

Rozpęd, z jakim kolasa ruszyła z miejsca i wytoczyła się z wioski, osłabł rychło na stromym uboczu pagórka. Konie przeszły stopniowo w leniwego stępa i z wysiłkiem wlokły ciężki wehikuł pośród upajających woni letniego wieczoru. Pocztylioni spokojnie naprawiali trzaskawki biczów, a nad głowami ich krążyły zamiast furii lotne chmury komarów. Lokaj szedł koło koni, a w mrokach oddalenia słyhać było, że Laufer spieszy naprzód truchtem.

Koło najbardziej stromego odcinka drogi leżał cmentarzyk ozdobiony krzyżem z dużą nową figurą Zbawiciela. Była to licha drewniana figura dłuta domorosłego wiejskiego rzeźbiarza, który wszakże wziął model z życia (zapewne z własnego życia), ponieważ Chrystus był zdumiewająco chudy i wynędzniały.

Pod tym żalonym symbolem cierpienia, co pogłębiało się wciąż, ale dna jeszcze nie sięgnęło, klęczała jakaś kobieta. Słyszając tupot nóg końskich odwróciła głowę, powstała szybko i podbiegła do drzwi kolasy.

— Jaśnie wielmożny panie! — zawołała. — Jaśnie wielmożny panie, mam prośbę!

Pan markiz wychylił się z okna pojazdu.

— Co? O co chodzi? — zapytał gniewnym tonem, nie zmieniając wyrazu nieruchomej twarzy. — Wciąż tylko prośby i prośby!

— Jaśnie wielmożny panie! Błagam w imię Boga Wszchemogącego! Mój mąż, gajowy...

— Co twój mąż, gajowy? Zawsze z wami, łajdacy, jedno i to samo! Nie może czegoś zapłacić?

— Owszem, zapłacił wszystko, jaśnie wielmożny panie. Mój mąż nie żyje.

— Aha! Więc ma już spokój. Nie mogę przecież wrócić ci męża.

— Niestety nie, jaśnie wielmożny panie. Ale on leży tam pod nędzną mogiłąk zarośniętą zielskiem.

— Więc co z tego?

— Jaśnie wielmożny panie, tyle jest na cmentarzu nędznych mogiłek zarośniętych zielskiem...

— Więc co z tego? — powtórzył dziedzić.

Kobieta była młoda, wyglądała jednak na wiekową. Widać było, że dręczy ją straszliwa rozpacz. Raz po raz załamywała sękatę, żylaste dłonie lub pieszczotliwym ruchem gładziła drzwi kolasy tak, jak mogłaby gładzić pierś ludzkiej istoty, co potrafi odczuwać delikatne błaganie dotknięcia.

— Jaśnie wielmożny panie! Litości! Niech jaśnie wielmożny pan raczy wysłuchać mojej prośby. Mąż umarł z głodu. Tyle nas poumieralo z głodu. Tyle poumiera jeszcze...

— Więc co z tego? — powiedział trzeci raz pan markiz. — Nie mogę wszystkich wyżywić.

— To wiadomo jedynie Bogu. Ale nie o żywność chcę błagać. Proszę tylko o kawałek drewna lub kamienia z imieniem mojego męża. Niechaj taki nagrobek stanie nad jego ciałem, żeby było wiadomo, gdzie mój mąż spoczywa. Inaczej ludzie szybko zapomną i nikt nie znajdzie grobu, kiedy ja umrę na tę samą chorobę i legnę pod inną nędzną mogiłąk zarośniętą zielskiem. Jaśnie wielmożny panie! Wiele jest mogił i wciąż ich przybywa. Głód coraz sroższy. Jaśnie wielmożny panie! Jaśnie wielmożny panie!

Lokaj odepchnął petentkę. Kolasa ruszyła truchtem, pocztylioni przyspieszyli kroku. Kobieta została na gościńcu, a pan markiz eskortowany znów przez furie szybko zmniejszył niewielką odległość dzielącą go od jego wiejskiej rezydencji.

Słodkie zapachy ciepłej, nocy powstawały wokół i — sprawiedliwie niby deszcz — obdziały pana markiza oraz biedaków zbitych w gromadkę koło wioskowej fontanny, gdzie dróżnik przy pomocy swojej szafirowej czapki (bez której był widocznie niczym) opisywał, jak mógł najrozwickiej, człowieka białego i długiego na kształt widma. Niebawem jednak słuchacze mieli dosyć i zaczęli odchodzić jeden po drugim, a w maleńkich okienkach na krótko zapalały się mętne światła. Ukazywały się i niknęły, że zaś gwiazd przybywało na firmamencie, zdawać się mogło, że światła w okienkach nie gasną, lecz ulatują w niebo.

Pan markiz znalazł się tymczasem w cieniu okazałego pałacu i otaczających go wysokich starych drzew. Niebawem, gdy kolasa stanęła przed podjazdem i otwarły się główne podwoje, pochodnia rozjaśniła gęste mroki.

— Oczekuję mojego bratanka, pana Karola. Czy przybył z Anglii? — zapytał dziedzic.

— Jeszcze nie, jaśnie wielmożny panie — odpowiedziano.

ROZDZIAŁ IX

GŁOWA GORGONY

Zamek pana markiza — ciężka, posępna budowla — miał rozległy kamienny dziedziniec i dwoje kamiennych schodów, które spotykały się przed głównymi podwojami tworząc przestronny kamienny taras. Dokoła widać było kamienne balustrady, urny, kwiaty, kamienne łby lwów i twarze ludzi — nic więc dziwnego, że całość czyniła wrażenie czegoś 'skamieniałego, jak gdyby przed dwoma wiekami po ukończeniu prac rzeźbiarzy Gorgona dokonała ich przeglądu.

Pan markiz wysiadł z kolasy i wstąpił na szerokie wydeptane stopnie, a niesiona przed nim pochodnia rozjaśniała mroki wywołując gniewne protesty sowy ukrytej gdzieś w załamaniach dachu obszernych stajen, co stały opodal za drzewami. Poza tym było cicho, spokojnie. Dwie pochodnie — wnoszona na schody oraz czekająca u progu — płonęły równym płomieniem niby w zacisznej komnacie, a nie nocą na otwartym powietrzu. Milczenia nie zakłócało nic prócz hukania sowy i szmeru kropel spływających do kamiennego basenu fontanny, gdyż była to jedna z owych nocy, które na długo wstrzymują oddech, by potem westchnąć głęboko i oniemieć znowu.

Główne podwoje zamknęły się za nim z łoskotem i pan markiz wkroczył do wielkiej sieni. Na ścianach rozwieszono tam stare myśliwskie oszczepy, 'kordelasy i odwieczne miecze — posępne ozdoby, wszelako mniej posępne niż wiszące obok ciężkie batogi i harapy, których wagi doświadczył niewątpliwie w chwilach pańskiego gniewu niejedyn wieśniak od dawna już ukojony tchnieniem dobrotliwej śmierci.

Pan markiz omijał wielkie salony — ciemne i troskliwie na noc pozamykane — i za niosącym pochodnią lokajem wszedł na schody wewnętrzne, aby na koniec w jednym z długich korytarzy przestąpić próg swojego prywatnego apartamentu. Na apartament ten składała się sypialnia i dwa pokoje innego przeznaczenia. Wysokie sufity, chłodne, pozbawione dywanów posadzki, wielkie psy przed kominkami, na których zimą miały płonąć sagi drewna — wszystko to świadczyło o zbytku słusznie przysługującym panu markizowi w przywykłym do zbytku kraju i w przywykłej do zbytku epoce. W umeblowaniu przeważał styl Ludwika — czternastego króla tego imienia w szeregu, który miał trwać po wieczne wieki — nie brakowało jednak zabytków ilustrujących dawniejsze karty dziejów Francji.

Do stołu nakryto na dwie osoby w trzecim z amfilady pokoiów. Był on niewielki, ale wysoki i okrągły w kształcie, bo mieścił się w jednej z czterech baszt, których dachy podobne do kościelnych gasideł sterczały nad narożnikami zamku. Okna otwarto tam szeroko, lecz spuszczone żaluzje tak, że czarna ciemność nocy ukazywała się tylko poziomymi pasami na przemian z kamienną barwą malowanego drewna.

— Czy to dla mojego bratanka? — zapytał pan markiz wskazując stół nakryty do wieczerzy. — Słyszałem, że nie przybył dotychczas.

Było tak rzeczywiście, atoli gościa spodziewano się razem z jaśnie panem.

— Hm... Nie sądzę, by miał przyjechać tej nocy. Ale to nic. Stół może zostać, jak jest w tej chwili. Ja będę gotów za piętnaście minut.

Istotnie po upływie kwadransa pan markiz zasiadł samotnie do sutej i wykwintej kolacji. Siedział na fotelu zwrócony twarzą do okna. Zdążył już spożyć zupę i podnosił do ust kieliszek bordeaux, gdy odstawił go nagle.

— Co się tam dzieje? — zapytał spokojnym tonem spoglądając uważnie na poziome pasy czerni i kamiennej barwy.

— Tam? Gdzie, jaśnie wielmożny panie?

— Za oknem. Odsłoń żaluzję.

Rozkaz został wykonany.

— I co?

— Nic, jaśnie wielmożny panie. Wszystko jest tak, jak było. Tylko noc i drzewa.

Podczas tej wymiany zdań lokaj odsłonił żaluzję i bacznie spojrzął w nieprzeniknione mroki. Następnie odwrócił się i stojąc na tle nocnej czerni przyglądał się panu, jak gdyby oczekiwał dalszych rozkazów.

— To dobrze — rzekł dziedzic z niezmaconym spokojem. — Możesz opuścić żaluzję.

I to polecenie zostało wnet spełnione, a pan markiz wrócił do przerwanej wieczerzy. Był już blisko jej końca, kiedy znów zastygł z kieliszkiem w rękę, bowiem usłyszał turkot. Odgłos kół zbliżał się szybko i ustał przed podjazdem zamku.

— Zapytaj, kto przyjechał — rzucił pan markiz lokajowi.

Okazało się, że był to bratanek jaśnie pana. Po południu zorientował się, że jedzie o kilka mil za jaśnie panem. Spieszył więc co tchu i zmniejszył dystans z godziny na godzinę, lecz nie dość szybko, by doścignąć na gościńcu jaśnie pana, o którym dowiadywał się kolejno w pocztowych zajazdach.

Pan markiz kazał powtórzyć bratankowi, że czeka nań z wieczerzą i prosi, aby co rychlej przyszedł. Gość — znany w Anglii pod mianem Karola Darnaya — spełnił życzenie gospodarza i pojawił się wkrótce.

Pan markiz powitał go uprzejmie i łaskawie, ale nie wymienili uścisku dłoni.

— A więc pan stryj wczoraj opuścił Paryż? — powiedział młody człowiek zajmując miejsce przy stole.

— Wczoraj. A ty, mój drogi? — Jechałem bezpośrednią drogą.

— Z Londynu?

— Tak. Z Londynu.

— Coś długo marudziłeś — uśmiechnął się gospodarz.

— Jak to? Jechałem przecież najkrótszą drogą.

— Przepraszam. Nie miałem na myśli samej podróży, lecz czas zużyty na przygotowania.

— Zatrzymywały mnie... — Karol zawahał się na moment — no... rozmaite sprawy.

— Nie wątpię — uprzejmie przyznał gospodarz.

Pokąd służący nie odszedł, gość i gospodarz nie wyrzekli ni słowa. Kiedy jednak przy kawie zostali sami, bratanek zagaił rozmowę spoglądając w oczy stryja i w jego twarz, jak gdyby przesłoniętą subtelną maską.

— Jak stryj słusznie przewidywał, wróciłem w tym samym celu, który odwołał mnie z kraju i naraził na niespodziewane i srogie niebezpieczeństwo. Ale cel ten uważam za święty, nie dam więc za wygraną, jeżeli nawet ma mnie przywieść do śmierci.

— Tylko nie do śmierci! — obruszył się stryj. — Po co mówić o śmierci? Dlaczego?

— Podejrzewam, panie stryju, że gdybym stanął na krawędzi grobu, nie uczyniłbyś wiele, aby mnie powstrzymać.

Drganie nozdrzy i wyraz regularnych rysów okrutnej twarzy mogły stanowić złowróźbne potwierdzenie. Pan markiz zaoponował wprawdzie pełnym wdzięku gestem, ale gest ów był mało uspokajający, ponieważ stanowił jedynie hołd złożony zasadom dobrego wychowania.

— Nie wątpię o tym — podjął młody człowiek — bo ze wszystkiego, co mi wiadomo, wnoszę, iż pan stryj nie szczędził starań, aby podejrzaną okoliczności moich podróży uczynić jeszcze 'bardziej podejrzanymi.

— Nie, nie, nie! — zaoponował znów z uśmiechem pan markiz.

— Tak czy inaczej — ciągnął Karol mierząc go wielce nieufnym spojrzeniem — jestem przekonany, że dyplomacja stryja unieszkodliwiłaby mnie chętnie i za wszelką cenę, i to bynajmniej nie przebierając w środkach.

Zagłębienia przy końcu kształtnego nosa poczęły znowu pulsować niepokojąco.

— Sam ci to mówiłem, mój drogi — odparł pan markiz. — Pozwól łaskawie przypomnieć sobie, że sam mówiłem ci to przed laty.

— Pamiętam.

— Dziękuję — wycedził stryj słodziutkim tonem, który zabrzmiał niby łagodny dźwięk instrumentu muzycznego.

— *W* rezultacie — podjął Karol — wierzę głęboko, że tylko pech pana stryja a zarazem moje niezwykle szczęście ratuje mnie obecnie przed francuskim więzieniem.

— Niezupełnie rozumiem? — zdziwił się stryj popijając ze smakiem kawę. — Wolno prosić cię o bliższe wyjaśnienia?

— Gdyby nie chmura niełaski u dworu oceniająca stryja od lat kilku, zapewne lettre de cachet umieściłby mnie w jakiejś twierdzy na czas nieograniczony.

— Nie wykluczone — przyznał stryj z niezmaconym spokojem. — Z góry proszę cię o wybaczenie, lecz dla honoru rodu skłonny byłbym narazić cię nawet na taką przykrość.

— Ale przedwczoraj, w czasie porannej audiencji, został stryj potraktowany nie goręcej niż zwykle. Na moje szczęście.

— Nie powiedziałbym, że na twoje szczęście — odparł gospodarz z wyszukaną uprzejmością. — Pozwól, mój drogi, iż będę odmiennego zdania. Samotność daje warunki sprzyjające rozmyślaniom, a rozmyślania mogłyby ukształtować twoje przyszłe losy pomyślniej, niż ty próbujesz je kształtować. Nie warto jednak roztrząsać tej kwestii. Jak słusznie rzekłeś, zajmuję niekorzystną pozycję. Obecnie tylko bezczelnością lub przekupstwem można uzyskać lettre de cachet, ów łagodny instrument poprawczy stanowiący nieocenioną pomoc dla osób dbałych o znaczenie i honor rodu. Ubiega się o ten przywilej bardzo wielu ludzi, otrzymuje go zaś liczba stosunkowo mała. Niegdyś bywało inaczej, ale, mój drogi, Francja pod wieloma względami zmieniła się i zmienia na gorsze. Nasi bynajmniej nie odlegli przodkowie dzierżyli prawo życia i śmierci wobec okolicznego gminu. Z tej komnaty wywleczono na powieszenie niejednego chama. W sąsiednim pokoju... Obecnie mieści się tam moja sypialnia... Otóż w sąsiednim pokoju niemal w naszych czasach zasztyletowano jakiegoś hycła za to, że bredził o czci swojej córki... Rozumiesz, mój drogi? O czci swojej córki! Tracimy wiele przywilejów. Nowa filozofia coraz bardziej wchodzi w modę. Podejrzewam (nie twierdzę, oczywiście, lecz podejrzewam), że nowatorskie zmiany mogą zachwiać naszą sytuacją i stać się powodem znacznych dla nas kłopotów. Niedobrze się na ogół dzieje. Bardzo niedobrze...

Pan markiz zażył szczyptę tabaki i lekko pokiwał głową, jak gdyby biadał nad losami Francji, nie wątpił jednak w jej pomyślną przyszłość, dopóki kraj posiada środek naprawy tak doskonały jak jego własna osoba.

— Sytuacja nasza wydaje mi się niezachwiana — rzekł posepnie Karol. — W dawnych i nowszych czasach ustaliliśmy ją tak pewnie, że bodaj żadne nazwisko nie jest we Francji równie znieawidzone jak nasze.

— Chwała Bogu, chwała Bogu! — uśmiechnął się pan markiz. — Nienawiść to mimowolny hołd składany wielkim przez maluczkich.

— Nie — zaprzeczył młody człowiek tym samym posepnym tonem. — *W* całej naszej okolicy nie spotkam ani jednej twarzy, z której nie wyczytałbym obmierzłego strachu i niewolniczej uległości.

— Uważam to również za dowód uznania dla wielkości naszego rodu. Uznania zdobytego dzięki metodom, jakimi nasz ród potrafił dbać o swoją wielkość. Rozumiesz? — pan markiz znowu zażył much tabaki i eleganckim ruchem skrzyżował przed sobą nogi.

Kiedy jednak Karol wsparł łokieć na stole i smutno zakrył dłonią oczy, stryj zerknął nań z ukosa, a jego nieruchoma twarz przybrała chytry wyraz niechęci i odrazy nie pasujący zgoła do nałożonej sztucznie obojętnej maski.

— Ucisk to jedyna trwała filozofia — podjął po chwili. — Obmierzły strach i niewolnicza uległość każą pospólstwu słuchać bicza, póki — wzniosł wzrok ku górze — póki ten dach będzie przesłaniał niebo naszym oczom.

Mogło to trwać krócej, niż pan markiz sobie wyobrażał. Gdyby ukazano mu owej nocy jego zamek i pięćdziesiąt innych zamków tak, jak miały wyglądać za lat bardzo niewiele, dziedzic zawahałby się chyba i nie był pewien swojego prawa własności do upiornych, osmalonych ogniem, splądrowanych ruin. Jeśli zaś chodzi o dach, to przesłanianie nieba mogłoby nabrać znaczenia odmiennego i odnieść się do zamkniętych na wieki oczu licznych zwłok, w który ci tkwił ołów pochodzący z zamkowego dachu a wystrzelony ze stu tysięcy muszkietów.

— Na razie — rzekł gospodarz — ja zamierzam dbać o honor i spokój rodu, ponieważ ty uchylasz się od tego obowiązku. Ale musisz być zdrożony. Na dziś skończymy chyba konferencję?

— Przepraszam. Jeszcze chwilka.

— Nawet godzina, jeżeli sobie życzysz.

— Panie stryju, czyniliśmy zło i teraz zbieramy tego owoce.

— Czyniliśmy zło? — pan markiz uśmiechnął się blado i wskazał palcem najprzód bratanka, później siebie. — My? — zapytał ze zdziwieniem.

— Nasz ród. Dostojny ród, o którego cześć dbamy obydwaj jednak, chociaż w sposób zupełnie odmienny. Nawet w czasach mojego ojca czyniliśmy wiele, bardzo wiele zła, krzywdząc każdą istotę ludzką, co stanęła na drodze między nami a naszą rozrywką. Dlaczego jednak mówię o czasach mojego ojca? Przecież są to tak samo czasy pana stryja. Niepodobna traktować mojego ojca oddzielnie od jego brata—bliźniaka, współdziedzica fortuny i najbliższego spadkobiercy.

— Śmierć potraktowała nas oddzielnie — wtrącił gospodarz.

— Tak. A mnie przywiązała do systemu, który budzi odrazę i przerażenie. Czuję się odpowiedzialny za ten system, a jednocześnie bezsilny wobec niego. Daremnie staram się spełnić Ostatnią prośbę, jaką posłały mi usta mojej kochanej matki. Daremnie staram się posłuchać ostatniego spojrzenia, jakie posłały mi oczy mojej kochanej matki, spojrzenia, co błagało, abym był miłosierny i naprawiał krzywdy. Na próżno szukam wokół pomocy i oparcia. Na próżno się zadreczam.

W tej chwili stryj i bratanek stali przed okazałym kominkiem.

— Jeżeli u mnie zamyślasz szukać oparcia i pomocy — rzekł pan markiz dotykając wskazującym palcem piersi Karola — to do końca świata będziesz ich szukał na próżno. Możesz być tego pewien.

Trzymając tabakierkę w ręku stał sztywno i spoglądał bacznie na bratanka, a delikatne rysy tej kamiennej twarzy wyrażały czujność, okrucieństwo i pogardę. Jeszcze raz dotknął piersi młodego mężczyzny, jak gdyby palec był ostrzem sztyletu, którym na wskroś można przebić serce.

— Mój miły — powiedział. — Chętnie poświęcę życie, aby utrwalić system, w którym ujrzałem światło dzienne.

Z tymi słowy zażył jeszcze raz tabaki i tabakierkę schował do kieszeni. Następnie potrząsnął małym znajdującym się na stole dzwoneczkiem.

— Najlepiej być rozumnym człowiekiem — dodał. — Przyjmować los przeznaczony z góry. Ale

cóż, ty jesteś stracony, bezpowrotnie stracony, mój panie Karolu.

— Raczej Francja i dobra rodzinne są dla mnie stracone — skorygował bratanek. — Zrzekam się ich z własnej woli.

— Zrzekasz się? Czy do ciebie należą? Francja, być może, ale dobra rodzinne... To fortuna prawie nic warta, ale nie jest jeszcze twoją własnością.

— Słowa, których użyłem, nie miały na celu dopominania się o prawa własności. Jeżeli dobra rodzinne przejdą z rąk stryja do moich jutro...

— Co nie wydaje się prawdopodobne — wtrącił pan markiz.

— ... lub za dwadzieścia lat...

— Zbyt to pochlebna wróżba, lecz bądź co bądź wolę ją od poprzedniej.

— ... wyjadę stąd na zawsze. Będę żył inaczej i gdzie indziej. Nie będzie to bolesne wyrzeczenie, bo te dobra rodzinne są istną pustynią nędzy i ruiny.

— Aha — mruknął gospodarz rozglądając się z uśmiechem po zbytownie urządzonej komnacie.

— Tutaj wszystko wygląda przyjemnie na pozór i dla oka. Ale nasze dobra rodzinne widziane pod gołym niebem i za dnia to wałaca się wieża marnotrawstwa, wyzysku, nieudolnej gospodarki, długów, krzywd, głodu, łachmanów i cierpień.

— Aha — powtórzył gospodarz tonem szczerzego zadowolenia z siebie.

— Jeżeli kiedyś dobra te mnie przypadną, oddam je w inne ręce, bardziej powołane do stopniowego ujmowania ciężaru, co je w dół ściąga. Nie wiem, czy to możliwe, lecz pragnę, aby biedni ludzie, którzy nie mogą się stąd wyrwać i od tak dawna znoszą straszliwe jarzmo, mniej cierpieli chociażby w przyszłym pokoleniu. Ale to zadanie nie dla mnie. Przekleństwo ciąży na tych dobrach i na całym nieszczęśliwym kraju.

— A ty? — spytał pan markiz. — Zechciej łaskawie wybaczyć moją ciekawość, ale chciałbym wiedzieć, jak zamierzasz żyć w aureoli swojej nowej filozofii? Jak i z czego?

— Aby żyć, panie stryju, będę zmuszony robić to, co w niedalekiej zapewne przyszłości stanie się koniecznością dla wielu moich rodaków, nawet obarczonych szlachectwem. Będę pracował.

— Na przykład w Anglii?

— Tak. W ojczyźnie nie splamię rodowego honoru. Ale i w żadnym innym kraju nie przyniosę ujmy nazwisku, bo nigdzie go nie nosiłem i nie będę nosił.

Niedawny dźwięk dzwonka sprawił, że w sąsiedniej komnacie zapłonęło światło. Pan markiz spojrział w stronę rozjaśnionych nagle otwartych drzwi swojej sypialni i przez moment nasłuchiwał oddalających się kroków lokaja.

— Widzę — powiedział wreszcie zwracając ku bratankowi twarz spokojną i uśmiechniętą chłodno — widzę, że Anglia ma dla ciebie neodparty urok, chociaż lichy ci się tam powiodło.

— Fakt, że lichy mi się tam powiodło, zawdzięczam w pewnym stopniu panu stryjowi. Była już o tym dziś mowa. Poza tym Anglia udzieliła mi przytułku.

— Właśnie! Zdaniem chełpliwych Anglików kraj ich udziela przytułku wielu różnym osobom. Weźmy na przykład pewnego naszego rodaka, lekarza... który schronił się tam równie>—. Znasz go zapewne?

— Tak.

— I jego córkę?

— Znam.

— Właśnie! — powtórzył pan markiz. — Widzę, żeś bardzo strudzony. Dobrej nocy.

W dwornym ukłonie pochylił głowę, lecz zagadkowy uśmiech na jego twarzy udzielił nawet błahym na pozór słowom tajemniczości, która żywo przemówiła do wzroku i słuchu Karola.

Jednocześnie podłużnie wykrojone oczy i wąskie, cienkie wargi, i zagłębienia nad nozdrzami nadały panu markizowi wyraz szatańsko ironiczny, godny zaiste urodziwego diabła.

— Właśnie — powtórzył jeszcze raz. — Tak, tak... Lekarz i jego córka. Oto podstawy twojej nowej filozofii... No, zmęczony jesteś. Dobrej nocy.

Jego nieruchoma twarz mówiła przy tym nie więcej niż którakolwiek z kamiennych masek zdobiących licznie mury zaniku. Bratanek spojrział stryjowi w oczy, ale zrozumiawszy rychło, że nadaremnie pyta wzrokiem, odwrócił się ku drzwiom.

— Dobrej nocy — rzekł gospodarz. — Z prawdziwą przyjemnością ujrzę cię znowu jutro z rana. Przyjemnych marzeń. Hej! Poświeć jaśnie panu w drodze do jego sypialni... A jeżeli ci to odpowiada, spal w jego łóżku jaśnie pana, mojego bratanka... — mruknął do siebie i dźwiękiem dzwonnka wezwał do swojej sypialni osobistego kamerdynera.

Służący zjawił się i odszedł, a jaśnie wielmożny pan jął spacerować tam i z powrotem, aby w tę upalną, bezwietrzną noc z wolna przysposobić się do spoczynku. Długi fałdzisty szlafrok szeleścił cicho, miękkie pantofle nie budziły echa na posadzce. W ruchach pana markiza było coś tygrysiego, jak gdyby czarnoksiężnik, co niekiedy przemienia się w tygrysa, zrzucił właśnie tę postać lub miał ją za chwilę oblec.

Wędrując z kąta w kąt eleganckiej sypialni pan markiz ponownie oglądał rozmaite obrazki z niedawnej podróży, które — choć nie proszone — jawiły się we wspomnieniach. Widział uciążliwą wieczorną jazdę pod górę, zachód słońca, szybki zjazd po stromym stoku, młyn, więzienie na wzgórzu, małą osadę w dole, chłopów koło fontanny i dróżnika, który szafirową czapką wskazuje łańcuchy pod kolasą. Wioskowa fontanna odświeżyła w pamięci inną — paryską — i kobiety pochylone nad leżącym na cembrowinie tobołkiem, i wysokiego mężczyznę, co wznosi ręce ku niebu i woła strasznym głosem: „Nie żyje! Nie żyje!”

— Ochłodłem — rzekł pan markiz po jakimś czasie. — Teraz mogę się wreszcie położyć. Zostawił tylko jedną lampkę na półce nad wielkim kominkiem i układając się do snu zakłócił ciszę nocną głębokim, długim westchnieniem.

Przez trzy parne godziny kamienne twarze zdobiące mury zamku patrzyły tępo w nieprzeniknione mroki. Przez trzy parne godziny konie chrzęściły łańcuchami u żłobów, psy ujadły, a sowa wydawała głos zgoła niepodobny do głosu przypisywanego na ogół sowom przez poetów. Nic w tym dziwnego, bo ptaki i zwierzęta są uparte i rzadko mówią to właśnie, co im z góry wyznaczono.

Przez trzy parne godziny kamienne twarze — lwie i ludzkie — patrzyły w noc niewidzącymi oczyma. Grobowa ciemność spowijała krajobraz i swoją ciszą potęgowała martwość osnuwającą zakurzone drogi. Na cmentarzu zniknęły w mroku poszczególne mogiłki zarosłe zielskiem, a figura Chrystusa mogłaby zstąpić z krzyża i nikt by tego nie dostrzegł. Płatnicy i poborcy rozmaitych danin spali w osadzie, a jej wychudła ludność była wolna i syta pośród marzeń o wystawnych bankietach (co często zdarza się głodomorom) lub w błogim nieróbstwie (co jest podobno obyczajem zaharowanych niewolników lub wołów w jarzmie).

Fontanny przy wioskowej drodze nie było widać ani słyszać, podobnie jak fontanny na zamkowym dziedzińcu lub minut, co przez trzy parne godziny spływały do studni czasu. Na koniec szare strumyki ciekące z jednej i drugiej fontanny załśniły upiornym światłem i otwarły się oczy upiornych kamiennych twarzy.

Było widniej i widniej, aż wreszcie promienie słońca musnęły nieruchome korony wysokich drzew i przyozdobiły aureolą szczyt wzgórza. W blaskach porannej zorzy woda w basenie zamkowej fontanny odmieniła się w krew, a kamienne twarze spurpurowiały. Głośno i przenikliwie rozbrzmiewał ptasi hejnał, a na poczeriałym od szarug gzymsie nad oknem sypialni pana zamku mały

ptaszek jął wywodzić słodkie pienia. Zdawać się mogło, że ptaszkowi przygląda się ciekawie umieszczona najbliżej kamienna twarz, której szeroko otwarte oczy i rozdziawione usta nadawały wyraz podziwu i grozy.

Kiedy słońce weszło na dobre, ruch zapanował w osadzie. Uchyłały się okienka, szczękały rygle u drzwi, a na drogę wychodzili drżący, zziębnięci ludzie, których rześkie powietrze młodego dnia przejmowało dreszczem. Wnet rozpoczął się trud codzienny i nieustający. Kobiety i mężczyźni spieszyli na pole lub do fontanny. Jedni brali się do motyki i szpadla, inni poili kościste bydło, aby następnie pogonić je na takie pastwiska, jakich mogły dostarczyć jałowe przydróżki. Opodal kościoła kilka klęczących postaci odmawiało spóźnione pacierze pod krzyżem, u stóp którego krowa prowadzona na postronku usiłowała znaleźć skąpe śniadanie.

Zamek budził się później ze względu na swoją odmienną sytuację, lecz budził się stopniowo i niezawodnie. Jak za pradawnych czasów myśliwskie oszczepy i kordelasy najprzód poczerwieniały, a następnie jasno błysnęły w promieniach słońca. Poczęto otwierać z łoskotem drzwi i okna rozmaitych zabudowań. Konie w stajniach odwracały głowy ku wierzejom i wyglądały w świeżą jasność poranka. Liście przy okiennych kratkach szemrały i połyskiwały kroplami rosy. Psy — pewne rychłej swobody — coraz gwałtowniej szarpały łańcuchy i stawały na tylne łapy.

Wszystko to było zwyczajne, należało do porządku dnia i powtarzało się każdego rana. Wszelako tego rana działały się również sprawy niecodzienne: rozbrzmiał donośnie wielki dzwon zamkowy, ludzie wbiegali i zbiegali po schodach, uwijali się po tarasie, w wielkim pośpiechu siodłali konie, aby natychmiast odjeżdżać, buty tupwały tutaj, tam i wszędzie...

Szpakowaty dróżnik rozpoczął już pracę na grzbiecie wzgórza dominującego nad osadą. Opodal, na przyzbie kamieni, leżało zawinięte w szmatę pożywienie na cały dzień, a było tego tak niewiele, że nawet wronie nie opłaciłoby się dziobnąć. Jaki wiatr przyniósł mu wiadomość o zamieszaniu, co powstało nagle w zamku? Może przelatujące ptaki rzuciły tajemnicze ziarna widząc pod sobą grunt podatny do zasiewu? Tak czy inaczej, dróżnik ruszył co tchu stokiem wzgórza i podnosząc na drodze tumany szarego pyłu przystanął dopiero koło fontanny.

Zgromadziła się tam cała ludność osady. Wieśniacy zbili się w wystraszoną gromadkę i szeptali cicho, lecz nie zdradzali żadnych innych uczuć oprócz ponurej ciekawości i zdziwienia. Ci i owi przywlekli na postronkach chude krowy, które chociaż nie przywiązane do niczego stały spokojnie zagapione lub leżąc przeżuwały nader skąpe śniadanie przerwane tak niespodzianie i bez sensu. Po drugiej stronie drogi stała inna gromadka: część służby zamkowej i obsługi zajazdu oraz zebrane w komplecie władze wymierzające i ściągające podatki. Ludzie ci, mniej lub więcej uzbrojeni, przestępowali niepewnie z nogi na nogę i nie mieli wyobrażenia, co właściwie przedsięwziąć należy. Dróżnik wcisnął się zaraz w sam środek gromadki złożonej z pięćdziesięciu swoich osobistych przyjaciół i z wrażenia uderzał się w piersi szafirową czapką.

Co było przyczyną całego tego poruszenia? Dlaczego Monsieur Gabelle wywindował się na konia i zajął miejsce za swoim służącym, a koń (choć podwójnie obciążony) ruszył z miejsca galopem, jak gdyby stanowił żywą ilustrację do starej niemieckiej ballady o Leonorze?

Przyczyna była prosta. Z rana znaleziono w zamku o jedną kamienną twarz więcej.

Gorgona raz jeszcze omiotła wzrokiem starą budowlę i powiększyła kolekcję o brakującą kamienną maskę, na którą czekała od dwóch wieków z górą.

Twarz spoczywała bez ruchu na poduszce pana markiza. Wyglądała niby subtelna maska zakrzepła w chwili nagle rozbudzonego gniewu. W sercu kamiennej postaci tkwił sztylet ze skrawkiem cienkiego papieru owiniętym dokoła rękojeści.

Na skrawku papieru nagryzmolił ktoś niewprawnie:

„Szczęśliwej podróży do grobu życzy JAKUB”.

ROZDZIAŁ X

DWIE OBIETNICE

Dwanaście kolejnych miesięcy rozpoczęło się i skończyło. Pan Karol Darnay na stałe osiadł w Anglii jako nauczyciel języka francuskiego posiadający wysokie kwalifikacje i dokładnie obznajmiony z literaturą swojej ojczyzny. W naszych czasach byłby niewątpliwie profesorem, w tamtych nazywano go tylko preceptorem. Udzielał lekcji młodym paniczkom, którzy mieli dosyć czasu na studiowanie języka rozpowszechnionego na całym świecie. Ponadto zaś pielęgnował zamiłowania do skarbów nauki i sztuki wyrażonych w tym języku. Potrafił także pisywać o tych skarbach w poprawnej angielszczyźnie i przekładać je z ręcznie na poprawną angielszczyznę. W Anglii niełatwo było wtedy o podobnych wykładowców. Byli książęta i przyszli królowie nie spadli jeszcze do poziomu belfrów, a zrujnowana szlachta nie zamykała jeszcze rachunków bieżących w Domu Bankowym Tellsonów i nie zarabiała na życie stolarką ani kucharowaniem.

Młody pan Darnay umiał nauczać w sposób przyjemny i szczególnie korzystny, a w tłumaczenia wkładał nieporównanie więcej niż zwykła wiedza słownikowa, nietrudno więc zyskał rozgłos i uznanie. Ponadto orientował się doskonale w sytuacji aktualnej swojego kraju, a takie wiadomości coraz bardziej i bardziej interesowały Anglików. A zatem dzięki niepospolitej pracowitości i wytrwaniu mógł żyć spokojnie i niemal dostatnio. Oczywiście nie spodziewał się nigdy, że w Londynie będzie stąpał po przetykanych złotem dywanach i sypiał na pościeli z róż. Gdyby pielęgnował tego rodzaju górne marzenia, nie mogłoby być mowy o dostatku. Ale pan Darnay spodziewał się pracy i zdobył pracę przynoszącą mu zadowolenie i korzyści, na tym więc polegało jego dostatnie życie.

Część czasu spędzał w Cambridge, gdzie wykładał studentom jako swego rodzaju legalny przemytnik, który handluje sprowadzanym pokątnie żywym językiem miast greki i łaciny dostarczanych bez pominięcia komory celnej. Przez pozostałe miesiące zamieszkiwał w Londynie.

Otóż od dni, kiedy w rajskim ogrójcu panowało wieczne lato, aż do naszej epoki, kiedy na średnich szerokościach geograficznych panuje prawie wieczna zima, mężczyzna kroczył zazwyczaj jedną drogą: drogą miłości do kobiety, drogą Karola Darnaya. Młody nauczyciel był zakochany. Od dnia swojego śmiertelnego niebezpieczeństwa kochał Lucie Manette. Nigdy nie słyszał dźwięków miłszych i bardziej czarownych niż dźwięk jej wezbranego współczuciem głosu. Nigdy nie widział twarzy tak delikatnej i pięknej jak jej twarz, na którą patrzył z krawędzi kopanego dla siebie grobu. Ale nie mówił o miłości i ani jednym słowem nie zdradzał uwielbianej stanu swoich uczuć. Czas płynął i zdążył już oddzielić całym rokiem morderstwo popełnione w zamku za rozfalowanym morzem i niezliczonymi milami pokrytych kurzem gościńców — w opuszczonym przez nowego dziedzica zamku, co chociaż wielki i kamienny wydawał się obecnie mglistym marzeniem sennym. Wszelako Karol Darnay milczał i dobrze wiedział, czemu milczy.

Pewnego razu wrócił z wykładów w Cambridge i tegoż dnia udał się do cichego zakątka w Soho, aby otworzyć serce wobec doktora Manette. Zbliżał się letni wieczór i młody człowiek nie miał wątpliwości, że Lucie wyszła na miasto z panną Pross.

Doktor przebywał w domu. Zajęty czytaniem siedział w fotelu pod oknem. Obecnie był to mężczyzna stanowczy, mocny, świadomy swoich celów. Z miesiąca na miesiąc odzyskiwał energię, co podtrzymywała go w okresie minionych cierpień, zarazem jednak cierpienia te zaostrzała. Niekiedy wprawdzie energia powracała w sposób kapryśny i gwałtowny, jak inne odzyskiwane stopniowo władze umysłu i ciała, ale wybuchy nigdy nie zdarzały się często, a z biegiem czasu były

coraz rzadsze. Pan Manette wiele studiował, sypiał bardzo mało, swobodnie wytrzymywał nawet znaczne trudy, usposobienie miał na ogół równe i pogodne.

Na widok młodego gościa lekarz odłożył książkę i przyjaźnie wyciągnął rękę.

— Karol Darnay! Miło mi pana widzieć. Od kilku dni oczekujemy pańskiego powrotu. Pan Stryver i Sydney Carton byli u nas wczoraj. Obydwaj powiadali, że coś się pan spóźnia.

— Bardzo im jestem wdzięczny za troskę o moje sprawy — w tonie Karola można było wyczuć chłód wobec prawników i wiele ciepła dla gospodarza domu. — Panna Manette...

— Czuje się zupełnie dobrze — dokończył lekarz — i podobnie jak jej ojciec ucieszy się z pańskiego przyjazdu. Wyszła na miasto w jakichś sprawach gospodarskich, ale powinna rychło wrócić.

— Panie doktorze, wiedziałem, że nie zastanę jej w domu. Zamierzałem skorzystać z tej sposobności i poprosić pana o rozmowę.

Na moment zapadła głucha cisza.

— Aha — powiedział wreszcie doktor z widocznym przymusem. — Proszę, niech pan przysunie krzesło i... i mówi.

Młody człowiek szybko spełnił polecenie dotyczące krzesła, odczuł jednak, że z mówieniem pójdzie mu znacznie trudniej.

— Od przeszło roku, panie doktorze — rozpoczął wreszcie Karol Darnay — mam ten zaszczyt i szczęście, że w domu pańskim jestem uważany za osobę bliską. Spodziewam się zatem, że temat, jaki pragnę poruszyć, nie powinien... — urwał, gdyż gospodarz podniósł dłoń gestem nakazującym milczenie.

— Czy tematem ma być Lucie? — zapytał pan Manette opuszczając rękę.

— Nie inaczej.

— Trudno mi, panie Darnay, mówić o córce: zawsze i z każdym. Ale jeszcze mi trudniej słuchać, kiedy ktoś mówi o niej takim tonem, jak pan w tej chwili.

— Panie doktorze! To ton szczerego podziwu, uwielbienia i głębokiej miłości! — obruszył się młody człowiek.

Ponownie zapadło milczenie.

— Wierzę w to — podjął wreszcie ojciec Lucie. — Muszę oddać panu sprawiedliwość. Wierzę w to bez zastrzeżeń — jego przymus był widoczny i tak niewątpliwie płynął z niechęci do rozmowy na poruszony temat, że Karol uważał za stosowne rzucić pytanie:

— Czy mam mówić dalej?

— Tak, proszę — padła odpowiedź po jeszcze jednej kłopotliwej pauzie.

— Przewiduje pan naturalnie, co niebawem powiem, wszelako nie znając tajników mojego serca i trosk albo nadziei, które na przemian targają nim od dawna, nie może pan wiedzieć, jak szczerze to powiem ani jak głęboko to czuję. Drogi doktorze Ma—nette! Córkę pańską kocham płomiennie, tkliwie, wiernie i bezinteresownie. Jeżeli na naszej ziemi istnieje uczucie zwane miłością, to uczucie owo mnie przypadło w udziale. Sam pan, doktorze Ma—nette, kochał niegdyś gorąco. Niechaj ta dawna miłość przemówi za mną!

Gospodarz słuchał z odwróconą twarzą i wzrokiem utkwionym w podłódze. Po ostatnim zdaniu podniósł znów dłoń i zawołał:

— Wypraszam sobie, panie Darnay! Nie mówmy o tym! Nie mówmy! Niech pan nie przypomina starych dziejów.

Głos lekarza brzmiał nutą tak piekającej męki, że Karol słyszał go długo potem, kiedy zamilkł. Wzniesiona drżąca dłoń zdawała się prosić o ciszę. Miody człowiek zrozumiał to, przestał więc

mówić i czekał.

— Bardzo przepraszam — odezwał się doktor po jakimś czasie tonem zdławionym i jak gdyby pokornym. — Nie wątpię w pańską miłość do Lucie.. Co do tego może pan być spokojny.

Odwrócił się z krzesłem w stronę gościa, lecz nie spojrzął na niego ani nie podniósł wzroku. Podparł brodę na dłoni. Śnieżnobiałe włosy przesłoniły mu czoło.

— Czy... czy rozmawiał pan z Lucie?

— Nie.

— Ani nie pisał pan do niej?

— Nigdy.

— Niegodziwym byłoby udawanie, że nie zdaję sobie sprawy, że takie stanowisko należy przypisać względom, jakie pan żywi dla ojca Lucie. Jej ojciec dziękuje panu z serca.

Podał rękę gościowi, lecz jego spojrzenie nie podążyło śladem ręki.

— Drogi doktorze Manette — podjął Darnay z głębokim szacunkiem. — Często państwa widuję, muszę więc widzieć, że między panem i panną Lucie istnieją więzy tkliwe i wzruszające, całkowicie zależne od niezwykłych okoliczności, w jakich powstawały, a zarazem tak silne, że niepodobna porównać ich z czymkolwiek w dziedzinie uczuć łączących rodziców i dzieci. Wiem i muszę wiedzieć, że panna Manette darzy pana pełnią miłości córki, która wyrosła na kobietę, zarazem jednak zachowała dla pana całe uwielbienie, wiarę i oddanie właściwe małemu dziecku. Wiem, że we wczesnych latach nie miała rodziców, a więc obecnie łączy w swoim sercu poważną, stałą miłość godną jej charakteru i wieku z bezgranicznym zaufaniem i przywiązaniem dzieciństwa, które przeżyła bez pana. Rozumiem, że osoba ojca nie mogłaby być dla niej bardziej święta, gdyby nawet wrócił pan do niej naprawdę z tamtego świata. Rozumiem, że kiedy córka tuli się do pana, zarzuca na szyję ojca ręce jednocześnie dziecka, podlotka i kobiety. Rozumiem, że panna Manette kochając pana widzi i kocha matkę w swoim wieku, widzi i kocha ojca w swoim wieku, kocha matkę pogrążoną w bezdennej rozpacz, kocha ojca w okresie jego minionych tortur i później, gdy szczęśliwie przywrócony został światu. Wiem i rozumiem to wszystko od dnia, gdy po raz pierwszy ujrzałem państwa w ich szczęśliwym domu.

Doktor siedział bez słowa z pochyloną głową. Oddech miał nieco przyspieszony, lecz w żaden inny sposób nie zdradzał wzruszenia.

— Drogi, kochany panie! — ciągnął Karol Darnay. — Od dawna zdawałem sobie sprawę z tego wszystkiego. Od dawna nad panem i panną Manette widywałem co dnia blask uświęconej aureoli. Walczyłem z sobą. Walczyłem tak długo, jak pozwalały ludzkie siły. Rozumiałem, ba! i dziś rozumiem, że wprowadzanie między pana a córkę cudzej miłości... nawet takiej jak moja... będzie wtargnięciem we wzruszającą historię państwa z czymś nieporównanie mniej doskonałym niż ta historia, Ale kocham ją, doktorze Manette! Bóg mi świadkiem, że ją kocham..

— Wierzę panu, bo nie od dziś to podgrzewam. Wierzę panu — odparł posępnie ojciec Lucie, a tragiczny ton jego głosu zadźwięczał w uszach Karola niby wymówka,

— Niech pan jednak nie wierzy, drogi, kochany doktorze, że chciałbym albo mógł wyrzec dziś bodaj słowo, gdybym kiedykolwiek, chociażby w odległej przyszłości zamierzał rozłączyć pana z córką, jeżeli los uśmiechnie się do mnie i pozwoli uczynić z niej żonę. Muszę przecież rozumieć, że to sprawa bez widoków powodzenia. Muszę rozumieć, że byłoby to ostatnim łotrostwem. Nie odważyłbym się dotknąć tej czcigodnej ręki, gdyby podobne myśli drzemały utajone w moim mózgu i sercu — delikatnie dotknął dłoni gospodarza. — Nie, kochany doktorze! Podobnie jak pan jestem dobrowolnym wygnańcem z Francji, którą podobnie jak pan opuściłem na skutek szalejących tam klęsk: ucisku, wyzysku i nędzy. Podobnie jak pan żyję na obczyźnie z własnej pracy i trudu i staram

się wierzyć w pomyślniejszą przyszłość. Pragnę jedynie dzielić z panem losy i dzielić z panem dom i życie. Pragnę jedynie być panu wiernym aż do śmierci. Nie chcę naturalnie odbierać Lucie części zaszczytu, jaki daje jej to, że jest pańskim dzieckiem, towarzyszką życia, przyjacielem. Chcę jej pomagać, chcę związać ją z panem jeszcze serdeczniej i bliżej, jeżeli to w ogóle możliwe.

Na delikatne dotknięcie palców Karola lekarz odpowiedział krótkim, lecz ciepłym uściskiem. Następnie położył dłonie na poręczach fotela i uniósł wzrok po raz pierwszy od początku rozmowy. Wyraz jego twarzy — chwilami pełen grozy i chmurnych podejrzeń — świadczył o zacieklej wewnętrznej walce.

— Karolu Darnay! Mówi pan uczciwie i po męsku. Dziękuję z całego serca i postaram się otworzyć wobec pana całe... prawie całe serce. Czy ma pan powody mniemać, że kocha pan Lucie z wzajemnością?

— Jak dotąd nie mam.

— Czy bezpośrednim celem dzisiejszej rozmowy jest pański zamiar przekonania się o tym rychło i za moją wiedzą?

— Niezupełnie, panie doktorze. Nadzieja może nie spłynąć na mnie jeszcze przez długie tygodnie albo też (słusznie czy niesłusznie) jutro mnie natchnie odwagą.

— Czy u mnie szuka pan pomocy?

— Nie śmiałybym o nią prosić, jestem jednak przekonany, że mógłby mi jej pan udzielić, gdyby to uznał za słuszne i wskazane.

— Czy chce pan, abym mu coś obiecał?

— Proszę, panie doktorze. — A mianowicie?

— Nie wątpię, że wbrew panu na nic nie mogę liczyć. Nie wątpię, że gdybym nawet zajmował poczesne miejsce w sercu panny Manette... Proszę tylko nie sądzić, że jestem aż tak pewny siebie... Nie ostałbym się tam ani przez chwilę w razie kolizji z miłością córki do pana, drogi panie doktorze...

— Tak... Nie wykluczone... A jak, pańskim zdaniem, przedstawia się odwrotna strona sprawy?

— Nie wątpię również, że jedno słowo ojca na korzyść tego lub owego konkurenta przeważy opinię samej panny Manette i reszty świata. Z tej właśnie racji — ciągnął Karol skromnie, lecz stanowczo — nie prosiłbym pana o takie słowo nawet, gdyby mi mogło uratować życie.

— Wierzę panu. Tajemnice obserwowanej z bliska miłości Karola Darnaya są równie mgliste, jak jego sprawy odległe i nieznanne, a może nawet trudniejsze do rozwikłania, bo bardziej nieuchwytnie i subtelniejsze. Pod tym jedynym względem i córka stanowi dla mnie nieprzeniknioną zagadkę. Nie wiem nic o stanie jej serca i niczego odgadnąć nie potrafię.

— Wolno zapytać, czy ma ona... — Karol zająknął się, lecz doktor dokończył zdania:

— Czy ma innego wielbiciela?

— To właśnie próbowałem powiedzieć.

Pan Manette zamyślił się na moment.

— Spotykał pan u nas Sydneya Carton. Pan Stryver także niekiedy nas odwiedza... Gdyby Lucie miała wielbiciela, mógłby nim być tylko jeden z tej pary.

— Albo obydwaj — dodał młody człowiek.

— Nie myślałem o obydwóch — rzekł doktor Manette. — Nie sądzę zresztą, by któryś z nich mógł liczyć się poważnie. Ale zamierzał mnie pan prosić, abym mu coś obiecał. Co mianowicie?

— Jeżeli córka zdobędzie się kiedyś z własnej woli na wyznania podobne do tych, które dzisiaj usłyszał pan ode mnie, proszę powtórzyć jej, co mówiłem, i oznajmić, że pan mi wierzy. Mam nadzieję, że ceniłbym pan dostatecznie, by swoich wpływów nie używać na moją niekorzyść. Więcej

nie mam nic do powiedzenia, lecz o to proszę, drogi panie doktorze, i oczywiście przyjmuję z góry i bez zastrzeżeń każdy warunek, pod którym udzieli pan obietnicy.

— Obietnicy udzielam bez żadnych warunków. Wierzę, iż zgodnie z prawdą i prosto z serca wyłuszczył pan swoje plany. Wierzę, iż pragnie pan utrwalić i umocnić, a nie rozluźnić więzy łączące mnie z drogą, nieporównanie droższą mi od samego siebie połową mojego życia. Jeżeli Lucie powie mi kiedykolwiek, że do pełnego szczęścia brak jej pana, oddam ci ją, Karolu. Gdyby nawet jakieś... jakieś... — zająknął się, a gdy młody człowiek wyciągnął do niego rękę, uściskał ją mocno i serdecznie.— Gdyby nawet jakieś... jakieś urojone lub rzeczywiste podejrzenia czy obawy mówiły przeciwko człowiekowi, którego ona naprawdę kocha; gdyby wina nie obciążała bezpośrednio sumienia tego człowieka... wówczas... wówczas gotów byłbym puścić w niepamięć... wszystko nowe lub dawne. Ona znaczy dla mnie więcej niż cierpienia, więcej niż krzywdy, więcej niż... Wystarczy! Dajmy pokój próżnej gadaninie.

Było coś niepokojącego w ciszy, jaka zapadła, i w wyrazie znieruchomiałej nagle twarzy. Karol odczuwał niemile chłód własnej dłoni, gdy lekarz z Beauvais rozluźnił na niej uścisk swoich palców i wreszcie pozwolił jej opaść.

— Coś pan do mnie mówił? — odezwał się z uśmiechem doktor Manette równie nieoczekiwanie, jak umilkł.

— Nie... nie pamiętam dokładnie?

Karol stropił się zrazu, ale przypomniał sobie, że mówił o warunkach, na jakich gotów jest przyjąć obietnicę.

— Pańskie zaufanie do mnie — podjął ze znaczną ulgą — winno być odpłacone wzajemnym i całkowitym zaufaniem. Pamięta pan niewątpliwie, że występuję tutaj pod przybranym nazwiskiem, które jest trochę zmienionym pańskim nazwiskiem mojej matki. Obecnie pragnę wyznać panu, jak nazywam się naprawdę i dla jakich powodów przebywam w Anglii.

— Nie chcę!

— Zależy mi na tym, aby bez zastrzeżeń zasłużyć na pańskie zaufanie i aby nie mieć przed panem sekretów.

— Nie chcę! — powtórzył lekarz z Beauvais i obydwoma dłońmi zasłonił sobie uszy, aby po chwili oderwać je i położyć na ustach Darnaya.

— Wyzna mi pan wszystko — podjął — kiedy tego zażądam... Nie teraz... nie dzisiaj! Jeżeli powodzenie uwieńczy pańskie starania, jeżeli Lucie pokocha pana, powie mi pan to w dzień waszego ślubu. Obiecuje pan?

— Bardzo chętnie.

— Proszę mi podać rękę. Lucie niebawem wróci. Lepiej, żeby nas dzisiaj nie zastała razem. Idź już, idź! I niech Bóg cię błogosławi.

Był zmierzch, gdy Karol Darnay pożegnał doktora, a w godzinę później, kiedy wróciła Lucie, zalegały już mroki nocy. Panna Pross poszła prosto do swojego pokoju na piętrze, więc dziewczyna sama wbiegła do bawialni i zdziwiła się bardzo, że fotel pod oknem jest pusty.

— Ojczy! — zawołała. — Mój drogi ojczy!

Nie było odpowiedzi. Tylko z sypialni doktora dochodziło głucho, miarowe stukanie. Lucie przemknęła szybko przez jadalnię i zatrzymała się w otwartych drzwiach, aby zawrócić i cofając się powtarzać z tłumionym szlochaniem:

— I co ja teraz pocznę? Co teraz pocznę?

Ale przestrach jej trwał krótko. Dziewczyna zastukała do drzwi i zawołała ojca. Stukanie umilkło na dźwięk jej głosu. Doktor dźwignął się ciężko i zbliżył do córki, u której boku spacerował potem

długo po sypialni — tam i z powrotem, tam i z powrotem.

W nocy Lucie wstała z łóżka chcąc przypatrzeć się ojcu we śnie. Spał mocno, a skrzynka z szewskimi narzędziami i nie dokończony trzewik wróciły na zwyczajne miejsce.

ROZDZIAŁ XI

WIZERUNEK PRZYJACIELA

— Sydney! — rzekł pan Stryver nad ranem tej samej nocy. — Przyrządź jeszcze jedną wazę ponczu. Mam ci coś do powiedzenia.

Sydney pracował na dwie zmiany w ciągu wielu minionych nocy, gdyż przed długimi feriami sądowymi robił generalne porządki w papierach przyjaciela. Nareszcie robota była zakończona, akta spraw jako tako uładzone i wszystko spokojnie mogło czekać listopada, kiedy w oparach mgieł atmosferycznych i prawnych znów zaczną płynąć ziarno do adwokackiego młyna.

W wyniku ciężkich trudów pan Carton nie był weselszy ani trzeźwiejszy niż normalnie. Musiał wysuszyć niemało zwilżonych ręczników, aby przetrzymać jakoś ostatni wysiłek, że zaś oprócz ręczników wysuszył więcej niż zwykle butelek wina, znajdował się w opłakanym stanie. Ściągnął z głowy swój turban i rzucił do miednicy, w której od sześciu godzin zanurzał go raz po raz.

— No i co? Zrobisz ten poncz? — zapytał korpulentny Stryver rozglądając się po pokoju z sofy, gdzie leżał na wznak z rękami w kieszeniach kamizelki.

— Aha.

— Posłuchaj teraz. Zamierzam powiedzieć ci coś, co cię na pewno zdziwi, a być może sprawi, że zaczniesz uważać mnie za człowieka mniej chytrego, niż uważasz. Chcę się ożenić.

— Naprawdę?

— Tak. I nie dla pieniędzy. Co ty na to?

— Mój nastrój nie sprzyja obszernym wypowiedziom. Kto ona?

— Zgadnij.

— Znam ją?

— Zgadnij.

— Nie będę niczego zgadywał o piątej rano, kiedy mózg smaży mi się we łbie i skwierczy. Jeżeli muszę zgadywać, zaproś mnie jutro na obiad.

— W takim razie powiem ci sam — odparł Stryver siadając leniwie na sofie. — Obawiam się jednak, Sydney, że nie potrafiś mnie zrozumieć, boś nieczuły niczym kawał drewna.

— A z ciebie — rzucił przez ramię zajęty mieszaniem ponczu Carton — duch istic poetyczny i wzniosły!

Stryver roześmiał się i odrzekł pyszałkowatym tonem:

— No, no, mój stary! Nie myślę podawać się za romantyka. Za mądrym na to! Ale na pewno jestem wrażliwszy i subtelniejszy od ciebie.

— Chciałeś pewno powiedzieć: sprytniejszy i mniej pechowy.

— Nie. Nie to chciałem powiedzieć. Myślę, że jest we mnie więcej... ee... jak by tu?...

— Galanterii — odpowiedział Carton.

— Słusznie! Galanterii. Chciałem powiedzieć —• ciągnął Stryver spoglądając wyniośle na przyjaciela zajętego przyprawianiem ponczu — że ja bardziej niż ty dbam, aby być przyjemnym. Zadaję sobie więcej trudu, aby być przyjemnym, i dlatego właśnie potrafię być w towarzystwie niewieścim przyjemniejszy od ciebie.

— Gadaj dalej — burknął Sydney Carton.

— Dobrze! Ale nim zacznę gadać, muszę rozprawić się z tobą — podjął Stryver protekcyjnym i władczym tonem. — W domu doktora Manette bywasz równie często jak ja lub nawet częściej. Słowo daję! Za każdym razem wstyd mi twojej posępnej miny. Taki zawsze jesteś mrukowaty i

zasepiony, tak zachowaniem przypominasz zbitego psa, że, jak Boga wszechmogącego kocham! wstydzę się ciebie, Sydneyu!

— Coś, czego się można wstydzić, to dar bezcenny dla adwokata o ustalonej reputacji i rozległej praktyce — odparł Carton. — Winienesz mi nie lada wdzięczność!

— Nie, Sydneyu! Tą metodą się nie wykpisz — zawołał Stryver kierując ostrze złości przeciwko jej autorowi. — Uważam za swój święty obowiązek powiedzieć ci i mówię w oczy dla twojego dobra, że w damskim towarzystwie jesteś facetem zupełnie nie na miejscu i facetem nieprzyjemnym.

Carton roześmiał się i duszkiem wypił szklanekę przygotowanego wreszcie ponczu.

— Spójrz na mnie — nadał się Stryver. — Mam mniej niż ty powodów do zabiegania o to, by być przyjemnym, bo jestem bardziej niezależny majątkowo. A dlaczego to robię?

— Jakoś nie zauważyłem, że to robisz — mruknął Sydney.

— Robię to przez politykę. Robię to dla zasady. I spójrz tylko na mnie! Posuwam się naprzód.

— Za to wcale nie posuwasz się naprzód w relacji o swoich planach matrymonialnych. Trzymaj się lepiej jednego tematu. A ja... Czy nigdy nie zrozumiesz, że jestem niepoprawny?

Ostatnie pytanie Carton rzucił lekceważąco i z niechęcią, wobec czego jego przyjaciel zmienił ton na bardziej układny.

— Co ci to daje, że jesteś niepoprawny?

— Co mi to daje, że w ogóle jestem? No, strzelaj! Nazwisko damy twojego serca?

— Mam nadzieję, że wyjawienie tego nazwiska nie sprawi ci przykrości — podjął Stryver, jak gdyby z ostentacyjną serdecznością przygotowywał kolegę na niemiłą wiadomość — ponieważ wiem, że nie myślisz połowy tego, co mówisz, a gdybyś nawet myślał, i tak nie miałyby to znaczenia. Zrobiłem krótki wstęp, ponieważ raz wyraziłeś się o tej młodej damie w sposób dowodzący braku szacunku.

— Ja?

— Ty, i to w tym pokoju.

Carton spojrzał na szklanekę ponczu i na dobrotliwego przyjaciela. Potem wypił szklanekę ponczu i ponownie spojrzał na dobrotliwego przyjaciela.

— Nazwałeś tę młodą damę złotowłosą lalką. Pamiętasz? Ta młoda dama to panna Manette. Mógłbym czuć się dotknięty takim określeniem, gdyby użył go człowiek znający się na delikatności uczuć i dobrych manierach. Ale ty zupełnie nie znasz się na takich sprawach, nie jestem więc urażony tak samo, jak gdyby człowiek bez artystycznego oka źle się wyraził o malowanym przeze mnie obrazie albo pozbawiony słuchu muzycznego o skomponowanej przeze mnie melodii.

Sydney Carton pil poncz szklanka po szklance i uważnie przyglądał się koledze.

— Teraz, Syd, wiesz już wszystko — rozprawiał dalej Stry—ver. — Nie dbam o posag! To uroczą dziewczyna, postanowiłem więc zrobić sobie przyjemność, bo stać mnie przecież na robienie sobie przyjemności. Ona dostanie męża, który już coś niecoś znaczy i szybko idzie w górę. To dla niej uśmiech losu, ale ona zasługuje na uśmiech losu. Dziwisz się, co?

— Czemu miałbym się dziwić — mruknął Carton nie przerywając picia ponczu.

— Pochwalasz mój wybór?

— Czemu nie miałbym pochwalać? — mruknął znów Carton nie przerywając picia ponczu.

— W porządku — ucieszył się życzliwy przyjaciel. — Zniosłeś to znacznie spokojniej, niż przewidywałem, i nie protestujesz w mojej obronie tak, — jak wyobrażałem sobie, że będziesz protestował. Chociaż, z drugiej strony, wiesz już na pewno, że twój stary kamrat to jegomość o wystarczająco silnej woli. Dosyć mam tego trybu życia: ciągle to samo, bez żadnej odmiany.

Pomyślałem, że miło musi być mężczyźnie mieć dom, do którego może wrócić, jeżeli oczywiście ma ochotę, bo jak nie ma ochoty, zawsze wolno mu nie wracać. Pomyślałem, że panna Manette będzie na miejscu, nawet gdybym miał zajechać najwyżej, i w każdej sytuacji przyniesie mi zaszczyt. No i zdecydowałem się z miejsca. A teraz, kochany stary, chciałbym pogadać trochę o twoich widokach na przyszłość. Jesteś na złej drodze i dobrze zdajesz sobie z tego sprawę. Naprawdę jesteś na złej drodze, Syd! Nie znasz wartości pieniądza; prowadzisz rozwiązłe życie. Załamiesz się pewnego pięknego dnia. Będziesz chory i ubogi. Słowo daję! Musisz poszukać pielęgniarki.

Łaskawie protekcyjny ton tej reprimendy czynił Stryvera dwa razy okazalszym, niż był w istocie, i czterokrotnie bardziej obrzydliwym.

— Tak! Musisz spojrzeć życiu prosto w oczy. Gorąco ci to zalecam — ciągnął dobrotliwy przyjaciel. — Ja zrobiłem to na swój sposób, ty powinieneś zrobić na swój odmienny sposób. Ożeń się. Znajdź osobę, która się tobą zajmie. Nic nie szkodzi, że nie znajdujesz przyjemności w damskim towarzystwie, że nie rozumiesz kobiet ani nie masz wobec nich taktu. Poszukaj żony. Znajdź przyzwoitą kobiecinę, nie bez grosza, oberżystkę albo właścicielkę domu wynajmującą pokoje. Znajdź, zamknij oczy i żeń się, stary, bez namysłu. To coś dla ciebie. Pomyśl o tym poważnie.

— Dobrze — powiedział Carton. — Pomyślę o tym poważnie.

ROZDZIAŁ XII

CZŁOWIEK DELIKATNY

Pan Stryver zdecydował wspaniałomyślnie, że los ma się uśmiechnąć do córki lekarza z Beauvais, postanowił więc oznajmić jej o rychłym szczęściu jeszcze przed wyjazdem na długie ferie sądowe. Po krótkim wahaniu orzekł, iż najlepiej pozostawić za sobą wstępne kroki, po czym można będzie ustalić, czy panna Manette otrzyma jego rękę pod koniec długich ferii (przed rozpoczęciem sesji jesiennej), czy też w okresie świąt Bożego Narodzenia (na kilka dni przed sesją zimową).

Pan Stryver nie wątpił ani przez chwilę, że podjął się sprawy szczególnie mocnej, i jasno widział drogę do wyroku. Sprawa ta rozpatrywana pod kątem materialnym i światowym (jedynym, jaki zasługuje na poważne traktowanie) nie posiadała słabych punktów. Pan Stryver sam wystąpi w imieniu powoda i nikt nie ośmielił się zakwestionować jego tezy. Rzecznik pozwanego zrezygnuje z głosu, a przysięgli nie odwrócą się nawet dla namysłu. Tak! Był głęboko przekonany, że trudno wyobrazić sobie prostszą sprawę.

Przed wyjazdem na długie ferie Stryver formalnie zaproponował pannie Manette, że zabierze ją do parku Vauxhall, a gdy spotkał się z odmową, wysunął projekt wspólnej wycieczki do Ranelagh. Po drugiej niezrozumiałej odmowie postanowił, iż osobiście uda się do Soho i tam wyjawi, jak szlachetne żywi zamiary. Wobec tego utorował sobie łokciami drogę z terenów Temple Bar spowitych już zaraniem długich ferii i ruszył w stronę Soho. Kiedy mijając kościół Świętego Dunstana roztrzącał słabszych przechodniów niby taran, każdy, kto spojrzał, mógł łatwo zrozumieć, że ma przed sobą osobistość ważną i zadufaną w sobie.

Droga do Soho wiodła koło Domu Bankowego Tellsonów. Stry—ver był klientem banku, a zarazem wiedział, że pan Lorry jest bliskim przyjacielem Manette'ów, przyszło mu więc do głowy, aby tam wstąpić i olśnić starszego pana szczęściem, które ma spłynąć na cichy dom doktora. A zatem pchnął zachrypnięte drzwi, spadł z dwóch zdradliwych schodków, minął dwóch sędziwych kasjerów i wtłoczył się do zatęchłej bokówki, gdzie przebywał pan Lorry. Stary bankowiec miał przed sobą wielką księgę rachunkową, a żelazne pręty w oknie, pod którym siedział, sprawiały wrażenie linii w takiej właśnie księdze, jak gdyby wszystko pod słońcem można było wyrazić cyframi.

— Dzień dobry — odezwał się gość. — Jak tam zdrowie? Mam nadzieję, że dopisuje?

Stryver miał tę osobliwą cechę, że w każdym miejscu wydawał się za gruby i za duży. Rozmiary jego były także za wielkie dla Domu Bankowego Tellsonów i dwaj sędziwi kasjerzy spojrzeli nań z wyrzutem, jak gdyby przycisnął ich do ściany. Nawet sam SZEF widoczny w odległej perspektywie opuścił czytana gazetę i zrobił niezadowoloną minę, jak gdyby głowa intruza ugodziła go w dostojną kamizelkę.

— Witam pana. Dzień dobry — odpowiedział pan Lorry tonem, który zaleciłby każdemu w podobnych okolicznościach, i podał rękę panu Stryverowi.

Jego uścisk dłoni miał specyficzny charakter występujący zawsze, gdy pracownik Domu Bankowego Tellsonów wita klienta pod okiem szefa. Był to uścisk dłoni nieosobisty, udzielany jak gdyby w imieniu firmy.

— Czym możemy panu służyć? — zapytał urzędowo pan Lorry.

— Niczym. Dziękuję bardzo. Przyszedłem do pana z prywatną wizytą i na prywatną rozmowę.

— Aaa... — zdziwił się pan Lorry i przez ramię zerknął dyskretnie w kierunku szefa.

Stryver oparł dłonie o blat biurka, które chociaż szerokie i długie wydawało się dla niego dwa razy za małe.

— Widzi pan, panie Lorry, mam zamiar oświadczyć się pańskiej uroczej znajomej, panie Manette.

— Nie może być!

— Nie może być? — powtórzył adwokat. — Dlaczego nie może być? Go to znaczy?

— Właściwie... nic nie znaczy — odrzekł człowiek interesu. — Pański zamiar oceniam życzliwie i przyjaźnie. Uważam, naturalnie, że przynosi panu zaszczyt. Mój pogląd na tę sprawę jest taki... dokładnie taki, jak pan mógłby sobie życzyć. Ale z drugiej strony... doprawdy, panie Stryver... — urwał i zagadkowo pokiwał głową, jak gdyby wbrew własnej woli musiał dodać w duchu: "... jest pana o tyle, o tyle za dużo!..."

— Słowo daję! — adwokat uderzył pięścią w blat biurka, wytrzeszczył oczy i odetchnął głęboko. — Niech mnie powiesz, panie Lorry, jeżeli rozumiem chociaż słowo. Do diabła! Czy nie jestem doskonałą partią? — zapytał spoglądając zaczepnie na starego bankowca, który nieporadnie wciągał perukę na uszy i obracał w ustach koniec gęsiego pióra.

— Oczywiście! Naturalnie! Jeżeli chodzi o partię, pan jest doskonałą partią. Doskonałą!

— Może nie jestem zamożny?

— Oczywiście! Naturalnie! Jeżeli mowa o sprawach... hm... majątkowych, jest pan zamożny.

— Czy nie robię kariery?

— Oczywiście! Naturalnie! — powtórzył pan Lorry zadowolony, że po raz trzeci może przyznać gościowi rację. — Wszystkim wiadomo, że robi pan karierę.

— A więc o co, u licha, może panu chodzić? — zawołał Stryver, widocznie zbity z tropu.

— Hm... Właściwie... Zaraz się pan tam wybiera?

— Zaraz! — pan Stryver grzmotnął znów w blat pulchną pięścią.

— Hm... Sądzę, że nie poszedłbym raczej, będąc na pańskim miejscu.

— Dlaczego? Już ja pana przygwożdżę! — adwokat wymownie pogroził palcem. — Jest pan człowiekiem interesu. Musi pan mieć swoje racje. Proszę mi je wyłuszczyć. Dlaczego pan by nie poszedł?

— Ponieważ nie rozpoczynałbym takiej sprawy nie mając jakich takich widoków powodzenia.

— Do stu diabłów! — wybuchnął Stryver. — To już przechodzi wszystko!

Pan Lorry zerknął najprzód na szefa, potem na rozindyczonego adwokata.

— Człowiek interesu — ciągnął ten ostatni — człowiek leciwy, z dużym doświadczeniem i pracujący w banku dodaje trzy zasadnicze racje powodzenia i w sumie otrzymuje brak widoków powodzenia. I opowiada takie rzeczy mając głowę na karku! — zdumiał się na zakończenie, jak gdyby „opowiadanie takich rzeczy” bez głowy na karku było nieporównanie mniej osobliwe.

— Mówiąc w danym przypadku o powodzeniu czy widokach lub racjach powodzenia, miałem na myśli widoki lub racje powodzenia, które potrafią przemówić do młodej damy — pan Lorry delikatnie poklepał adwokata po ramieniu i powtórzył. — Do młodej damy! Rozumie pan, panie Stryver? Panna Manette będzie miała głos decydujący. Decydujący, panie Stryver.

— Czyli, innymi słowy, panie Lorry, wyraża pan opinią, że pannę Manette ma pan za skończoną idiotką.

— Niezupełnie, panie Stryver — stary bankowiec zarumienił się lekko. — Pragną przy tym nadmienić, że z niczyich ust nie zamierzam słuchać obraźliwych słów pod adresem owej damy. Gdybym zetknął się... hm... lecz mam nadzieją, że tego unikną... Gdybym zetknął się z człowiekiem gruboskórnym i na tyle krewkim, by przy tym biurku nie mógł powstrzymać się od mówienia bez szacunku o panie Manette, nawet Tellsonowie nie przeszkadziliby mi powiedzieć temu człowiekowi, co o nim myśla.

Przed chwilą konieczność irytowania się po cichu poważnie zagroziła arteriom pana Stryvera. Obecnie system krwionośny pana Lorry (działający na ogół sprawnie i metodycznie) znalazł się z tych samych przyczyn w niebezpieczeństwie.

— Tyle chciałem powiedzieć szanownemu panu — podjął stary bankowiec — gdyż bardzo mi zależy, by uniknąć wszelkich nieporozumień.

Stryver stał bez słowa, oparty rękami o blat biurka. Najprzód żuł przez chwilę koniec linii, potem zaczął nią stukać o przednie zęby tak głośno, że musiało to chyba być bolesne.

— Coś niesłychanego, panie Lorry — przemówił wreszcie. — Poważnie pan radzi, abym nie szedł do Soho i nie oświadczał się panie Manette? Ja? Stryver? Adwokat przy sądzie King's Bench!?

— Czy prosi pan o radę, panie Stryver? — Proszę.

— Chętnie więc jej udzielę i dodam, że moje myśli sformułował pan trafnie.

— A ja dodam tylko tyle, że... Cha, cha, cha!... — adwokat roześmiał się z widoczną urazą, op ... że pańska rada przechodzi wszystko, co było, jest lub będzie!

— Proszę zrozumieć mnie właściwie — podjął pan Lorry. — Jako człowiek interesu nie mam w tej materii nic do powiedzenia, bo człowiekowi interesu takie sprawy są i powinny być obce. Ale jako starszy jegomość, który niegdyś nosił na rękach pannę Manette, obecnie zaś jest zaufanym przyjacielem zarówno jej jak i jej ojca i obydwójce bardzo kocha, mam coś do powiedzenia i powiedziałem swoje. Niech pan łaskawie pamięta, że nie ja zainicjowałem naszą poufną rozmowę. Otóż... hm... Czy jest pan zdania, że nie mam słuszności?

— Bynajmniej! — syknął przez zęby Stryver. — Nie mogę przecież odpowiadać za zdrowy rozsądek osób trzecich. Odpowiadam jedynie za własny! Ją spodziewałem się u pewnych osób trzecich zdrowego rozsądku. Pan spodziewa się raczej niedorzecznych faramuszek. To dla mnie niespodzianka, ale zapewne pan ma słuszność.

Pan Lorry zaczerwienił się znowu.

— To, czego się spodziewam u pewnych osób trzecich — rzekł — wolałbym wyrazić własnymi słowami. I nawet u Tellsonów nie zniosę, by ktokolwiek wyręczał mnie w formułowaniu moich opinii. Szanowny pan będzie łaskaw zrozumieć to właściwie.

— A zatem proszę o przebaczenie.

— Ja zaś udzielam go chętnie. Dziękuję, panie Stryver. Hm... Pragnąłbym jeszcze coś dodać. Otóż odkrycie pomyłki mogłoby być dla pana niemiłe, bardzo niemiłe... A udzielanie panu wyjaśnień sprawiłoby niewątpliwie przykrość doktorowi albo też jego córce. Wie pan oczywiście, że z domem tym łączą mnie stosunki, które uważam za szczęście i zaszczyt dla siebie. Mógłbym więc, nie odkrywając pańskich zamierzeń i nie czyniąc do nich najśłabszej bodaj aluzji, uzupełnić swoje wiadomości nowymi obserwacjami nastawionymi pod tym specjalnym kątem. Nie wykluczone, że w rezultacie skoryguję sens udzielonej rady. Jeżeli zostanie przy obecnym zdaniu, panu zaś nie wystarczy ono, nic nie stoi na przeszkodzie, aby pan osobiście przeprowadził próbę. Jeżeli natomiast nie skoryguję sensu udzielonej rady, a pan uzna jej wartość, uchronimy wszystkich od kłopotliwej sytuacji. I co pan na to?

— Jak długo zatrzyma mnie pan w Londynie?

— Ach, to kwestia kilku godzin. Pod wieczór pójdę do Soho, a następnie wstąpię do pana.

— W takim razie zgoda! Nic nie zmusza mnie do natychmiastowych oświadczeń. Nie jest mi aż tak pilno. Przyjmuję propozycję i czekam pana późnym wieczorem. Do widzenia, panie Lorry.

Adwokat odwrócił się i wyszedł z banku, a po drodze tak roztrzącał powietrze, że dwaj sędziwi kasjerzy musieli zebrać wszystkie siły, aby ustać na nogach i nie przestać się kłaniać. Tych

szanownych, lecz osłabłych ze starości urzędników klienta widywała zazwyczaj w trakcie składania ukłonów, powszechnie więc mniemano, iż pożegnawszy jednego interesanta kłaniają się nadal w pustym kantorze, aby następnego powitać jak należy.

Pan Stryver — człowiek bystry i sprytny — odgadł bez trudu, że stary bankowiec nigdy nie posunąłby się tak daleko, gdyby opinii swoich nie opierał na absolutnej pewności. Nie był wprawdzie przygotowany na gorzką pigułkę, ale przełknął ją jakoś.

— A teraz — mówił wygrażając palcem zabudowaniom Tempie, gdy te ukazały się jego oczom — nie wykaraskam się z tego, jeżeli z was wszystkich nie zrobię durniów.

Słowa te przyniosły niejaką ulgę wytrawnemu strategowi z Old Bailey.

— Nie, nie, młoda osóbkó — ciągnął. — Mnie nie wystrychniesz na dudka. Sam to za ciebie zrobię z kimś całkiem innym.

Zgodnie z obraną taktyką pan Stryver siedział pośród rozrzuconych celowo ksiąg i papierów i zdawał się zajęty wszystkim z wyjątkiem tematu porannej rozmowy, kiedy pan Lorry odwiedził go o dziesiątej wieczorem. Okazał nawet zdziwienie na widok starego bankiera, co miało dowodzić, że jest roztargniony i bez reszty pochłonięty pracą.

— No, byłem w Soho — rzekł wreszcie pocziwy emisariusz po półgodzinnych daremnych staraniach, by łagodniej przystąpić do meritum sprawy.

— W Soho? — powtórzył ze zdziwieniem adwokat. — Ach! Prawda! Gdzie moja głowa!

— I upewniłem się ostatecznie — ciągnął pan Lorry — że dzisiaj przed południem miałem słuszość. Moje opinie znalazły potwierdzenie, wobec czego mogę powtórnie udzielić panu tej samej rady.

— Zapewniam pana, drogi panie Lorry — odparł adwokat najbardziej przyjaznym tonem — iż niezmiernie mi z tej racji przykro przez wzgląd na pana i na biednego ojca. Doskonale rozumiem, że to sprawa bolesna dla rodziny i przyjaciół domu, najlepiej więc przestańmy mówić na ten temat.

— Ja pana nie pojmuję?! — zdumiał się gość.

— Dajmy na to, że pan nie pojmuje. Niech i tak będzie. To drobiazg. Doprawdy drobiazg bez znaczenia.

— Jaki drobiazg? Dlaczego bez znaczenia?

— Tak, drobiazg bez znaczenia. Widzi pan, chciałem szukać zdrowego rozsądku tam, gdzie go nie ma. Chciałem szukać chwalebnych ambicji tam, gdzie ich nie ma. Zostałem wyprowadzony z błędu i, chwała Bogu, nikomu nie stała się krzywda. Nieraz już dziewczęta popełniały takie szaleństwa. Nieraz już żałowały ich później w niedostatku i samotności. Jako altruista ubolewam, że to małżeństwo nie doszło do skutku, bo ze światowego punktu widzenia byłoby dla mnie niekorzystne. Jako egoista cieszę się, że to małżeństwo nie doszło do skutku, bo ze światowego punktu widzenia byłoby dla mnie niekorzystne. Mogę chyba nie mówić, że ja nic bym nie zyskał. Na szczęście nie stało się nic złego. Nie oświadczyłem się i prawdę rzekłszy nie wiem, czy posunąłbym się aż tak daleko nawet w najbardziej sprzyjających warunkach. Drogi panie Lorry! Trudno nam pojąć próżnostki i fantazje pustych dziewczęcych główek. Najlepiej niech pan z góry da za wygraną, bo inaczej musi pana spotkać rozczarowanie. A teraz, proszę, nie mówmy więcej na ten temat. Powtarzam: przykro mi przez wzgląd na innych, ale z własnego punktu widzenia jestem zadowolony. Serdecznie dziękuję, drogi panie Lorry, że pozwolił się pan wysondować i był łaskaw udzielić mi dobrej rady. Pan zna pannę Manette nieporównanie lepiej niż ja. Miał pan słuszość. Ten związek nie mógł mi dać nic dobrego!

Pan Lorry był tak zdumiony, że gapił się bezmyślnie na okazałego Stryvera, który popychał go w stronę drzwi nie szczędząc słów dobrotliwych, szlachetnych i pełnych pobłażania.

— Drogi, kochany panie — mówił adwokat. — Proszę się nie przejmować. To drobiazg bez znaczenia. Nie mówmy więcej na ten temat. Jeszcze raz z serca dziękuję, że pozwolił się pan wysondować. Dobrej, nocy. Dobrej nocy!

Stary bankowiec znalazł się pośród nocnych mroków, nim zdążył pojąć, co się dzieje, a Stryver spoczął na wznak na swojej sofie i mrugnął porozumiewawczo w stronę sufitu.

ROZDZIAŁ XIII

CZŁOWIEK NIEDELIKATNY

Jeżeli nawet Sydney Carton bywał gdziekolwiek błyskotliwy, to nie zdarzało się to w domu doktora Manette'a. Od roku, dom ów odwiedzał często, zawsze jednak przedstawiał równie chmurny i posępny widok. Gdy zainteresowała go rozmowa, mówił ciekawie, ale na ogół brak wszelkich zainteresowań spowijał go czernią, której mroki światła wewnętrzne przebijało nader rzadko.

Wszelako Sydney Carton interesował się ulicami okalającymi siedzibę lekarza z Beauvais i zimnymi kamieniami, co tworzyły ich bruki. Niejednej nocy, kiedy wino nie przyniosło mu przelotnej ulgi, błąkał się tamtędy rozstrojony i przybity. Niejednego ranka brzask oświecił jego samotną sylwetkę, która trwała na miejscu nawet wówczas, gdy pierwsze promienie słońca dobyły na jaw architektoniczne piękno kościelnych wieżyc i okazałych gmachów, podobnie jak chwila spokoju dobywała zapewne z duszy Cartona dobro nieosiągalne zazwyczaj i pogrzebane w niepamięci. Ostatnimi czasy zaniedbywane łóżko w pokoju przy Tempie Court widywało Sydneya coraz rzadziej, a często się zdarzało, że spoczawszy w ubraniu wstawał po kilku minutach, by rozpocząć nocną włóczęgę w Soho.

Był sierpień. Pan Stryver poinformował szakala, iż „namyślił się i zrezygnował z planów matrymonialnych”, po czym swoją delikatność i wrażliwość wywiózł do Devonu. Widok i zapach kwiatów rosnących przy ulicach City rodził powiewy, które miały w sobie coś dobrego dla najgorszych, zdrowego dla najciężej chorych, młodego dla najstarszych. Pewnego dnia Sydney Carton cierpliwie deptał te same wciąż chodniki, lecz po jakimś czasie jego kroki leniwe i bezcelowe ożywiły się konkretnym zamiarem i poniosły go szybko przed drzwi doktora Manette. Poproszony na piętro zastał Lucie samą przy stoliku do robót. Dziewczyna nigdy nie czuła się swobodnie w towarzystwie młodego prawnika, nie potrafiła więc ukryć zakłopotania, gdy usiadł tego dnia w pobliżu jej stolika. Ale po wymianie kilku wstępnych komunałów spojrzała w twarz gościa i dostrzegła szczególną zmianę.

— Żle się pan czuje, panie Carton? — zapytała.

— Nie... nie... Widzi pani, życie, jakie prowadzę, nie wychodzi na zdrowie. Niczego więcej nie można się spodziewać po wybrykach takiego rodzaju.

— Czy to nie szkoda?... Bardzo przepraszam, zaczęłam pytanie, które samo przyszło mi na usta... Czy to nie szkoda, że życie pańskie nie płynie inaczej... lepiej?

— Nie szkoda. Raczej wstyd.

— Czemu zatem nie zmieni pan postępowania?

Dyskretnie spojrzała na Cartona i zdziwiła się, a zarazem zasmuciła widząc łzy w jego oczach. Łzy brzmiały również w głosie Sydneya, gdy ów odezwał się znowu:

— Na to już za późno. Nigdy nie stanę się lepszym, niż jestem. Będę się staczał niżej i niżej. Będę coraz podlejszy.

Wsparł łokieć na stoliku Lucie i zakrył oczy dłonią. W ciszy, która nastąpiła, stół dygotał lekko. Panna Manette nigdy nie widziała młodego prawnika w stanie takiej depresji. Zaniepokoiła się i stropiła, on zaś zdawał sobie z tego sprawę nie patrząc na nią.

— Bardzo przepraszam, panno Manette — podjął. — Załamała mnie świadomość tego, co zamierzam powiedzieć. Zechce mnie pani wysłuchać?

— Z chęcią i uwagą, jeśli to przyniesie panu ulgę i sprawi bodaj trochę zadowolenia.

— Oby Bóg pobłogosławił panią za jej anielskie współczucie. — Carton odsłonił oczy i po

chwili zaczął mówić pewnym, stanowczym tonem:

— Proszę nie lękać się moich zwierzeń i przyjąć bez niechęci wszystko, co powiem. Jestem niby ktoś, kto umarł młodo. Całe życie mam już za sobą.

— Nie, panie Carton! Jestem przekonana, że najlepsze dni życia ma pan jeszcze przed sobą. Na pewno mógłby pan być znacznie bardziej wart siebie.

— A może... może mógłbym być znacznie bardziej wart pani? To niepodobna. Sam najlepiej znam sekrety swojego nieszczęsnego, upodłonego serca, ale... Ale niech pani tak powie, a nigdy tego nie zapomnę.

Dziewczyna pobladła i zadrżała. Carton pospieszył jej z pomocą, a jego ostateczne zwątpienie o sobie nadawało rozmowie charakter osobliwy i nigdy chyba nie spotykany.

— Gdyby to było możliwe, panno Manette, by pani odwzajemniła miłość mężczyzny, którego widzi przed sobą, ów mężczyzna — zmarnowany z własnej woli i winy, znany pani nieszczęsny pijanica bez czci i wiary — zdawałby sobie sprawę w godzinie niezmiernego szczęścia, że mógłby tylko przywieść panią do rozpacz, ruiny i niedoli, że mógłby tylko skalać panią i okryć wstydem, i pociągnąć na dno razem z sobą. Pani nic kocha mnie i nie może kochać. Wiem o tym. Nie proszę o miłość. Cieszę się nawet, że to niepodobieństwo.

— Panie Carton, czy bez miłości nie zdołam pana ocalić? Czy nie potrafię skierować pana na... jeszcze raz bardzo przepraszam... na godziwsze drogi? Czy nie mogłabym odplacić jakoś za zaufanie? Wiem, że to zaufanie — dodała skromnie po chwili wahania i ze szczerymi łzami. — Wiem, że nie powiedziałby pan tego nikomu na świecie. Czy zaufania nie będzie można obrócić na pańską korzyść?

— Nie będzie można. Nie, panno Manette. Błagam o jedno, co może pani dla mnie zrobić. Proszę słuchać cierpliwie przez kilka jeszcze minut. Pragnę, by się pani dowiedziała, że była ostatnim marzeniem mojej duszy. Mimo zupełnego upadku nie upadłem tak nisko, by widok pani opiekującej się ojcem i widok domu, z którego pani uczyniła taki dom, nie poruszył we mnie czegoś, co uważałem za umarłe. Od chwili kiedy panią poznałem, dręczą mnie wyrzuty sumienia, których już wcale nie oczekiwałem. Od chwili kiedy panią poznałem, słyszę dawne, wzywające mnie ku górze głosy, które w moim mniemaniu umilkły na zawsze. Do głowy zaczęły mi przychodzić myśli, aby odrodzić się, rozpocząć od nowa, zrzucić z ramion brzemień namiętności i grzechu. Naturalnie to tylko marzenia senne, co przemijają i śpiocha zostawiają na miejscu, gdzie leży. Gorąco jednak pragną, by dowiedziała się pani, że była natchnieniem takich marzeń.

— Czy nic z pańskich marzeń nie zostanie? Proszę się zastanowić. Proszę podjąć próbę.

— Nie, panno Manette. Mimo wszystko wiem, że jestem niepoprawny. A przecież pragnąłem gorąco i nadal pragnę, aby pani zrozumiała, że mnie, garstkę popiołów, rozplomieniła ogniem, chociaż to ogień podobny do mnie całego: ogień, co nie rozświeca niczego, nie rozgrzewa, a tylko pionie bezużytecznym blaskiem sam dla siebie.

— Jeżeli znajomość ze mną uczyniła pana jeszcze bardziej nieszczęśliwym...

— Proszę tak nie mówić, panno Manette — przerwał gorąco. — Gdyby ktokolwiek był w stanie mnie ocalić, zrobiłaby to pani. Na pewno nie jej dziełem będzie, jeżeli stanę się gorszy.

— Nie wiem, czy wysłowię się jasno, lecz bardzo mi zależy, aby pan słowa moje zrozumiał właściwie. Stan uczuć, jaki pan przedstawił, należy bezwarunkowo przypisać moim wpływom. Czy zatem wpływów moich nie mogłabym wykorzystać dla pańskiego dobra?

— Dla mojego dobra? Przyszedłem tutaj, panno Manette, aby doświadczyć najwyższego dobra, jakie jest mi dostępne. Przez resztę niefortunnego życia poniosę pamięć o tym, że po raz ostatni otworzyłem serce przed panią, która pomimo wszystko znalazła tam jeszcze coś godnego jej łez i

współczucia.

— A także coś, co może zapoczątkować lepsze, szlachetniejsze życie! — zawołała dziewczyna.

— Zaklinam pana, błagam z całego serca, niechaj pan w to uwierzy!

— Nie uwierzę mimo zaklęć i błagań. Dokładnie przeniknąłem samego siebie. Wiem wszystko. Ale nudzę panią. Szybko muszę zmierzać do końca. Panno Manette, czy w przyszłości wspominając ten dzień będę mógł ufać, że ostatnie w moim życiu zwierzenia spoczywają w pani czystym i szlachetnym sercu i nigdy z nikim nie zostaną podzielone?

— Oczywiście, jeżeli ma to być dla pana pociechą.

— Nawet z człowiekiem najbliższym pani i najdroższym?

— Panie Carton — odparła dziewczyna po kłopotliwej i nerwowej pauzie — to tajemnica nie moja, lecz pańska. Zapewniam, że uszanuję.

— Dziękuję i powtarzam: niech panią Bóg błogosławi! Palcami dotknął swoich ust i ruszył w stronę drzwi.

— Niech się pani nie obawia, że kiedykolwiek wrócę do naszej rozmowy. Nigdy słowem o niej nie wspomnę. To pewne. Pewniejsze, niż gdybym dziś rozstał się z życiem. W godzinie śmierci będę czcił jak świętość jedyne dobre wspomnienie, będę dziękował za nie pani i błogosławił panią za to, że ostatni raz w życiu mówiłem o sobie z panią, w której szlachetnym sercu spoczywa moje imię i moje grzechy, i cierpienia. Oby to serce było pod każdym innym względem lekkie i radosne.

W tej chwili Carton różnił się znacznie od pozy, którą zazwyczaj przybierał. Lucie pomyślała, jak wiele odrzucił dobrowolnie i jak wiele musi co dnia maskować i ukrywać, toteż powodowana współczuciem i żalem rozplakała się gorzko. A młody prawnik odwrócił się i stanął przy drzwiach patrząc na nią.

— Proszę się uspokoić, panno Manette — powiedział. — Niewart jestem aż tak silnych wzruszeń. Za parę godzin będę mniej godzin współczucia niż byle rzezimieszek wałęsający się nocą po ulicach, a czynią to złe narowy i źli kompani, którym ulegam, choć brzydzę się nimi. Proszę nie płakać, droga pani. W głębi duszy i w stosunku do pani będę do końca moich dni taki jak dzisiaj, chociaż zewnętrzne pozory odmienia mnie znowu w człowieka znanego pani dotychczas. Moja przedostatnia prośba zwrócona do pani brzmi: niechaj pani zechce w to uwierzyć!

— Wierzę, panie Carton.

— A teraz kolej na ostatnią prośbę. Później uwolnię panią od natręta, z którym nie może pani mieć nic wspólnego, bo między nim a panią ziele przepaść nie do przebycia. Wiem, że to, co zamierzam powiedzieć, jest bezcelowe i na nic się nie przyda, ale słowa same powstają w moim sercu. Dla pani i dla każdego, kto jest pani drogi, zrobiłbym wszystko. Gdyby losy pokierowały mną inaczej, gdybym miał wiele do poświęcenia, nie istniałoby nic, czego nie poświęciłbym ochoczo dla pani i każdego, kto jest pani drogi. Proszę pamiętać wszędzie i o każdej porze, iż w tym na pewno jestem niezłomny i szczerzy. Panno Manette! Rychło nadejdzie czas, gdy nowe więzy połączą panią jeszcze mocniej i serdeczniej z domem, którego pani jest i będzie ozdobą. Te najmilsze więzy dadzą pani nowe szczęście i nowe łaski. O jedno błagam, panno Manette. Gdy miniatura szczęśliwego ojca spojrzy na panią kochającym wzrokiem, gdy ujrzy pani, że jej własna wiośniana piękność odradza się u pani stóp, proszę pomyśleć niekiedy, że na tym podłym świecie jest człowiek, który z radością odda swoje życie, aby zachować koło pani inne życie, o wiele droższe jej niż własne!

— Żegnam, żegnam — dodał po chwili i odszedł powtórzywszy po raz trzeci: — Niech Bóg panią błogosławi!

ROZDZIAŁ XIV

UCZCIWY RZEMIEŚLNIK

Pan Jeremiasz Cruncher w asyście swojego urwipołcia zwykł siadywać na stołku przy Fleet Street, co dnia więc oglądał znaczną ilość osób i przedmiotów w ruchu. Każdy, kto na czymkolwiek siaduje przy tej ulicy, może i musi obserwować dwa zwarte pochody. Jeden zmierza ku zachodowi — wraz ze słońcem, drugi ku wschodowi — przeciw słońcu, obydwaj zaś płyną w stronę krainy położonej z dala od zasięgu purpury i fioletów udającego się na spoczynek słońca.

Cruncher żuł słomkę i gapił się na dwa wartkie strumienie, podobnie jak poganin z antycznej legendy, który miał za zadanie obserwować przez kilka wieków jeden potok. Różnica polegała na tym, że Jerry ani spodziewał się, by jego strumień mógł wyschnąć, ani życzył sobie tego, bo pewną część dochodów przynosiło mu pilotowanie trwożliwych dam (najczęściej starszych i schludnie odzianych) z brzegu Tellsonów na przeciwległą stronę ulicznego nurtu. Znajomości te miały oczywiście charakter przelotny, lecz pan Cruncher żywo interesował się osobami szukającymi jego opieki i za każdym razem mówił, że z ochotą wypije zdrowie czcigodnej pani, a podarki składane w celu zaspokojenia tak szlachetnych pragnień zasilają po trosze rodzinną kasę.

Dawnymi czasy niejedynemu poecie siadywał na stołku w miejscu publicznym i na oczach współobywateli oddawał się rozmyślaniom. Pan Cruncher również siadywał na stołku w miejscu publicznym, ponieważ jednak nie był poetą, jak najmniej dumał, a tylko bacznie rozglądał się dokoła.

Pewnego razu — w martwym sezonie, kiedy przechodniów było mało, trwożliwych niewiast jeszcze mniej, a ogólny zły stan interesów budził podejrzenia, że pani Cruncher klepie pacierze w szczególnie złośliwy sposób — Jerry zwrócił uwagę na niezwykley orszak ciągnący środkiem Fleet Street ku zachodowi. Po chwili namysłu osądził, że zbliża się pogrzeb, który z jakichś względów budzi zastrzeżenia tłumu, a to z kolei stanowi powód tumultu.

— Spójrz no, Jerry — zwrócił się dobry ojciec do potomka. — Pogrzeb.

— Pogrzeb! Hura! Hura! Pogrzeb!

Entuzjastyczny okrzyk był raczej zagadkowy i tak rozdrażnił starszego dżentelmena, że ów korzystając ze sposobności mocno zdzielił w ucho młodszego dżentelmena.

— Hura! Hura! — obruszył się gniewnie. — Czemu wrzeszczysz? Dlaczego denerwujesz, błźnie, rodzzonego ojca? O co ci chodzi? Słowo uczciwości, dosyć mam tego chłopaka i jego wiwatów! Niech no cię jeszcze usłyszę, a dobrze mnie popamiętasz! Rozumiesz?

— Rozumiem — mruknął chłopiec pocierając ucho. — Ale przecież nie chciałem...

— Aha, nie chciałeś! Już ja cię znam. No, dosyć! Właż na stołek. Pogap się trochę na to widowisko.

Syn posłuchał i zwrócił wzrok w kierunku nadciągającego tłumu. Gromadki ludzi gwizdały i krzyczały dokoła niechlujnego karawanu i równie niechlujnej karety wiozącej tylko jednego pasażera. Mężczyzna ów był przystrojony w krepowe szarfy, nieodzowne jakoby dla zachowania godności w roli żałobnika, atoli rola ta nie wydawała mu się zapewne godna ani miła, gdyż ciżba tłoczyła się coraz ciaśniej, lżyła go, robiła małpie miny i wrzeszczała nieustannie: „Huzia! Szpiedzy! Huzia! Szpiedzy!” dorzucając komplementy zbyt liczne i soczyste, by je powtórzyć.

Pogrzeby interesowały zawsze pana Crunchera, który ożywiał się i wpadał w podniecenie, ilekroć kondukt mijał Dom Bankowy Tellsonów. Nic więc dziwnego, że tak osobliwy pogrzeb zbudził piekącą ciekawość i wywołał pytanie zwrócone do pewnego uczestnika niezwyklej ceremonii:

— Co się wyprawia, bracie? O co wam chodzi?

— Nie wiem — odkrzyknął zagadnięty. — Huzia! Szpiedzy! Huzia! Huzia!

— Co to za harmider? — spytał Jerry kogoś innego.

— Nie wiem. Nie mój interes — padła odpowiedź, mimo to jednak człowiek zwinął dłoń w trąbkę, przyłożył ją do ust i z podziwu godnym zapałem począł skandować: — Hu—zia! Szpie—dzy! Hu—zia! Szpie—dzy!

Wreszcie osoba lepiej poinformowana i świadoma meritum sprawy zderzyła się z panem Cruncherem i przy okazji zaspokoiła jego ciekawość mówiąc, że chowają niejakiego Rogera Cly.

— Czy to był szpieg?

— Naturalnie! Szpieg! Na usługach Old Bailey. Huzia! Huzia! Szpiedzy! Huzia!

— Słusznie — zawołał Jerry przypominając sobie proces, któremu niegdyś asystował. — Widziałem szubrawca na własne oczy! Naprawdę nie żyje?

— Pewnie, że naprawdę. Dobrze mu tak. Huzia! Szpiedzy! Huzia! Wyrzucić go z trumny! Szpiedzy! Wyciągnąć go z karety!

Z braku lepszych pomysłów motłoch przyjął ów pomysł bardzo gorąco i powtarzając: " Wyrzucić z trumny!", „Wyciągnąć z karety!" obstąpił karawan i karetę tak ciasno, że oba wehikuly musiały się zatrzymać. Odemknięto drzwi karety i przez chwilę samotny żałobnik wił się i szamotał w rękach napastników. Był jednak zwinny i potrafił wykorzystać właściwy moment. Niebawem umykał boczną uliczką roniąc po drodze symboliczne łzy w postaci czarnej peleryny, śnieżnobiałej chusteczki do nosa i kapelusza z długimi krepowymi szarfami. Te akcesoria pogrzebowe zebrano szybko i poszarpane w strzępy rozrzucono z wielką uciechą na cztery wiatry. Tymczasem kupcy zamykali pośpiesznie sklepy, bo w owe lata tłum nie zwykł cofać się przed niczym i słusznie uchodził za bardzo groźną bestię. Blisko już było do otwarcia karawanu i wywleczenia trumny, gdy jakiś światły umysł rzucił propozycję, by zamiast tego z kocią muzyką odprowadzić zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku. Idea ta — jako bardziej atrakcyjna — zyskała ogólny poklask. W jednej chwili karetka miała ośmiu pasażerów we wnętrzu i co najmniej dziesięciu na dachu, a karawan oblepiło tylu ludzi, ilu w najbardziej pomysłowe sposoby zdołało znaleźć punkt oparcia. Między pierwszymi śmiałkami był pan Jeremiasz Cruncher, który w kącie karety ukrył się skromnie przed możliwymi spojrzeniami z Domu Bankowego Tellsonów.

Funkcjonariusze zakładu pogrzebowego sprzeciwiali się nieoczekiwanym zmianom ceremoniału, ale protesty ich były krótkotrwałe i bojaźliwe, ponieważ rzeka znajdowała się niepokojąco blisko, a kilka zuchowatych głosów zachwalało zbawienne skutki zimnej kąpieli. Zreorganizowany kondukt niebawem ruszył z miejsca. Karawanem powoził kominiarz, a siedzący obok zawodowy woźnica udzielał mu cennych wskazówek. Na koźle karety zasiadał sprzedawca gorących pasztecików, którego czynnościami kierował również fachowy stangret. W ostatniej chwili kondukt zyskał dodatkową ozdobę w postaci niedźwiedznika — typu popularnego w owej epoce na londyńskich ulicach. Jego niedźwiedz — czarny, wyliniały i wyjątkowo chudy — nadawał iście pogrzebowy charakter tej części pochodu, w której maszerował.

Osobliwa procesja popijała piwo, paliła fajki, ryczała nieprzy—stojne śpiewki, jednym słowem parodiowała wszelkie oznaki żałoby i rosnąc na każdym kroku sunęła między szeregami spiesznie zamykanych sklepów. Celem był stary kościół Świętego Pankracego położony w owe lata daleko za miastem. Kondukt 'dotarł tam wreszcie, szybko zalał cmentarz i pogrzebał Rogera Cly na swój specyficzny sposób.

Załatwiwszy się z nieboszczykiem tłum nie utracił ochoty do zabawy, chętnie więc przyjął radę jakiegoś innego światłego umysłu (a może nawet tego samego, co wprzód), aby przypadkowych

przechodniów obwinać o to, że szpiegują na rzecz Old Bailey, i wywierać na nich zemstę. W rezultacie urządzono łowy i srodze poturbowano parę dziesiątków Bogu ducha winnych osób, które nigdy w życiu nie były nawet w pobliżu Old Bailey. W takich warunkach droga do wybijania szyb, a następnie plądrowania szynków była prosta i łatwa. Na koniec, po upływie paru godzin, kiedy rozebrano kilkanaście altan i przewrócono kilkanaście żelaznych sztachet, aby zaopatrzyć w broń najbardziej wojownicze duchy, rozeszły się pogłoski, że nadchodzi straż miejska. Cizba stopniała szybko i (jak to zwykle bywa w podobnych razach) nikt nie wiedział później, czy straż miejska nadciągnęła istotnie, czy też wcale się nie pojawiła.

Pan Cruncher nie brał udziału w końcowej fazie zabawy, lecz został na cmentarzu, gdzie gawędził z karawaniarzami i wyrażał im współczucie. Widocznie cmentarz działał nań przyciągająco, bo zaopatrzywszy się w fajkę w pobliskim szynku wrócił tam i puszczać kłęby dymu zwiedzał to posępne miejsce, i ze szczególną uwagą oglądał ogrodzenie.

— Jerry — przemówił do siebie, jak często zwykł czynić. — Pamiętasz tego tam Rogera Cly, prawda? Na własne oczy widziałeś, że chłop był młody i nienajgorzej zbudowany...

Wypaliwszy fajkę pan Cruncher pomarudził jeszcze trochę na cmentarzu i ruszył z powrotem, aby przed końcem godzin urzędowych objąć posterunek koło Domu Bankowego Tellsonów. Nie wiadomo, czy rozważania na temat znikomości życia podrażniły mu wątrobę, czy zdrowie jego od dawna szwankowało, czy po prostu zapragnął złożyć wizytę znakomitemu mężowi; tak czy inaczej, po drodze odwiedził swojego lekarza domowego — wybitnego chirurga — i w jego gabinecie spędził kilka minut.

Młodszy pan Cruncher godnie zastępował ojca, a po jego powrocie złożył meldunek, że nie trafiła się żadna robota. Wkrótce bank zamknięto, sędziwi urzędnicy wyszli jeden po drugim, nocny wartownik objął służbę, a pan Cruncher z synem udał się do domu na wieczerzę.

— Słuchaj no — powitał od progu żonę. — Wiesz, że uczciwy ze mnie rzemieślnik. Ale jeżeli dziś w nocy nie powiedzie mi się robota, będę pewny, że modliłaś się przeciwko mnie, i złoję ci skórę tak dokumentnie, jak gdybym widział to na własne oczy.

Biedna pani Cruncher bez słowa pokiwała głową.

— Co? Biadolisz nawet w mojej obecności? — wybuchnął małżonek gniewnie, lecz z obawą.

— Przecież nic nie mówiłam.

— Nie mówiłaś, ale pewnie myślałaś. Potrafisz klepać pacierze i potrafisz myśleć. Jedno i drugie może być zwrócone przeciwko mnie. Nie miel jęzorem ani nie medytuj! Zabraniam ci! Rozumiesz?

— Tak, Jerry.

— Tak, Jerry! Tak, Jerry! — począł przedrzeźniać. — Aha, właśnie! Potrafisz tylko gadać: „Tak, Jerry!” Mam tego dosyć! Dosyć!

Pan Cruncher sam nie dostrzegał sensu w swoich złośliwych apostrofach, lecz, jak to ludzie często czynią, rzucał je tylko dlatego, by dać upust złemu humorowi.

— Dosyć mam ciebie i twoich „tak, Jerry”! Zupełnie dosyć — ciągnął przetykając głośno dość spory kęs chleba z masłem. — Tak, Jerry! Tak, Jerry! A pewnie! Wierzę ci, wierzę...

— Wychodzisz dzisiaj w nocy? — zapytała uległa żona korzystając z chwili, gdy pan Cruncher zapchał usta drugim kęsem chleba z masłem.

— Aha. Wychodzę.

— Mogę pójść z tatą? — zapytał żwawo młody Jerry.

— Nie. Nie możesz. Jak twoja mama wie, idę na ryby. Tak, smarkaczu, na ryby.

— Tata ma strasznie zardzewiałą wędkę. Prawda, tato?

— Nie martw się o mnie i moją wędkę. — A przyniesie tata jaką rybę?

— Jeżeli nie przyniosę, krucho jutro będzie z żarciem — odparł ojciec kiwając smutno głową. —

No, dosyć pytań! Wyjdę późną nocą, kiedy ty od dawna będziesz w łóżku.

Resztę wieczoru pan Cruncher poświęcił bacznemu dozorowaniu małżonki, którą uparcie wciągał w rozmowę, by nie dopuścić do pobożnych rozmyślań na swoją niekorzyść. W tym samym celu zachęcał syna do gawędy z matką albo zatruwał życie nieszczęśliwej kobiecie, gdyż wolał przypominać wszelkie możliwe do niej urazy, niż zostawić biedaczce czas na swobodne medytacje. Taka nieufność wobec żony stanowiła hołd dla skuteczności uczciwej modlitwy — hołd, jakiego nie umiałby zapewne złożyć nawet człowiek najbardziej pobożny. Przypominało to kogoś, kto nie wierzy w duchy, ale panicznie boi się bajek o duchach.

— No i zapamiętaj sobie dobrze — nudził pan Cruncher — żebyś jutro nie pokazywała żadnych fumów. Uczciwy ze mnie rzemieślnik. Jak uda mi się sprokurować przyzwoity kawałek mięsa, żebyś mi nie gadała, że go nie tkniesz, że chleb ci wystarczy. Jak mi się uda sprokurować trochę piwa, żebyś mi nie gadała, że wolisz czystą wodę. Jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać tak jak one. Inaczej wrony cię rozdziobią. Rozumiesz? Twoją władzą jest mąż. Rozumiesz?

Pani Cruncher milczała, a jej małżonek zrzędził dalej:

— Za nic masz jedzenie i picie dla siebie. Zgoda! Niech i tak będzie. Ale to twoje biadolenie i klepanie pacierzy może wygłodzić cały dom. Rozumiesz? Jesteś bez serca! Spójrz na tego malca. Przecież to twój rodzony syn! Może nie? Spójrz na niego! Wysechł jak szczapa. A pierwszy obowiązek dobrej matki to staranie, żeby jej dziecko tyło.

Młodszy Jerry tknięty w najwrażliwsze miejsce jął zaklinać panią Cruncher, by nie zaniedbywała pierwszego obowiązku dobrej matki i zastosowała się posłusznie do rad i wskazówek udzielanych tak delikatnie i rozumnie przez troskliwego ojca. W taki sposób upływał wieczór w rodzinnym gronie. Wreszcie syn otrzymał rozkaz udania się na spoczynek, następnie zaś matka została zapędzona do łóżka. Pan Cruncher czuwał, w samotności kurzył fajkę i do wyprawy jął sposobić się dopiero po północy. Kiedy minęła upiorna godzina duchów, dźwignął się z krzesła, wyjął klucz z kieszeni, otworzył schowek i wydobyl stamtąd worek, łom sporych rozmiarów, linę, łańcuch i inne tym podobne przybory rybackie. Sprawnie je spakowawszy zaklął, by przystojnie pożegnać małżonkę, zdmuchnął świecę i wyszedł.

Młodszy Jerry, który z wieczora udawał tylko, że się rozbiera, nie zwlekał długo i ruszył śladem ojca. Tuż za nim przestąpił próg domu rodzinnego, minął schody i podwórko i wychynął na ulicę. Bynajmniej nie troszczył się o powrót, bo kamienica była pełna lokatorów i drzwi frontowe stały otworem jak noc długa.

Wiedziony szczytną ambicją, aby zgłębić sekrety uczciwego rzemieślnika, chłopiec śledził godnego rodzica i podążał za nim trzymając się jak najbliżej parkanów, ganków i ścian domów. Godny rodzic wędrował ku północy, nie uszedł jednak daleko, gdy przyłączył się doń drugi uczeń Izaaka Waltona.

Nim upłynęło pół godziny, zaspane latarnie miejskie i jeszcze bardziej zaspani dozorczy nocni zostali w tyle i dalszy spacer odbywał się po wyludnionym trakcie. Na owym pustkowiu trzeci rybak pojawił się cicho i nieoczekiwanie; gdyby młodszy Jerry był przesądny, mógłby pomyśleć, że to pierwszy ojcowski towarzysz podzielił się nagle na dwoje.

Cała trójka (a za nią młodszy Jerry) wędrowała dalej, aby na koniec przystanąć pod nasypem ocieniającym drogę. Na owym nasypie ciągnął się niski ceglany murek uwieńczony żelaznymi sztachetami. Rybacy skręcili z gościńca w ślepy zaułek i między murami (wysokimi w tym miejscu na osiem lub dziesięć stóp) ruszyli dalej. Chłopak przycupnął, wyteżył wzrok i niebawem zobaczył na tle księżycy w lisiej czapie wyraźnie zarysowaną sylwetkę ojca, który zwinnie przesadzał żelazną

bramę. Za nim poszedł drugi rybak, a za drugim trzeci. Po przeciwległej stronie bramy wszyscy przywarowali na moment, jak gdyby nasłuchiwali bacznie, niebawem jednak ruszyli dalej pełną ostrożnie na czworakach.

Z kolei Jerry zbliżył się do żelaznej bramy i stanął przed nią powstrzymując oddech. Ukryty za filarem zorientował się najprzód, że ma przed sobą duży cmentarz, następnie zaś zobaczył trzech rybaków, którzy sunęli po zwiędłej trawie między stłoczonymi nagrobkami. Pomniki wyglądały jak białe widma, a kościelna wieża sprawiała wrażenie upiора przybyłego z krainy olbrzymów.

Trzej ucziwi rzemieślnicy nie odczuli się daleko. Niebawem zatrzymali się, wyprostowali i rozpoczęli połów. W początkowej fazie szpadel zastępował wędkę. Następnie pan Cruncher ją manipulował jakimś narzędziem podobnym do ogromnego korkociągu. Inni mu pomagali. Chłopiec widział niezbyt dokładnie, lecz zdawał sobie sprawę, że cała trójka pracuje w pocie czoła. Nagle zegar na kościelnej wieży wybił godzinę i Jerry przeraził się tak, że odskoczył kilka kroków, a włosy zjeżyły mu się na głowie i zeszywniały nie mniej niż na głowie ojca.

Ale hołubione od dawna marzenia o przeniknięciu sekretów ojca nie tylko powstrzymały chłopca od ucieczki, lecz również kazały mu wrócić pod bramę. Kiedy zajrzał na cmentarz po raz drugi, zobaczył, że rybacy nie kończyli jeszcze połowu. Nadal pracowali wytrwale, widocznie jednak mieli już jakąś zdobycz, bo z oddali słychać było chrobotanie i szuranie, a pochylone sylwetki wskazywały, że ludzie ciągną coś w górę ze znacznym wysiłkiem. Po niejakim czasie pokonali zapewne opór ziemi, bo zdobycz wyłoniła się z wolna na powierzchnię.

Chłopiec wiedział naturalnie, co ujrzy, ale kiedy TO ujrział i zobaczył, że jego godny rodzic bierze się do otwierania, przeraził się nie na żarty, bo nie był przyzwyczajony do podobnych widoków. Przeraził się i umknął ponownie, lecz tym razem przystanął dopiero, gdy przecwałował przynajmniej milę. Nawet wówczas nie zatrzymałby się na pewno, gdyby nie zbrakło mu tchu, gdyż odbywał straszliwy wyścig — wyścig, który należało ukończyć za wszelką cenę. Od początku wyobraził sobie, że trumna, którą widział na cmentarzu, biegnie za nim, przechyla się z boku na bok, podskakuje na węższym końcu, dogania go, jest tuż—tuż, wyciąga urojone ramiona... Był to straszliwy, wszechobecny prześladowca. Na oświetlonych ulicach Jerry nie pozbył się pogoni, jednocześnie zaś widział trumnę czyhającą nań w każdym mrocznym zaułku, w każdej sieni, tłukącą głucho o każde mijane drzwi. Nie na tym wszakże koniec. Trumna kładła się na wznak w cienistych miejscach, zagradała drogę, tworzyła zdradliwą przeszkodę, o którą Jerry łatwo mógł się potknąć. A jednocześnie podskakiwała wciąż tuż za nim, następowała mu na pięty, była coraz bliżej i bliżej. Cóż dziwnego, że chłopiec stanął półżywy pod sienią rodzinnego domu? Ale i tutaj nie zakończyła się męka. Trumna ruszyła śladem zbiega. Na schodach stukała groźnie o każdy stopień, a kiedy Jerry półmartwy schronił się do łóżka, ciężko legła mu na piersiach i leżała tak w koszmarnych snach.

Chłopiec ocknął się w swojej alkówce o brzasku, lecz przed wschodem słońca, a powód przebudzenia stanowiła obecność ojca w rodzinnej izbie. Coś mu się widocznie nie powiodło, gdyż pan Cruncher trzymał za uszy małżonkę i raz po raz uderzał jej głową o masywny przodek łóżka.

— A mówiłem, że dostaniesz! — powtarzał w takt. — Mówiłem! Mówiłem!

— Jerry! Jerry! Jerry! — płakała nieszczęśliwa kobieta.

— Nie w smak ci ucziwy zarobek, co? Psujesz interesy, co? A kto na tym ucierpi? Ja i moi współnicy. Masz czcić i słuchać męża! Czemu nie słuchasz?

— Jerry, staram się być ci dobrą żoną — rzekła przez łzy.

— Czy dobra żona psuje interesy mężowi? Czy tak go czci, że pogardza jego ucziwym rzemiosłem? Czy tak go słucha, że lekceważy jego rozkazy w najważniejszych sprawach?

— Słuchaj, Jerry! Jak mogłeś wziąć się do tej ohydnej roboty?

— Stul pysk! Niech ci starczy, że jesteś żoną uczciwego rzemieślnika. Nie zaprzataj sobie babskiego mózgu pytaniami, jak mogłem czy nie mogłem wziąć się do takiej albo innej roboty. Posłuszna i uległa żona nie medytuje wcale o pracy męża. Uważasz się za kobietę religijną. Dobrze sobie! Pokaż mi w takim razie kobietę niereligijną! Tyle wiesz o przyrodzonym poczuciu obowiązku, ile dno tej naszej rzeki, Tamizy, o palu, co ma umocnić brzeg. Dlatego właśnie przyrodzone poczucie obowiązku trzeba ci wbić w łeb, jak wbija się pal w dno rzeki.

Takimi słowy uczciwy rzemieślnik zakończył sprzeczkę wiedzioną przytłumionymi głosami, zrzucił zabłocone buty i jak długi rozciągnął się na podłodze. Jerry objął trwożliwym spojrzeniem ojca, który leżał na wznak, a pod głowę zamiast poduszki wsunął zaplamione rdzą pięści. Następnie chłopiec ułożył się wygodniej i zaraz usnął.

Bardzo skromne śniadanie obyło się bez ryby. Pan Cruncher — zły i przygnębiony — trzymał pod ręką żelazną pokrywkę garneczka, aby użyć jej w charakterze pocisku, gdyby małżonka zdradziła ochotę do odmówienia modlitwy przed posiłkiem. O zwykłej godzinie uczciwy rzemieślnik umył się, doprowadził garderobę do porządku i wyruszył w asyście syna, by zająć swój oficjalny posterunek.

Młodszy Jerry niósł stołek pod pachą i maszerował obok godnego rodzica wzdłuż skąpanej w słonecznym blasku Fleet Street. W tych warunkach był zupełnie innym chłopcem niż ów, co w noc ciemną umykał bez tchu przed upiorną pogonią. Nowy dzień dał mu znów spryt i odwagę, a noc uniosła z sobą niepewność i strachy, w czym młody człowiek przypominał po trosze Fleet Street i całe stołeczne miasto Londyn.

— Tata — zapytał nagle utrzymując przyzwoity dystans i odgradzając się stołkiem od towarzysza wędrówki., — Co to znaczy rezurekcjonista?

Pan Cruncher stanął jak wryty i dopiero po chwili odpowiedział:

— Rezurekcjonista? Nie mam pojęcia.

— Oo! A ja myślałem, że tata wszystko wie.

— Hm... Jak by to rzec... — podjął dobry ojciec i ruszając z miejsca uniósł kapelusz, aby dać nieco swobody szczeciniastym włosom. — To, widzisz, będzie rzemieślnik albo kupiec...

— Kupiec? A czym handluje? — zapytał żywo młodszy Jerry.

— Czym handluje?... Ee... Przedmiotami, co służą do przeprowadzania badań naukowych.

— Może ludzkimi zwłokami? Co, tata? — Tak mi się zdaje.

— Ojej, tato! Chciałbym zostać rezurekcjonistą, jak dorosnę! Pan Cruncher był mile polechtany ostatnim zdaniem, ale pokiwał głową i przemówił moralizatorskim tonem:

— Cóż, synku, nie wiadomo, w jakim kierunku rozwinięsz swoje zdolności. Widzisz, trzeba starannie rozwijać zdolności i nie gadać nigdy nikomu, czym będziesz albo nie będziesz, bo sam przecież nie wiesz, do czego będziesz zdolny, jak dorośniesz.

Otrzymawszy taką naukę na dalszą drogę życia chłopiec wysunął się o kilka kroków, by ustawić stołek w cieniu Tempie Bar.

— Oj, Jerry, Jerry, uczciwy rzemieślniku! — mruknął do siebie pan Cruncher. — Z tego smarkacza może być prawdziwa pociecha, skarb i nagroda dla ciebie za kłopoty z jego matką!

ROZDZIAŁ XV

MADAME DEFARGE ROBI NA DRUTACH

W winiarni Monsieur Defarge'a dzień zaczął się wcześniej niż zwyczajnie. Już o szóstej rano ludzie przysuwający wynędzniałe twarze do zakratowanych okien widzieli równie wynędzniałe twarze pochylone nad miarkami wina. Nawet w najlepszych czasach Monsieur Defarge szynkował cienkie wino, tego dnia wszakże musiało być nie tylko szczególnie cienkie, lecz również bardzo kwaśne, gdyż źle wpływało na humor gości i czyniło ich ponurymi. Z winnego moszczu nie tryskał bachiczny płomień, lecz w jego mętach krył się zapewne zdławiony żar, co posepnie gorzeje wśród mroków.

Przez trzy dni z rzędu wcześniej zbierała się kompania w winiarni Monsieur Defarge'a. Zaczęło się to od poniedziałkowego rana, obecnie zaś świtała środa. Prawdę mówiąc więcej tam było poufnych gawęd niż pijaństwa, bo pośród mężczyzn, którzy od otwarcia drzwi wałęsali się po salce i szeptali lub słuchali szeptów, znalazłby się niejeden, co nawet dla zbawienia duszy nie mógłby położyć monety na szynkwasię. Atoli nawet ci goście byli swobodni (jak gdyby mogli zamawiać wino baryłkami) i przesuając się z kąta w kąt i z zydel na zydel pili łakomie słowa miast wina.

Mimo niezwykłego napływu, klienteli gospodarz był niewidoczny. Zapewne nie dziwiło to starych bywalców, gdyż nikt z przeitępujących próg nie rozglądał się za nim i nie pytał o niego. Nikt nie dziwił się, że Madame Defarge sama prezyduje za ladą i doglądając szynkowania wina siedzi nad drewnianą miseczką pełną małych monet równie wytartych i niepodobnych do tego, czym niegdyś były, jak ludzie, co dobywali je z podartych kieszeni.

Ogólne przygnębienie i brak zainteresowania czymkolwiek nie mogły chyba ujść uwadze szpiegów, którzy zaglądali przez okna do winiarni, podobnie jak zaglądali wszędzie poczynając od pałacu królewskiego a kończąc na celi skazańca. Gra w karty szła ospale. Amatorzy domina budowali piramidki z wyszczerbionych kamieni. Pijący rysowali coś na stołach palcami zwilżonymi w uronionych kroplach wina. Nawet sama Madame Defarge obrysowywała wykałaczką deseń na swoim rękawie, a miała przy tym minę tak roztargnioną, jak gdyby słuchała bardzo dalekich głosów lub oglądała bardzo dalekie widoki niedostępne dla zwykłych uszu i oczu.

Oto jak przez wiele godzin zachowywał się przy winie Święty Antoni. Dopiero w samo południe na jego uliczkach pojawili się dwaj zdrożeni mężczyźni i szybko przeszli pod chwiejącymi się latarniami. Jednym z nich był Monsieur Defarge, drugim — mały dróżnik w szafirowej czapce. Zmęczeni, pokryci kurzem, spragnieni przestąpili razem próg winiarni. To przybycie roznieciło widocznie płomień w piersiach Świętego Antoniego, gdyż po drodze niemal we wszystkich domach i niemal przed wszystkimi drzwiami gorzały na ich widok twarze i oczy. Nikt wszakże nie spieszył ich śladem i nikt nie odezwał się słowem, gdy weszli do winiarni, chociaż przywarły do nich wszystkie spojrzenia.

— Witam panów — przemówił Monsieur Defarge.

Na ten znak rozwiązały się nagle wszystkie języki i liczny chór odpowiedział:

— Dzień dobry.

— Nie taki znów dobry, proszę panów. Pogoda coś kiepska — odparł gospodarz kręcąc głową.

Wszyscy spojrzeli po sąsiadach, spuścili wzrok i znowu umilkli. Tylko jeden z gości wstał i wyszedł.

— Żono — powiedział głośno szynkarz zwracając się do Madame Defarge. — Wiele mil przewędrowałem w towarzystwie tego zacnego dróżnika. Na imię ma Jakub. Spotkaliśmy się

przypadkiem o mniej więcej półtora dnia drogi od Paryża, To bardzo porządny człowiek. Jest dróżnikiem. Na imię ma Jakub. Daj mu się napić, żono.

Drugi gość wstał i wyszedł. Madame Defarge nalała miarkę wina dla dróżnika imieniem Jakub, który uchylił czapki, aby pozdrowić kompanię, i zabrał się do picia. Za pazuchą przyniósł kromkę czerstwego czarnego chleba. Dobył ją teraz i żuł łakomie między łykami. Posilając się tak jadłem i napojem siedział bez słowa w pobliżu stałego miejsca pani gospodyni.

Trzeci gość wstał i wyszedł.

Defarge przepłukał gardło sporym haustem, wypił jednak mniej niż dróżnik, gdyż dla niego wino nie stanowiło rzadkości. Następnie stał bez ruchu i czekał, aż wieśniak upora się ze śniadaniem. Nie patrzył teraz na nikogo i na niego nie patrzył nikt — nawet Madame Defarge, która wzięła do rąk druty i pilnie zajęła się robotą.

— Pokrzepiłeś się, przyjacielu? — zapytał w stosownej chwili.

— Tak, tak... Dziękuję.

— No, to idziemy. Musisz obejrzyć pokój, który, jak już mówiłem, mam do wynajęcia. Na pewno przypadnie ci do gustu.

Z winiarni przeszli na ulicę, z ulicy na podwórko, z podwórka na schody, ze schodów na poddasze, gdzie dawnymi laty pochylony nad niską ławą starzec pracowicie szył buty. Zastali tam jednak nie siwowłosego szewca, lecz trzech mężczyzn, którzy jeden po drugim opuścili winiarnię. Ludzi tych łączyło z siwowłosym szewcem jedno kruche ogniwo — to mianowicie, że niegdyś przyglądali mu się przez szpary i szczeliny w ścianie.

Gospodarz troskliwie zamknął drzwi i odezwał się stłumionym głosem:

— Jakubie Pierwszy, Jakubie Drugi, Jakubie Trzeci. Oto świadek, którego stosownie do umowy spotkałem ja, Jakub Czwarty. On opowie nam wszystko. Mów, Jakubie Piąty!

Dróżnik otarł swoją szafirową czapkę spocone i ogorzale czoło i zapytał:

— Odkąd mam zacząć, panie gospodarzu?

— Najlepiej zacznij od początku — odrzekł nie bez logiki Monsieur Defarge.

— Otóż, proszę panów — jął mówić dróżnik — widziałem go zeszłego lata, mniej więcej rok temu, pod kolasa pana markiza. Wisiał na łańcuchach hamulca. Proszę posłuchać, jak to było. Ja skończyłem robotę na gościńcu. Słońce zachodziło. Kolasa pana markiza z trudem pięła się pod górę, a on wisiał na łańcuchach hamulca. O, tak!

Jeszcze raz powtórzył pantominę, w której wyspecjalizował się niewątpliwie, gdyż przez okrągły rok niezawodnie bawił w ten sposób całą rodzinną wioskę.

Głos zabrał Jakub Pierwszy pytając, czy dróżnik widział już wprzód tamtego człowieka.

— Nie — odrzekł zagadnięty wracając do pozycji pionowej. — Nigdy go nie widziałem.

— A zatem jak poznałeś go później? — wtrącił z kolei Jakub Trzeci,

— Po wysokim wzroście — odpowiedział wieśniak skrobiąc się w koniec nosa. — Już tamtego wieczora, kiedy pan markiz zapytał, jak ów człowiek wyglądał, rzekłem: „Wysoki niby widmo”.

— Należało rzec: niski niby karzeł — obruszył się Jakub Drugi.

— Nie wiedziałem przecież, o co chodzi! Tamten człowiek nie dokonał jeszcze swego czynu ani nie zwierzał mi się z niczym. Posłuchajcie! Nawet nic nie wiedząc, nie rwałem się na świadka. Stałem koło fontanny, a pan markiz pokazał mi palcem i rozkazał: „Hej! Sprowadźcie do mnie tego hultaja!” Sam się nie chwaliłem. Słowo daję, proszę panów.

— On ma słuszość — mruknął z cicha Defarge. — Mów dalej, przyjacielu.

— Dobrze — podjął dróżnik z tajemniczą miną. — Ten wysoki mężczyzna przepadł bez śladu. Szukano go długo. Może dziewięć miesięcy, może dziesięć albo jedenaste?

— Nie chodzi o dokładną liczbę — wtrącił gospodarz. — Ukrył się dobrze, ale, niestety, znaleziono go w końcu. Mów dalej.

— Pewnego dnia znów pracowałem na gościńcu i słońce znów zachodziło. Skończyłem robotę, zebrałem narzędzia i zacząłem schodzić do swojej chaty. W wiosce na dole było już prawie ciemno. Nagle odwróciłem wzrok i na grzbiecie wzgórza zobaczyłem sześciu żołnierzy. Między nimi szedł bardzo wysoki mężczyzna. Ręce miał w pętach, przywiązane do boków. O, tak! — posługując się nieodzowną czapką zademonstrował, jak więzień miał łokcie przykrępowane do bioder sznurem związanym z tyłu na węzeł.

— Stałem na przydrożku koło przyzmy kamieni, bo chciałem popatrzeć na żołnierzy i aresztanta. Proszę panów, pracuję na odludnej drodze. Rzadko jest tam coś do widzenia. Z początku widziałem tylko sześciu żołnierzy a między nimi bardzo wysokiego mężczyznę. Wydawali mi się czarni, ale od strony słońca byli zabarwieni na czerwono. Zbliżali się. Ich cienie długie jak cienie olbrzymów kładły się na stromym stoku. Dokładnie to widziałem. Widziałem także, że są pokryci kurzem i podnoszą tumany kurzu, jak maszerują raz—dwa, raz—dwa! Ale jak mnie mijali, poznałem wysokiego mężczyznę i on mnie poznał. Ojej! Chętnie skoczyłby w krzaki na zboczu wzgórza, jak tamtego wieczora, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, prawie w tym samym miejscu.

Dróżnik opowiadał żywo, jak gdyby oglądał scenę mocno wyrytą w wyobraźni. Zapewne bardzo niewiele widział w życiu.

— Nie zdradziłem przed żołnierzami, że poznaję wysokiego mężczyznę, ani on nie zdradził, że mnie poznaje. Ale poznaliśmy się! Na pewno. I powiedzieliśmy to sobie oczami. Z grzbietu wzgórza komendant patrolu pokazał żołnierzom wioskę w dole i mówi: „No, chłopcy, prędzej pogońmy łajdaka do grobu!” Pogonili go, a ja zbiegłem za nimi. Miał ręce spuchnięte, bo był za ciasno związany. Jego drewniaki były niezdarne i ciężkie. Kulał i nic mógł pospieszyć, więc żołnierze pchali go strzelbami. O, tak! — obrazowo zademonstrował ruchy człowieka popędzanego, z tyłu kolbami muszkietów.

— Jak banda wariatów zbiegli ze wzgórza. Na samym dole on upadł. Ze śmiechem dźwignęli go z ziemi. Twarz miał okrwawioną, umazaną piachem. Nie mógł jej obetrzeć, więc znów śmieli się z niego. Potem zawiedli go do wioski i cała wioska wyległa, aby popatrzeć, co się dzieje. Przeprowadzili go koło młyna i znów na górę, do więzienia. Cała wioska widziała, jak w ciemności odemknęła się więzienna brama i połknęła go. O, tak! — jak najszerzej rozdziawił usta i zamknął je szcękając głośno zębami.

— Mów dalej, Jakubie — odezwał się Defarge, gdy spostrzegł, że wieśniak nie chce zepsuć efektu ponownym otwarciem ust.

Dróżnik postąpił kilka kroków na palcach i ciągnął stłumionym, tajemniczym głosem:

— Cała wioska zbiera się cichcem przy fontannie, szepce, nasłuchuje. Potem ludzie rozchodzą się do chałup, idą spać i wszyscy śnią o tym biedaku za więziennymi sztabami i ryglami, co z fortecy na górze wyjdzie tylko raz jeden i po to, żeby zginać. Rano wzięłem szpadel na ramię i ruszyłem do roboty. Po drodze gryzłem kromkę czarnego chleba, całe moje śniadanie. Zboczyłem trochę, bo chciałem przejść koło więzienia. I znów go zobaczyłem. Okrwawiony i umazany piachem stał wysoko nad murami w klatce z grubych żelaznych prętów. Wyglądał na świat Boży. Był skrępowany, więc nie mógł mnie pozdrowić ruchem ręki, a ja bałem się wołać. Patrzył na mnie jak człowiek martwy.

Czterej słuchacze posępnie spojrzeli po sobie. Miny mieli zaciekle, mściwe. Na poddaszu zapanowała atmosfera tajemnicza, zarazem jednak pełna godności i powagi, jak gdyby surowy trybunał słuchał opowieści wieśniaka. Jakub Pierwszy i Drugi siedzieli na starym sienniku. Brody

podparli dłońmi i nie odrywali wzroku od dróżnika. Jakub Trzeci przyklęknął za nimi na jedno kolano. Był tak samo zapatrzony, lecz nerwowo gładził palcami okolice ust i nosa. Defarge stał między trzema Jakubami i narratorem, którego umieścił w świetle pod oknem. Spoglądał to na dróżnika, to na trzech zasłuchanych przyjaciół.

— Mów dalej, Jakubie — przynaglił raz jeszcze Defarge.

— Wysoki mężczyzna spędził kilka dni w fortecy na górze, ciągle w tej samej klatce. Ludzie zerkali na niego ukradkiem, bo strasznie się bali. Ale wszyscy zadzierali wciąż głowy, patrzyli na górę i więzienie. A wieczorami, po robocie, kiedy cała wioska schodzi się na plotki koło fontanny, wszystkie twarze zwracały się w stronę więzienia. Dawniej zwracały się w stronę zajazdu pocztowego, teraz w stronę więzienia. I ludzie szeptali koło fontanny, że wysoki mężczyzna został skazany na śmierć, ale nie będzie stracony. Podobno w Paryżu złożono petycją wywodzącą jas' no, że on oszalał z rozpaczy po śmierci dziecka. Podobno petycję oddano do rąk własnych samego króla. Ja tam nic nie wiem. Wszystko możliwe. Może tak było, a może i nie było.

— Posłuchaj tedy, Jakubie! — przerwał szorstko człowiek noszący to samo imię, a oznaczony numerem pierwszym, — Wiem na pewno, iż petycję doręczono królowi i królowej. Wszyscy obecni tutaj, z wyjątkiem ciebie, widzieli, jak król brał ów papier w rękę. Było to na ulicy. Król siedział w karocy obok królowej. Defarge... Przyjrzyj mu się, Jakubie... Z narażeniem życia rzucił się przed konie i własnoręcznie podał petycję królowi.

— I słuchaj dalej — przejął głos numer trzeci, który nadal gładził palcami okolice ust i nosa, a minę miał tak chciwą, jak gdyby łaknął i pragnął czegoś, co nie jest jadłem ni napojem. — Straż piesza i konna otoczyła petenta. Jęła go okładać. Rozumiesz?

— Rozumiem, panie.

— Mów dalej — powiedział Defarge.

— Ale inni ludzie szeptali przy fontannie — ciągnął wymowny wieśniak — że wysokiego mężczyznę sprowadzono w nasze strony po to, by stracić go na miejscu zbrodni, a zatem egzekucja musi się odbyć. Szeptali nawet, że on zamordował dziedzica, a dziedzic, to przecież ojciec swoich poddanych czy niewolników (możecie nas nazywać, jak się wam podoba). Dlatego wysoki mężczyzna zginie śmiercią ojcobójcy. Jeden starzec opowiadał przy fontannie, że najprzód prawa ręka skazańca uzbrojona w nóż będzie spalona w jego oczach. Potem kat robi mu rany na udach, piersiach i ramionach i do tych ran będzie lał wrzącą oliwę, roztopiony ołów, gorącą smołę, wosk i siarkę. A wreszcie okaleczony tak; nieborak zostanie rozerwany przez cztery krzepkie konie. Podobno w taki właśnie sposób uśmiercono niegdyś człowieka, który dokonał zamachu na życie ostatniego króla, Ludwika Piętnastego. Ja nie wiem, czy ów starzec mówił prawdę, czy kłamał. Nie jestem uczony.

— Jeszcze raz posłuchaj mnie, Jakubie — wtrącił znowu mężczyzna o niespokojnych rękach i wygłodniałej twarzy. — Ów skazaniec nazywał się Damiens. Wszystkiego, o czym mówiłeś, dokonano w biały dzień, na publicznym miejscu w Paryżu. W tłumie, który przyglądał się kaźni, najbardziej godne uwagi było grono daim wytwornych i szlachetnie urodzonych. Te patrzyły ciekawie, łakomie i wytrzymały do końca... Rozumiesz, Jakubie? Do końca! Była już noc. Damiena utracił obie nogi i jedną rękę, ale oddychał jeszcze. A działo się to... Ile masz lat, Jakubie?

— Trzydzieści pięć — odparł dróżnik, który wyglądał na sześćdziesiąt.

— Działo się to, kiedy miałeś dziesięć lat z górą. Mogłeś to widzieć.

— Dosyć! — przerwał posępnie gospodarz. — Niech żyje Szatan! Mów dalej, Jakubie.

— No i ci szeptali tak, tamci inaczej, ale wszyscy tylko o jednym. Nawet fontanna zdawała się szemrać do taktu. Aż jednej niedzielnej nocy, kiedy cała wioska spała, przyszli z więzienia żołnierze.

Stanęli szeregiem i kolby zastukały o bruk naszej uliczki. Robotnicy kopali, robotnicy tłukli młotkami, a żołnierze śmieli się i śpiewali. A z rana koło fontanny stała szubienica wysoka na czterdzieści stóp. Stała koło fontanny po to, żeby zatruwać później wodę — podniósł wzrok, spojrzął raczej przez sufit niż na sufit i wskazał w górę, jak gdyby widział na tle nieba urojoną wysoką szubienicę. — Cała praca ustała. Wszyscy zebrali się koło fontanny. Nikt nie wyganiał krów na pastwiska. Krowy stały pośrodku wioski między ludźmi. W samo południe odezwały się bębny. Widocznie nocą przyszli do więzienia nowi żołnierze, bo skazańca otaczało teraz wielkie wojsko. Był w pętach, jak wprzód, a w ustach miał knebel związany na szyi mocnym szpagatem. A wyglądało to, jak gdyby skazaniec śmiał się przez cały czas. O, tak... — wsunął kciuki do ust i rozciągnął je mocno, prawie od ucha do ucha. — Na szczycie szubienicy tkwił nóż zwrócony ostrzem ku górze i wskazujący niebo. Wysokiego mężczyznę powieszono i zostawiono wisielca o czterdzieści stóp nad fontanną, żeby zatruwał wodę.

Słuchacze spojrzeli po sobie, gdy dróżnik ocierał szafirową czapeczką twarz, która na okropne wspomnienie pokryła się znów kroplami potu.

— To straszne, proszę panów! Jak kobiety i dzieci mają teraz czerpać wodą? Kto odważy się plotkować wieczorem pod takim cieniem? Pod cieniem! Źle się wyraziłem. Kiedy w poniedziałek opuszczałem wioskę i obejrzałem się ze szczytu wzgórza, słońce zachodziło. Ten cień przecinał kościół, młyn, więzienie. Kładł się na całej okolicy aż do miejsca, gdzie niebiosa stykają się z ziemią!

Człowiek głodny i spragniony łakomie przygryzł palec, który dygotał od ognia wewnętrznej pasji. Posępnym wzrokiem zmierzył wszystkich obecnych na poddaszu.

— To będzie wszystko, proszę panów — ciągnął dróżnik. — Jak mi przykazano, w poniedziałek pod wieczór wyszedłem z domu. Wędrowałem całą noc i pół dnia następnego, aż spotkałem tego towarzysza na wyznaczonym miejscu. Razem z nim szliśmy trochę, a trochę jechaliśmy wczoraj do wieczora i przez ostatnią noc i oto stoję przed wami.

Zapadła grobowa cisza.

— Postępowałeś rozsądnie — odezwał się wreszcie Jakub Pierwszy — i wiernie nam wszystko powtórzyłeś. Może teraz poczekasz za drzwiami.

— Chętnie poczekam — zgodził się wieśniak.

Defarge odprowadził go i usadowił na ostatnim stopniu schodów, a kiedy wrócił, trzech Jakubowie stali pośrodku izby. Niemal stykali się głowami. Szeptem wiedli rozmowę.

— I co powiesz, Jakubie? — zapytał numer pierwszy. — Trzeba zarejestrować?

— Tak! Na śmierć i zniszczenie! — odparł Defarge.

— Brawo! — zakrakał człowiek zgłodniały.

— Cały przeklęty ród i zamek?

— Cały przeklęty ród i zamek — powtórzył gospodarz. — Na śmierć i zniszczenie!

— Brawo! — zakrakał znowu człowiek zgłodniały i łakomie przygryzł drugi palec.

— Czy jesteś pewien — zwrócił się Jakub Drugi do szynkarza — że z naszej metody prowadzenia rejestrów nie wynikną kłopoty? Oczywiście rejestry są bezpieczne, nikt ich nie rozszyfruje. Ale czy my potrafimy w przyszłości wszystko rozszyfrować albo raczej czy ona potrafi?

— Jakubie — odrzekł Defarge prostując się dumnie — gdyby moja żona przyrzekła zachować nasze rejestry jedynie w pamięci, nie uroniłaby ani słowa, ani sylaby. Tym bardziej będą dla niej zawsze jasne jak słońce, skoro są dziane na drutach jej ręką i jej symbolami. Ufajcie Madame Defarge. Największemu tchórzowi na świecie łatwiej byłoby wymazać się własnoręcznie z listy żyjących, niż usunąć bodaj jedną literę swego nazwiska lub swoich zbrodni z rejestrów

sporządzonych na drutach przez Madame Defarge!

Odpowiedzią był pomruk zadowolenia i uznania.

— Tego wieśniaka trzeba szybko odprawić do domu. Jest bardzo prostoduszny i przez to może stać się niebezpieczny — powiedział po chwili człowiek zgłodniały. — Co wy na to?

— On nic nie wie — odparł gospodarz — a w każdym razie nic takiego, co może wynieść na szubienicę czterdzieści stóp wysoką. Biorę go na siebie. Niechaj u mnie zostanie. Zaopiekuję się nim, a później wyprawię w drogę. Pragnie obejrzeć wielki świat: króla, królową, dwór. Trzeba mu to pokazać w niedzielę.

— Co?! — wybuchnął człowiek zgłodniały. — Pragnie zobaczyć monarszą parę i arystokratów? To mi się podoba!

— Jakubie — rzekł Defarge. — Kotce musisz pokazać mleko, jeżeli chcesz, by nabrała na nie chęci. Psu musisz pokazać zwierzynę, jeżeli chcesz, by tropił ją w stosownej chwili. Tak postępuje człowiek rozumny.

Poufna konferencja dobiegła końca. Dróżnik drzemał w najlepsze na schodach, a kiedy poradzono mu, by legł na sienniku i odpoczął trochę, posłuchał bez protestów i prędko usnął.

Biedny niewolnik z zapadłej prowincji łatwo mógł trafić w Paryżu do kwatery nieporównanie gorszej niż winiarnia Monsieur Defarge'a. Wieśniak pędził tam życie nowe i nader miłe i czułby się wybornie, gdyby nie zabobonny lęk przed gospodynią, który prześladował go nieustannie. Madame Defarge siedziała cały dzień za ladą i ostentacyjnie nie dostrzegała obecności gościa, jak gdyby ów nie miał i nie mógł mieć nic wspólnego z czymkolwiek, co dzieje się pod powierzchnią spraw codziennych. Cóż dziwnego, że niepozorny człeczyna drętwiał z przerażenia, ilekroć zwrócił wzrok w kierunku milczącej damy. Rozumiał, iż niepodobna przewidzieć, co Madame Defarge może zacząć udawać za chwilę. Jeżeli na przykład w jej bogato przystrojonej głowie zaświta myśl, że należy udawać, iż widziała, jak on dopuścił się morderstwa, następnie zaś obłupił swoją ofiarę ze skóry, na pewno będzie prowadzić niezawodną grę aż do zakończenia partii.

Dlatego dróżnik nie był oczarowany (choć głośno wyrażał zadowolenie), gdy w niedzielę dowiedział się, że Madame Defarge będzie towarzyszyć do Wersalu jemu i swojemu małżonkowi. Na domiar złego Madame milczała i pilnie robiła na drutach przez całą drogę w omnibusie, na miejscu zaś nie przestała pracować nawet w tłumie oczekującym po południu na przejazd królewskich karoc.

— Ciężko pani pracuje — zagadnął Madame Defarge jakiś stojący obok niej mężczyzna.

— Tak. Mam wiele roboty.

— A co pani robi?

— Ach, rozmaite rzeczy.

— Na przykład?

— Na przykład — odrzekła chłodno Madame — całuny. Nieznajomy odsunął się przy pierwszej sposobności, a dróżnik

poczuł nagle, że szafirowa czapka bardzo mu ciąży i boleśnie ugniata czoło. Jeżeli dla odzyskania równowagi potrzebował widoku króla i królowej, szczęście mu dopisało, gdyż lek znalazł się na zawołanie. Niebawem król o wydatnej szczęce i królowa o urodziwej twarzy nadjechali pozłocistą karocą w olśniewającej asyście ekwipaży dworskich i dworu. Było to takie mnóstwo roześmianych dam i wspaniałych panów, klejnotów, jedwabi, pudru, wymuskanych postaci i pięknych godnie— pogardliwych twarzy płci obojga, że biedny wieśniak pławił się w przepychu i niby opętany wiwatował na cześć króla, królowej, wszystkich i wszystkiego, jak gdyby nigdy nie słyszał o Jakubach wszędzie obecnych w jego kraju i epoce. Potem były ogrody, dziedzińce, fontanny, tarasy,

zielone gazony i znowu król i królowa, i dwór, i piękne damy, i okazali panowie, i wiwaty, wiwaty, wiwaty! Biedny wieśniak płakał, zalewał się łzami entuzjazmu. Podczas tych scen, które trwały co najmniej trzy godziny, tak wiele krzyczał, szlochał i klaskał, że Defarge musiał trzymać go za kołnierz, jak gdyby się obawiał, że prostak rzuci się na przedmioty chwilowej adoracji i poszarpie je w strzępy.

Kiedy wszystko dobiegło końca, szynkarz klepnął protegowanego po ramieniu.

— Brawo! — powiedział. — Chwat z ciebie, przyjacielu!

Dróżnik wracał stopniowo do przytomności i zaczynał podejrzewać, że jego niedawne demonstracje były po trosze nie na miejscu. Okazało się jednak, iż nie popełnił błędu.

— Potrzeba nam takich ludzi — ciągnął szeptem Defarge. — Dzięki nim tamci durnie nabierają wiary, że ich świat przetrwa wieki. Pozwalają sobie na coraz więcej i w rezultacie szybciej zacierają do kresu.

— Hm — mruknął po namyśle dróżnik. — To święta prawda.

— Ci durnie nic nie rozumieją — ciągnął Defarge. — Gardzą tobą i twoim życiem. Woleliby uśmiercić ciebie i stu tobie podobnych, niż stracić bodaj jednego psa czy sokoła. Widzą tylko pozory. Zwodzisz ich i dobrze czynisz. To oszukaństwo niedługo już potrwa.

Madame Defarge zerknęła spod oka na gościa i twierdząco skinęła głową.

— Jeżeli o ciebie chodzi — rzekła — to krzyczałbyś i płakał na widok wszystkiego, co kolorowe i robi wiele hałasu. Powiedz, czy nie mam racji?

— Tak mi się widzi, proszę pani.

— Gdyby dano ci stos lalek i powiedziano, że dla własnej przyjemności możesz je niszczyć i rozdzierać na sztuki, wybierałbyś najprzód najokazalsze i najpiękniej ubrane. Powiedz, czy nie mam racji?

— Tak mi się widzi, proszę pani.

— Aha. A gdyby pokazano ci stado niezdolnego do lotu ptactwa i powiedziano, że dla rozrywki możesz skubać, które zechcesz, wybierałbyś najprzód ptaki o najpiękniejszych piórach, i prawda?

— Tak mi się widzi, proszę pani.

— A więc dzisiaj oglądałeś lalki i ptaki — Madame Defarge wskazała ręką miejsce, gdzie ostatnio dwór ukazał się ludowi. — Teraz wracaj do domu.

ROZDZIAŁ XVI

DALSZA ROBOTA NA DRUTACH

Madame Defarge i jej małżonek zgodnie wracali na łono Świętego Antoniego. W tym czasie plamka szafirowej czapki sunęła wolno przez mroki i tumany kurzu i pochłaniając znojne mile zmierzała w stronę punktu na mapie, gdzie zamek nieboszczyka pana markiza stał dumnie zasłuchany w szepty liści. Kamienne twarze miały obecnie wiele czasu na słuchanie drzew i fontanny, a pośród wiejskich strachów na wróble, które szukając jadalnych ziół i spróchniałych gałązek na opał trafiały czasem w niedalekie sąsiedztwo kamiennego dziedzińca i schodów uwieńczonych tarasem, krążyły pogłoski, że od niejakiego czasu kamienne twarze odmieniają wyraz. Być *może* były to jedynie złudy wyobraźni głodomorów, w każdym razie mówiono, iż w momencie, gdy nóż mordercy sięgnął celu, ból i gniew zastąpiły dumę na tych licach. Powiadano, że w chwili, gdy wisielec zadyndał czterdzieści stóp nad fontanną, kamienne oblicza przybrały okrutny wyraz nasyczonej zemsty, który miał tam pozostać na zawsze. Najwięcej zainteresowania budziła kamienna twarz nad oknem sypialnej komnaty, w której dokonano zbrodni. Na rzeźbionym nosie tej twarzy ludzie pokazywali dwa wyraźne zagłębienia; poznawali je wszyscy, a dawniej nikt ich nigdy nie dostrzegał. Czasami paru obdartych wieśniaków wyłaniało się z zarośli, aby popatrzeć na obróconego w kamień nieboszczyka jaśnie pana. Ilekroć jednak czyjś kościsty palec wskazał dostojne oblicze, gapie czmychali z powrotem między mchy i paprocie na podobieństwo szczęśliwszych od siebie zajęcy, które bez trudu znajdowały w parku pożywienie.

Zamek i wiejskie rudery, kamienna twarz i wisielec na szubienicy, szkarłatna plama pośrodku zamkowej posadzki i czysta woda w wioskowej studni, tysiące akrów pól, cała prowincja Francji, cała Francja leżała pod nocnym niebem znikoma niby linia nie grubsza od włosa. Podobnie ziemia ze wszystkim, co na niej wielkie i małe, mieściła się dla wszechświata na skromnej mrugającej gwiazdzie. Jak ułomna wiedza człowieka potrafi rozszczepić promień światła i przeanalizować jego składniki, tak wyższa inteligencja umie odcyfrować z nikłego blasku naszej ziemi wszystkie myśli i uczynki, wszystkie cnoty i grzechy każdej zamieszkującej tę planetę rozumnej istoty.

Małżonkowie Defarge odbywali podróż pod migotliwymi gwiazdami, a ich rozklekotany dyliżans zmierzał naturalnymi rzeczy porządkiem do tej bramy Paryża, przez którą wiodła jego droga. U roгатki nastąpił jak zwykle postój; z wartowni wyległy latarnie i odbyła się normalna kontrola nieco podobna do śledztwa. Monsieur Defarge wysiadł, bo znał paru żołnierzy, a z jednym policjantem musiał być w przyjaźni, gdyż uściskał go serdecznie.

Małżonkowie Defarge opuścili omnibus w pobliżu granic swojego przedmieścia, a Święty Antoni otulił ich wnet skrzydłami mroku. Kiedy szli dalej szukając drogi pośród czarnego błota i śmieci zalegających ulice, Madame zwróciła się do męża:

— Ciekawam, mój drogi, co ci rzekł Jakub z policji?

— Niewiele, ale wszystko, co było mu wiadome. Do naszej dzielnicy przydzielono nowego szpiega. Naturalnie może ich być więcej, lecz on słyszał tylko o jednym.

— Aha. Trzeba go zarejestrować — powiedziała kobieta rzeczowym tonem. — Jak się ten człowiek zowie?

— To Anglik.

— Tym bardziej. Jego nazwisko?

— Barsad — szynkarz użył zrazu francuskiej wymowy, lecz zależało mu widocznie na dokładności, gdyż powtórzył nazwisko wyraźnie i litera po literze.

— Barsad. Doskonale. Jak mu na imię? — zapytała Madame.

— John.

— John Barsad — powtórzyła dobitnie. — John Barsad... Doskonale... Wiadomo, jak wygląda?

— Wiek około czterdziestki. Wzrost mniej więcej pięć stóp i dziewięć cali. Brunet. Smağła cera. Raczej przystojny. Oczy ciemne. Twarz pociągła, chuda. Policzki zapadnięte. Nos orli, trochę skrzywiony w lewo, co nadaje rysom wyraz ponury.

— Słowo daję! — roześmiała się Madame. — Dokładny wizerunek! Jutro szpieg zostanie zarejestrowany.

Była północ, gdy małżonkowie weszli do zamkniętej już winiarni. Madame zajęła niezwłocznie posterunek za ladą. Przeliczyła drobne monety, co wpłynęły podczas nieobecności gospodarzy, sprawdziła stan zapasów, wniosła kilka pozycji do księgi, zrobiła jakieś swoje własne zapiski i wypytawszy o wszystko posługacza odprawiła go na spoczynek. Następnie wysypała na ladę zawartość drewnianej miseczki, przeliczyła raz jeszcze i dla bezpiecznego przechowania na noc poczęła wiązać monety w swoją chustkę do nosa — każdą w osobny supełek. Przez cały czas Defarge z fajką w zębach spacerował po salce i podziwiając małżonkę nie wtrącał się do niczego. Prawdę rzekłszy w bardzo zbliżony sposób spacerował przez życie ogarniające wszystkie jego sprawy handlowe i rodzinne.

Noc był ciepła, toteż winiarnia — zamknięta na głucho i położona w niechlujnym sąsiedztwie — cuchnęła nieznośnie. Defarge nie odznaczał się wrażliwym powonieniem, lecz zapasy wina miały zapach nieporównanie silniejszy od smaku, co tyczyło również zapasów rumu, koniaku i anyżówki. Odkładając wypaloną fajkę szynkarz machnął ręką, jak gdyby chciał rozproszyć zjadliwe odory.

— Zmęczony jesteś — powiedziała kobieta wiążąc w supełek monetę. — Śmierdzi nie bardziej niż zwykle.

— Istotnie — przyznał. — Jestem trochę zmęczony.

— I przygnębiony — podjęła kobieta, która wszystko obserwowała, chociaż na pozór zajęta była wyłącznie rachunkami. — Oj, mężczyźni, mężczyźni!

— Ależ, moja droga... — zaczął Defarge.

— Ależ, moja droga! — powtórzyła stanowczym tonem. — Ależ, moja droga! Wiem. Serce w tobie upada. Prawda, mężu?

— Cóż... Widzisz... — zająknął się, lecz zaraz dodał energicznie, jak gdyby myśl wydarto mu przemocą z serca. — Tak długo trzeba czekać!

— Tak długo! — powtórzyła znów żona. — A na cóż nie trzeba długo czekać? Zemsta i słuszną nagrodą wymagają wiele czasu. Takie jest przyrodzone prawo.

— Niewiele czasu wymaga zmiążdżenie człowieka piorunem — mruknął Defarge.

— Ale powiedz mi, jak długo trzeba przygotowywać i przechowywać piorun? — zapytała spokojnie.

Mężczyzna w zadumie pokiwał głową, — jak gdyby przyznawał, że ostatnie zdanie zawiera nieco sensu.

— Trzęsienie ziemi szybko połyka miasto — ciągnęła Madame. — Ale powiedz mi, ile trzeba czasu, aby przygotować trzęsienie ziemi?

— Nie wiem. Chyba bardzo dużo.

— Widzisz! Trzęsienie ziemi przychodzi, jak jest gotowe. Wtedy niszczy i druzgoce wszystko. A poprzednio sposobi się stale, chociaż tego zgoła nie widać. Oto nasza pociecha! Korzystaj z niej, mężu.

Szybko zawiązała supeł. Wzrok jej gorzał. Zdawać się mogło, iż dusi wroga.

— Powiadam ci — ciągnęła podnosząc prawą rękę, aby słowom swoim dodać wymowy — że TO jest długo w drodze, ale jest w drodze i nadchodzi. Nie cofa się nigdy i nigdy nie przystaje. Wciąż postępuje naprzód. Możesz mi wierzyć. Spójrz wokół. Zastanów się nad życiem znajomego nam świata, przebiegnij wzrokiem twarzę znajomego nam świata, pomyśl o gniewie i rozgoryczeniu, do którego jakobinizm odwołuje się śmieiej i pewniej z godziny na godzinę. Czy taki stan może trwać wiecznie? Nie! Nie bądź śmieszny.

— Moja dzielna żono — powiedział Defarge stając przed Madame z głową przechyloną nieco i rękami splecionymi za sobą, niby posłuszny uczeń przed mistrzem — tego wszystkiego nie kwestionuję. Ale, widzisz, przygotowania mogą potrwać tak długo i tyle pochłonąć czasu, że... że nic nie dopełni się za naszego życia.

— I cóż z tego? — rzuciła Madame wiążąc znów supeł, jak gdyby dusiła drugiego nieprzyjaciela.

— Widzisz — podjął mężczyzna żalonym i przepraszającym łonem — nie doczekamy triumfu.

— Ale się do niego przyczynimy! — zawołała Madame znów wznosząc prawą rękę. — Niczego nie czynimy na darmo. Wierzę w głębi duszy, iż triumfu doczekamy. Lecz gdyby nawet miało być inaczej, gdybym na pewno wiedziała, że będzie inaczej, pokaż mi arystokratę i tyrana, a już ja go... — urwała i zacisnęła zęby wiążąc naprawdę przerażający supeł.

— Dosyć! — zawołał Defarge i zarumienił się lekko, jak gdyby zarzucono mu tchórzostwo. — Ja też nie cofnę się przed niczym. Wiem. Twoja słabość polega na tym, że niekiedy musisz zobaczyć sposobność do pomsty. Musisz zobaczyć ofiarę, aby utrzymać się w mocy. Utrzymuj się w mocy bez tego. Gdy czas nadejdzie, puść na swobodę tygrysa i diabła. Ale czekając nie uwalniaj ich z więzów. Niechaj będą niewidoczni, chociaż gotowi! Zawsze gotowi!

Madame Defarge zakończyła swoją naukę uderzając łańcuchem monet o ladę tak mocno, jak by chciała roztrzaskać komuś głowę. Potem wzięła ciężką chustkę pod pachę i z godnością oznajmiła, że pora iść do łóżka.

Nazajutrz koło południa godna podziwu niewiasta siedziała na swoim zwykłym miejscu w winiarni i pilnie robiła na drutach. Od czasu do czasu zerknęła na leżącą pod ręką różę, lecz nie traciła przy tym skupionej, obojętnej miny. Klientów było niewielu. Kilku mężczyzn siedziało albo stało w rozmaitych punktach salki. Jedni pili, inni poprzestawali na niczym. Dzień był upalny. Hordy much wędrowały po ladzie. Niektóre zaglądały ciekawie do lepkich od spirytualii kieliszków stojących w pobliżu Madame i martwe padały na dno. Zgon ich nie działał na inne muchy, które, póki nie przyszła na nie kolej, spacerowały beztrąsko i chłodno spoglądały na trupy, jak gdyby każda z nich była słoniem lub czymś równie do muchy niepodobnym. Ciekawej czemu muchy są takie nieopatrne? Może takie pytanie zadawano sobie w ów słoneczny letni dzień i na królewskim dworze?

Ktoś wszedł do winiarni przez otwarte drzwi i Madame Defarge zorientowała się zaraz, iż padł na nią cień człowieka obcego. Odłożyła druty i nim spojrzała na przybysza, poczęła wpinać różę w stroik, który miała na głowie.

Wówczas nastąpiło coś dziwnego. W chwili gdy gospodyni sięgnęła po różę, goście umilkli i poczęli wynosić się jeden po drugim.

— Dzień dobry pani — powiedział nieznajomy.

— Dzień dobry panu — odrzekła głośno, lecz podejmując robotę na drutach szepnęła na własny użytek: — Tak... tak... Dzień dobry. Wiek koło czterdziestki. Wzrost mniej więcej pięć stóp i dziewięć cali. Brunet. Raczej przystojny. Smągła cera. Ciemne oczy. Twarz pociągła, chuda. Policzki zapadnięte. Nos orli, trochę skrzywiony w lewo, co nadaje rysom wyraz ponury. Dzień dobry. Tak, tak... Wcale nie najgorszy.

— Madame, uprzejmie proszę o kieliszek starego koniaku i łyk świeżej chłodnej wody.

Madame układnie spełniła polecenie.

— Wyśmienity napój!

Koniak po raz pierwszy doczekał się takiej pochwały, a że Madame Defarge dobrze знаła jego rodowód, wiedziała, co o tym sądzić. Odrzekła jednak z uśmiechem, że to niezasłużony komplement, i spokojnie ujęła druty. Przez moment gość patrzył na jej palce; później korzystając z okazji począł rozglądać się po winiarni.

— Z niezwykłą wprawą posługuje się pani drutami...

— Przywykłam do tej roboty.

— I jaki śliczny wzór!

— Doprawdy? — spytała kobieta spoglądając na gościa z uśmiechem. — Panu się spodobał?

— Bardzo. Wolno zapytać, co z tego będzie?

— Pracuję raczej dla zabicia czasu — uśmiechnięta patrzyła wciąż na nieznanego, a jej palce poruszały się szparko.

— Nic będzie z pani pracy żadnego pożytku?

— To zależy. Być może kiedyś będę ją mogła wykorzystać z pożytkiem i wtedy — odetchnęła głęboko i z surową kokieterią przechyliła na bok głowę — ... i wtedy wykorzystam.

Świętemu Antoniemu stanowczo nie przypadła do gustu róża wpięta w stroik na głowie Madame Defarge. Dwaj mężczyźni weszli oddzielnie, lecz prawie jednocześnie, i omal nie zamówili już czegoś do picia, gdy uwagę ich zwróciła niecodzienna dekoracja. Wtedy zająknęli się, poczęli udawać, że szukają kogoś, kogo nie ma na salce, i opuścili winiarnię. Nie został tam już nikt z obecnych w chwili, kiedy pojawił się nieznanomy. Wszyscy zdążyli ulotnić się kolejno. Szpieg miał oczy szeroko otwarte, nie zdołał jednak wypatrzyć żadnego znaku porozumiewawczego. Licho odziani i mizerni goście wychodzili leniwie, bez pośpiechu, w sposób, któremu niepodobna było nic zarzucić.

„JOHN — myślała kobieta żywo poruszając drutami i nie odrywając wzroku od intruza. — Pomarudź jeszcze trochę, a nim się wyniesiesz, zdążą dorzucić BARSAD”.

— Ma pani męża, Madaima?

— Tak.

— I dzieci?

— Dzieci nie mam.

— Interes nietęgo chyba idzie?

— Nietęgo. Ludzie w tej dzielnicy są ubodzy.

— Właśnie! Biedni, nieszczęśliwi ludzie! Znoszą straszliwy ucisk, jak pani powiedziała.

— Jak pan powiedział — poprawiła gościa i do jego nazwiska dodała kilka ściegów nie wróżących zapewne nic dobrego.

— Stokrotnie przepraszam. Oczywiście, ja wspomniałem o ucisku. Ale na pewno wyraziłem pani myśli.

— Moje myśli! We dwoje z mężem prowadzimy tę winiarnię i bez myślenia mamy pełne ręce roboty — Madame Defarge mówiła teraz podniesionym głosem. — Myślimy tylko, żeby jakoś przeżyć. Od rana do wieczora ten temat zaprzęta nam głowy i brak nam czasu, aby kłopotać się o innych. Ja mam myśleć o innych? Nie! Nigdy!

Szpieg przybył do winiarni, by wyłować lub stworzyć jakieś okruchy wiadomości, a więc jego ponura twarz nie zdradzała rozczarowania. Z miną układnego gawędziarza stał wsparty łokciem o ladę przed gospodynią i od czasu do czasu pociągał łyk koniaku.

— Paskudna historia z tą egzekucją Gasparda. Ach! — westchnął z głębokim współczuciem. —

Biedny Gaspard!

— Po mojemu — odrzekła kobieta chłodnym i obojętnym tonem — człowiek posługujący się nożem w podobny sposób musi odpowiednio płacić. Gaspard wiedział z góry, ile kosztuje taki luksus. Uścił godziwą cenę.

— Mówiąc między nami — szpieg zniżył głos do poufnego szeptu i potoczył dokoła wzrokiem z podejrzliwością wytrawnego rewolucjonisty — jestem głęboko przekonany, że cała dzielnica żywo współczuje temu nieborakowi i oburza się z jego racji.

— Czyżby? — spytała z roztargnieniem gospodyni.

— Może się mylę?

— Oto mój mąż — powiedziała Madame.

W tej chwili szynkarz przestąpił próg, a szpieg na powitanie dotknął kapelusza i rzekł z zachęcającym uśmiechem:

— Dzień dobry, Jakubie.

Defarge zatrzymał się i bystro spojrział na nieznajomego.

— Dzień dobry, Jakubie — powtórzył szpieg mniej ciepłym tonem i z mniej pogodnym uśmiechem, bo zbił go z tropu przenikliwy wzrok gospodarza.

— Łaskawy pan się myli — powiedział nowo przybyły. — Nie mam na imię Jakub. Widocznie wziął mnie pan za kogoś innego. Jestem Ernest Defarge.

— Aa... Mniejsza o to — podjął szpieg pokrywając zmieszanie udaną beztroską. — Tak czy inaczej, dzień dobry panu.

— Dzień dobry — odrzekł bez entuzjazmu Defarge.

— Kiedy pan wchodził, miałem przyjemność gawędzić miło z szanowną małżonką. Mówiłem właśnie, że, jak mi powiadano, na Przedmieściu Świętego Antoniego szerzy się oburzenie i rozżalenie z przyczyny tego nieboraka Gasparda. Trudno się dziwić, prawda?

— Ja tam nic nie wiem. Nikt nie rozmawiał ze mną o Gaspardzie.

Szynkarz pokręcił głową, okrążył ladę, stanął za fotelem żony i położył dłonie na jego oparciu. Zza takiej barykady jął obserwować człowieka, którym brzydził się podobnie jak Madame Defarge i tak samo jak ona zastrzełiłby go z największą uciechą.

Szpieg — dobrze obeznany ze swoim fachem — nie zmienił niedbałej pozy. Bez pośpiechu wysączył do dna kieliszek, popił łykiem zimnej wody i poprosił o drugi koniak. Madame Defarge nałapała, spokojnie wzięła druty i pogrążywszy się znów w pracy zaczęła nucić z cicha.

— Wygląda na to, że zna pan dobrze naszą dzielnicę... zapewne znacznie lepiej niż ja — odezwał się gospodarz.

— Ależ skąd! — obruszył się gość. — Spodziewam się jednak, że niedługo ją poznam. Tak bardzo interesuje mnie nieszczęśliwa, uboga ludność Paryża...

— Aha — mruknął Defarge.

— Miła pogawędka z łaskawym panem — podjął szpieg — przypomina mi, że z jego nazwiskiem łączą się nader interesujące a nieobce mi fakty.

— Istotnie?

— Tak, istotnie. Kiedy doktor Manette został zwolniony, pan, jego dawny domownik, podjął się nad nim opieki. Panu wydano doktora. Jak widać, wiem to i owo.

— Rzeczywiście, fakty się zgadzają — przyznał Defarge.

Madame pilnie robiła na drutach i nuciła półgłosem, lecz przypadkowym dotknięciem łokcia i tonami piosenki potrafiła dać mężowi do zrozumienia, że odpowiadać można, ale zwięźle.

— Do pana — ciągnął szpieg — przyjechała panna Manette i z pańskiego domu zabrała ojca.

Towarzyszył jej wówczas taki schludny jegomość w brązowym surducie... Jak on się nazywał?... Miał gładko przylizaną jasną peruczkę... Aha! Lorry! Pan Lorry z Domu Bankowego Tellsonów w Londynie.

— Tak było istotnie — przyznał znowu Defarge.

— Ciekawe wspomnienia! W Anglii poznałem doktora i pannę Manette.

— Poznał pan?

— A państwo mieli ostatnio jakieś wiadomości od nich?

— Nie — odparł szynkarz.

— Prawdą mówiąc — wtrąciła Madame Defarge odrywając wzrok od roboty na drutach — w ogóle z nimi nie korespondujemy. Zawiadomili nas o szczęśliwym przybyciu do Anglii. Później był jeden list, może najwyżej dwa. Niebawem jednak oni poszli przez życie swoją drogą, my swoją, no i urwały się wszelkie stosunki.

— Rozumiem, proszę pani — zabrał znów głos nieznajomy. — Panna Manette wychodzi za mąż.

— Jak to wychodzi? — zdziwiła się gospodyni. — Była taka ładna, że dawno powinna była znaleźć konkurenta! Wygląda na to, że wy, Anglicy, jesteście jak lód zimni.

— Oo! Pani wie, że jestem Anglikiem?

— Zdradziła to pańska mowa. Jaka mowa, taki człowiek. To oczywiste.

Szpieg nie ucieszył się z tej identyfikacji, lecz zrobił dobrą minę do złej gry i roześmiał się z przymusem. Następnie pociągnął długi łyk koniaku i począł znowu mówić:

— Tak, panna Manette wychodzi za mąż, ale nie za Anglika. Jej przyszły to podobnie jak ona Francuz z urodzenia. W tej chwili przypomina mi się Gaspard. Biedaczysko! Potraktowano go tak bezlitośnie!... Otóż dziwnym zbiegiem okoliczności nasza znajoma ma poślubić bratanka tego pana markiza, dzięki któremu Gaspard zajechał tak wysoko. Krótko mówiąc, jej narzeczony to obecny markiz. Ale w Anglii mało kto wie o tym. Młody człowiek nie używa tam tytułu. Nazywa się Karol Darnay, bo d'Aulnais to nazwisko panięskie jego matki.

Madame pilnie robiła na drutach, ale nowina wywarła znaczne wrażenie na jej mężu. Stojąc za ladą starał się opanować. Dla zachowania pozorów krzesał ogień i zapalał fajkę, wszelako widać było, że jest wzburzony i nie może zaufać własnym rękóm. Szpieg nie zasługiwałby na miano szpiega, gdyby nie zauważył tych objawów i skrzętnie nie zanotował w pamięci. Był kontent, że nareszcie trafił celnie, chociaż nie wiedział jeszcze, czy coś z tego wyniknie, a ponieważ klienci nie nadchodzili, uregulował rachunek i uprzejmie państwa Defarge pożegnał wyrażając nadzieję, iż rychło będzie miał przyjemność zobaczyć ich ponownie.

Gdy wyszedł na ulicę, małżonkowie trwali przez chwilę bez ruchu, tak jak ich pozostawił, obawiali się bowiem, że może wrócić.

— To nie może być prawda — rzekł wreszcie Defarge, który stojąc za fotelem żony w skupieniu palił fajkę. — Co on naszczeakał o pannie Manette?

— Wszystko, co on naszczeakał, jest zapewne łgarstwem — odparła Madame spoglądając z dołu na męża. — Ale to może być prawda.

— Jeżeli jest tak istotnie... — szynkarz urwał i zerknął na Madame.

— Jeżeli jest tak istotnie — odpowiedziała.

— ... i jeżeli my dożyjemy triumfu, mam nadzieję, że wyroki przeznaczenia utrzymają jej męża z dala od Francji. O nią mi chodzi, nie o niego.

— Wyroki przeznaczenia zawiodą go tam, dokąd zawieść mają, i zgotują mu taki koniec, jaki mu pisany. Wiem tyle i nic więcej — rzekła Madame Defarge tonem równie spokojnym jak zwykle.

— Ale to dziwne... Tak, to bardzo dziwne — ciągnął Defarge nieśmiało, jak gdyby próbował

skłonić żonę, by podzieliła jego zdanie. — Mimo całego współczucia, jakie żywiłszy i żywimy dla jej ojca i dla niej, ty, żono, własnoręcznie umieściłaś nazwisko jej męża w swoim rejestrze tuż obok nazwiska tego piekielnego kundla, co nas przed chwilą pożegnał.

— Kiedy nadejdzie pora, zobaczysz sprawy nieporównanie dziwniejsze — obruszyła się Madame. — Tak! Mam ich obojgu tutaj. Obojgu trafili do rejestru dzięki własnym zasługom. To powinno wystarczyć.

Spokojnie złożyła robotę i nie zwlekając odpięła różę od szala spowijającego jej włosy. Święty Antoni przeczuł widać instynktownie, że niepożądana dekoracja zniknęła, albo też bacznie obserwował z ukrycia i wyczekiwał jej zniknięcia, bo natychmiast nabrał odwagi i przywrócił winiarni jej codzienny wygląd.

Wieczorami — w porze kiedy ludność przedmieścia wylęga z domów, zasiada na przedsieniach i przyzbach albo gromadzi się przy rogach brudnych uliczek i zaułków, by odetchnąć łykiem świeżego powietrza — Madame Defarge miała zwyczaj spacerować z robotą w rękę i raz po raz przechodzić z miejsca na miejsce i od grupki do grupki. Na Przedmieściu Świętego Antoniego nie brakło podobnych jej misjonarek, których oby świat nie wydal nigdy więcej! Wszystkie kobiety robiły na drutach. Robiły niepotrzebne szmaty, ponieważ mechaniczna praca może niekiedy zastąpić jadło i napitek. Zamiast szczęk i narzędzi trawienia poruszają się ręce. Gdyby kościste palce odpoczywały beczynnie, głód dokuczliwiej ścisłałby żołądki.

Atoli dłonie były w ustawicznym ruchu i w ustawicznym ruchu były oczy oraz myśli. A dłonie, oczy i myśli poruszały się nieporównanie żywiej w każdej nielicznej gromadce kobiet, przed którą Madame Defarge przystanęła, aby za chwilę odejść.

Monsieur Defarge palił fajkę przed progiem winiarni, z uwielbieniem spoglądał na żonę i szeptał do siebie:

— Silna kobieta. Wielka kobieta. Przerażająco wielka!

Mrok gęstniał, zapadała noc. Miarowo, szybko poruszały się druty. Kobiety słuchały kościelnych dzwonów i bicia w bębny na odległym dziedzińcu królewskiego pałacu. Spowijała je ciemność, a inna ciemność zbliżała się nieuchronnie — ciemność, w której dzwony dźwięczące dziś wesoło z licznych strzelistych wież kościołów Francji zostaną przetopione na grzmiące armaty, a werble żołnierskich bębnow stłumią głosy rozpacz, potężne owej nocy jak głos dostatku i mocy, wolności i samego życia. Tyle spraw mrocznych i tajemniczych spowijało zajęte robotą niewiasty, że one same poczynały otaczać nieświadomie nie zbudowaną jeszcze maszynę i poruszając wciąż drutami liczyć jedną po drugiej spadające głowy.

ROZDZIAŁ XVII

JEDNA NOC

Nigdy słońce nie zachodziło barwniej w uroczym zakątku Soho niż owego pamiętnego wieczora, gdy doktor z córką siedzieli we dwoje pod platanem. Nigdy wschodzący księżyc nie jaśniał bardziej srebrzyście nad wielkim Londynem niż owej nocy, gdy zastał ich jeszcze pod starym drzewem i przez liście opromieniał ich twarze.

Następnego dnia Lucie miała wyjść za mąż. Ostatni wieczór pragnęła poświęcić tylko ojcu, toteż we dwoje siedzieli pod platanem.

— Szczęśliwy jesteś, mój kochany ojcze? — Zupełnie, drogie dziecko.

Rozmawiali niewiele, chociaż od dawna byli razem. Gdy było jeszcze dostatecznie widno, aby haftować lub czytać, dziewczyna nie pracowała jak zazwyczaj ni nie czytała ojcu. Wiele, wiele razy robiła jedno lub drugie siedząc u jego boku na tym samym miejscu, ale ten wieczór różnił się od wszystkich dawniejszych i nic go do nich upodobnić nie mogło.

— I ja, kochany ojcze, jestem dziś bardzo szczęśliwa. Jestem szczęśliwa dzięki miłości zesłanej niby błogosławieństwo Boże: dzięki miłości mojej do Karola i Karola do mnie. Gdyby jednak od dnia jutrzejszego moje życie nie miało być nadal poświęcone tobie, gdyby moje małżeństwo miało rozłączyć nas i oddalić choćby o kilka tylko ulic, odczuwałabym srogie wyrzuty sumienia i nie potrafiłabym opisać ci mojej udręki. Nawet w obecnych warunkach...

Nawet w obecnych warunkach panna Manette nie panowała nad głosom.

Pod smutnym światłem księżycy zarzuciła ręce na szyję ojca i złożyła mu główkę na piersi... Pod światłem księżycy, które jest zawsze smutne jak światło samego słońca, jak światło zwane życiem ludzkim, co zapala się i gaśnie nie wiadomo kiedy...

— Mój najmilszy, serdeczny! Czy w ten ostatni wieczór możesz zapewnić mnie raz jeszcze, iż wierzysz, głęboko wierzysz, że moje nowe uczucia i obowiązki nie staną nigdy między nami? Ja wiem

o tym na pewno, ale czy ty wiesz również? Czy w głębi serca czujesz, że to jest niezawodne, absolutnie pewne?

— Czuję tak w głębi serca — odrzekł doktor ze stanowczością i przekonaniem, na jakie potrafił się zdobyć. — I jeszcze więcej. Zdaję sobie sprawę, iż dzięki twojemu małżeństwu, Lucie — uścisnął ją czule — moja przyszłość rysuje się nieporównanie szczęśliwiej i jaśniej, niż mogłaby... niż była kiedykolwiek dotąd.

— Ach, gdybym miała prawo uwierzyć ci, drogi, ojcze!

— Możesz mi wierzyć, Lucie. Przecież to prawda. Zastanów się tylko, jak bardzo naturalny i oczywisty musi być taki właśnie stan moich uczuć. Ty, młoda i oddana swoim obowiązkom, nie zdołasz nigdy pojąć w pełni moich obaw o to, by twoje życie nie poszło na marne...

Dziewczyna spróbowała położyć palce na ustach ojca, lecz on ujął jej dłoń w rękę i mówił dalej:

— ... na marne, drogie dziecko! By dla mnie i przeze mnie twoje życie nie zostało wyrwane z przyrodzonego porządku rzeczy. Jesteś zupełnie pozbawiona egoizmu, nie możesz zatem dokładnie zdać sobie sprawy, jak często o tym myślałem. Ale zastanów się, zapytaj własnego serca, czy moje szczęście mogłoby być doskonałe, gdyby twoje było niecałkowite.

— Gdybym nie spotkała Karola, z tobą, drogi ojcze, byłabym zupełnie szczęśliwa.

Doktor przyjął z uśmiechem to pośrednie wyznanie, iż córka byłaby z nim nieszczęśliwa, skoro już spotkała Karola.

— Drogie dziecko — podjął — stało się! Spotkałaś przyszłego męża i to był Karol. Gdybyś go nie spotkała, znalazłby się ktoś inny. A gdyby to nie nastąpiło, ja czułbym się odpowiedzialny. Wiedziałbym, że czarny okres mojego życia rozprzestrzenił się i rzucił cień także na ciebie.

Po raz pierwszy, nie licząc pamiętnego dnia procesu, Lucie usłyszała z ust ojca aluzję do jego cierpień. Przejęło ją to dziwnym, niespokojnym uczuciem, które zapamiętała dobrze i często później wspominała.

— Posłuchaj! — rzekł lekarz z Beauvais i gestem ręki wskazał księżyc. — Spoglądałem na niego przez kraty w oknie, gdy raziły mnie nawet tak nikłe promienie. Spoglądałem na niego, gdy myśl, że oświetla to, co straciłem niepowrotnie, była taką torturą, że niby szalencie tłukłem głową o więzienną ścianę. Spoglądałem na niego w stanie letargicznego otępienia, gdy mogłem zastanawiać się tylko nad tym, ile linii poziomych zdołam zmieścić na obliczu pełni i iloma pionowymi je przetnę. — Patrząc na księżyc dodał właściwym mu niekiedy głuchym, jak gdyby nie swoim głosem: — Pamiętam, w każdym kierunku mieściłem z trudem po dwadzieścia linii, bo dwudziesta przypadła już na samą krawędź tarczy.

Słuchając ojca Lucie odczuwała nadal dziwny dreszcz, który wraz z tokiem opowieści przybierał na sile. Ale opowiadanie byłego więźnia nie brzmiało nutą niepokojącą czy drażniącą. Zdawać się mogło, że doktor przeciwstawia po prostu dawną udrękę obecnej pogodzie i szczęściu.

— Spoglądając na niego — ciągnął — rozmyślałem tysiące razy o nie narodzonym dziecięciu, od którego mnie przemocą oderwano. Czy żyje? Czy żywe przyszło na świat? A może zabił je nagły wstrząs, którego doświadczyła biedna matka? Czy to jest syn, co pomści kiedyś krzywdy ojca?... Widzisz, Lucie, w ciągu lat spędzonych w więzieniu przeżyłem okres, kiedy umierałem z głodu zemsty... Czy to jest syn, co nie pozna nigdy dziejów ojca i uwierzy, być może, że ojciec przepadł z własnej ochoty i woli? Czy to jest córka, co wyrośnie kiedyś na kobietę?

Lucie mocniej przygarnęła się do ojca, pocałowała go w policzek i w rękę.

— W wyobraźni malowałem ową córkę jako osobę, co zupełnie o mnie zapomniała albo raczej nie wiedziała nigdy o ojcu, nie zdawała sobie sprawy z jego istnienia. Liczyłem lata jej życia: rok po roku, rok po roku... Widziałem ją żoną człowieka, który nic nie wie o moim losie. Stopniowo znikalem z pamięci żyjącego świata i zdawałem sobie sprawę, że w następnym pokoleniu na moim miejscu będzie biała plama.

— Ojcze! — przerwała dziewczyna. — Twoje zwierzenia, iż mogłeś w podobny sposób myśleć o córce, która nigdy nie istniała, ranią mnie tak, jak gdybym ja była owym dzieckiem.

— Ty, Lucie? Przecież tylko pociecha i opieka, jaką mi dałaś, pozwala, że powstają takie wspomnienia i krążą między nami pod księżycem w ten ostatni nasz wieczór. O czym to ja mówiłem?

— Że córka nic o tobie nie wiedziała i nie troszczyła się o twoje losy.

— Słusznie! A w inne noce księżycowe smutek i cisza działały na mnie odmiennie: przejmowały mnie dziwnie bolesnym spokojem, jak wiele uczuć zrodzonych z cierpienia. Tak często bywa. Wtedy wyobrażałem sobie, że córka przybywa do celi i wyprowadza mnie na wolność poza forteczne mury. Często widywałem przy blasku księżyca jej wizerunek, tak jak teraz ciebie widzę. Ale nigdy nie mogłem wziąć jej w ramiona. Ten wizerunek stawał między drzwiami a małym zakratowanym okienkiem... Ale... Widzisz, Lucie, to nie było dziecko, o którym ostatnio mówiłem...

— Czy ta postać stanowiła... stanowiła podobiznę... Czy była tworem rozbudzonej wyobraźni?

— Nie. To inna sprawa. Ten wizerunek stawał mi przed oczyma, ale nie poruszał się nigdy. Żłuda ścigana przez wyobraźnię była inną, bardziej realną córką. O jej powierzchowności wiedziałem tylko tyle, że jest podobna do matki. Tamta druga także była podobna do matki, tak samo jak ty jesteś. Ale to nie to samo. Nie wiem, czy mnie rozumiesz, Lucie? Wydaje mi się, że trzeba być

samotnym więźniem, aby dostrzec tak nieuchwytnie odcienie.

Doktor mówił tonem spokojnym, rzeczowym, mimo to jednak w Lucie krew krzepła na myśl, że biedak robi sekcję swoich dawnych przeżyć.

— W takie spokojniejsze noce marzyłem, że córka przychodzi do celi i wyprowadza mnie na świat, aby pokazać, że jej dom rodzinny pełen jest wspomnień o zaginionym ojcu. W jej pokoju wisiał mój portret, a moje imię powtarzało się zawsze w jej modlitwach. Życie tej córki było czynne, pogodne, użyteczne, ale cień na nie rzucały smutne ojcowskie dzieje.

— Ja byłem owym dzieckiem, kochany ojciec. Nawet w połowie nie byłem taka dobra, ale kochałam cię z równą mocą.

— Ta córka pokazywała mi swoje dzieci — ciągnął lekarz z Beauvais. — Wiedziały o mnie. Nauczyły się litować nad moim losem. Kiedy mijały więzienie stanu, trzymały się jak najdalej od posępnych murów, spoglądały trwożnie w zakratowane okna, mówiły szeptem. Córka nie mogła mnie uwolnić. Zawsze wyobrażałem sobie, że oglądam takie i tym podobne obrazy, a potem pod jej opieką wracam do celi. Wówczas doznawałem niezmiernej łaski łez. Padałem na kolana i ze szczerego serca udzielałem jej błogosławieństwa.

— Ojciec! Najdroższy ojciec! Ja jestem owym dzieckiem. Wierzę, że na to zasłużyłam. Czy jutro zdołasz pobłogosławić mnie z równie szczerego serca?

— Lucie, wspominam dzisiaj dawną mękę, bo kocham cię mocniej, niż słowa zdołają wyrazić, i Bogu składam dzięki za szczęście, którym mnie obdarował. Moje marzenia były szalone, fantastyczne, atoli nigdy nie sięgały poziomu szczęścia, jakie ty mi dałaś i jakie jeszcze jest przed nami.

Doktor serdecznie ucałował córkę, w gorących słowach polecił ją opiece Niebios i złożył pokorne dzięki Bogu, który go uszczęśliwił takim skarbem. Niebawem ojciec i córka wrócili do domu.

Na jutrzejsze zaślubiny nie otrzymał zaproszenia nikt z wyjątkiem pana Lorry. Nawet druhnę zastąpić miała rubaszna panna Pross. Małżeństwo Lucie nie wpływało na zmianę mieszkania, gdyż można je było rozszerzyć donajmując górne piętro, gdzie rezydował dotychczas tajemniczy niewidoczny lokator. To wystarczało w zupełności skromnej rodzinie.

Do wieczery zasiadły tylko trzy osoby — panna Pross była trzecią. Doktor Manette był w doskonałym humorze. Ochoczo pił za zdrowie Karola, ubolewał, że go nie ma przy stole, i prawie żałował swojej zgody na niewinny, sentymentalny spisek, co nie pozwolił przybyć panu młodemu.

Wkrótce lekarz z Beauvais życzył córce dobrej nocy i udał się na spoczynek. Ale o trzeciej w nocy Lucie wstała z łóżka i zeszła ukradkiem do sypialni ojca dręczona trwogą nieokreślonych podejrzeń.

Ale w sypialni wszystko stało na właściwym miejscu. Panował spokój. Doktor spał. Jego białe włosy malowniczo przyozdabiały gładką powierzchnię poduszki. Ręce leżały na kołdrze. Lucie odstawiła bezużyteczną świecę, na palcach podeszła do łóżka, czule ucałowała ojca i pochylona nad nim poczęła patrzeć chciwie.

Jego urodziwą twarz przeorały głęboko więzienne niedole, ale doktor potrafił panować nad ich śladami i potężną siłą woli nie dopuszczał ich nawet we śnie. W całym niezmiernym królestwie snu trudno byłoby znaleźć równie godną uwagi twarz: energiczną, skupioną, zwycięską w walce z niedostrzegalnym napastnikiem.

Dziewczyna delikatnie złożyła dłoń na ukochanej piersi i zaniósła do Niebios nieśmiałą modlitwę, by zawsze mogła mu być tak wierna, jak nakazuje jej wielka miłość i jego przebyte cierpienia. Potem cofnęła rękę, raz jeszcze ucałowała tkliwie śpiącego i opuściła pokój. A kiedy

słońce weszło, cienie platanowych liści poruszały się na twarzy doktora tak bezdźwięcznie, jak wargi Lucie, gdy nocą modliła się za niego.

ROZDZIAŁ XVIII

DZIEWIĘĆ DNI

Dzień zaślubin był olśniewająco pogodny. Wszyscy czekali przed zamkniętymi drzwiami pokoju doktora Manette, który prowadził rozmowę z przyszłym zięciem. Byli gotowi i mogli już iść do kościoła: piękna oblubienica, pan Lorry i panna Pross. Tej ostatniej dzięki powolnemu przywykaniu do nieuniknionego wielkie wydarzenie zdawałoby się bezgranicznie radosnym, gdyby nie pokutujące jeszcze wątpliwości, czy panem młodym nie powinien być raczej jej brat, Salomon.

— Hm... hm... Ehem... — pomrukiwał pan Lorry i nie mogąc napatrzeć się urodziwej pannie młodej obchodził ją ze wszystkich stron, by dokładnie obejrzeć skromną, ale uroczą suknię ślubną. — Hm... hm... Ehem... To dlatego, moja słodka Lucie, przewiozłem cię w ramionach przez La Manche. Byłaś wtedy prawie niemowlęciem. Mój Boże! Lekko traktowałem tę historię. Nie zdawałem sobie sprawy, jak wielki dług zaciąga u mnie mój przyjaciel Karol Darnay.

— Nic pan wtedy nie wiedział o panu Karolu — obruszyła się realistka panna Pross — więc jak mógł pan zdawać sobie z tego sprawę? Brednie!

— Bardzo być może — zgodził się łagodny bankowiec. — Ale niech pani nie płacze.

— To pan płacze, nie ja.

— Ja, panno Pross? — pan Lorry dobrze już poznał groźną niewiastę i od czasu do czasu pozwalał sobie z nią żartować.

— Pewnie, że pan! Przed chwilą sama to widziałam i wcale się nie dziwię. Taki prezent jak srebra od pana może wycisnąć Izy z każdego oczu. Wczoraj wieczorem, kiedy przyniesiono szkatułę, beczałam nad każdą łyżką, nad każdym widelcem. W końcu nic już nie widziałam!

— Wielka to dla mnie satysfakcja — uśmiechnął się starszy pan — chociaż prawdę rzekłszy nie przeszło mi przez myśl, że drobny dowód mojej pamięci może stać się dla kogoś niewidoczny. Oj, Boże, dobry Boże! Przy takich sposobnościach człowiek lubi rozmyślać o wszystkim, co bezpowrotnie utracił. Pomyśleć tylko, że w ciągu minionych pięćdziesięciu lat jakaś pani Lorry mogła pojawić się każdego dnia.

— Nic podobnego! — zaprotestowała kobieta.

— Czy pani zdaniem nie mogła pojawić się pani Lorry? — zdziwił się dżentelmen noszący to nazwisko.

— No chyba, że nie! Już w kołysce był z pana stary kawaler.

— Hm... hm... Ehem — z rozpromienioną miną poprawił lnianą peruczkę. — Cóż, to wydaje się całkiem prawdopodobne.

— Ba! — podjęła panna Pross. — Był pan skrojony na starego kawalera, zanim ułożono pana w kołysce!

— W takim razie potraktowano mnie w sposób karygodny — uśmiechnął się znowu stary kawaler. — Sądzę, że winienem mieć głos przy obieraniu fasonu dla mojej osoby. Ale dość żartów! Najmilsza Lucie — delikatnie otoczył ramieniem kibić pięknej oblubienicy — słyhać ruch w pokoju doktora, a panna Pross i ja, dwoje poważnych ludzi interesu, nie chcielibyśmy zmarnować ostatniej sposobności. Musimy powiedzieć ci coś, czego na pewno chętnie zechcesz wysłuchać. Swojego zacnego ojca zostawiasz, moja droga, w rękach nie mniej dbałych i kochających niż twoje własne. Nie zbraknie mu starania i opieki w ciągu najbliższych dwóch tygodni, które ty z mężem spędzisz na wsi w hrabstwie Warwick. W tym okresie nawet Tellsonowie pójdą do kąta... ehem... mówiąc oczywiście w przenośni. A kiedy po dwóch tygodniach doktor przyjedzie do was, aby wziąć udział w

drugiej czternastodniowej wycieczce do Walii, będziesz musiała przyznać, iż przysłaliśmy ci go w idealnym doprawdy zdrowiu ciała i ducha. Szsza! Słyszę kroki zmierzające w stronę drzwi. Nim Karol upomni się o swoją własność, przyjmij, kochane dziecko, pocałunek sędziwego samotnika. Niechaj to będzie moje staroświeckie błogosławieństwo.

Pan Lorry ujął w dłonie twarz dziewczyny i przez chwilę patrzył na nią z pewnej odległości, aby raz jeszcze ujrzeć niezapomniany wyraz inteligentnego czoła. Potem z niekłamaną, delikatną czułością przytulił złociste loki do gładko przyczesanej peruczki. Jeżeli to miało być staroświeckie błogosławieństwo, było tak stare jak sam praojciec Adam.

Otworzyły się drzwi sypialni i pan Manette wyszedł w towarzystwie Karola Darnaya. Od czasu, gdy z przyszłym zięciem udał się na osobność, pobladł śmiertelnie i obecnie na twarzy jego nie został ni ślad rumieńca. Poza tym jednak doktor zachowywał się spokojnie i normalnie jak uprzednio, a tylko bystre oko starego przyjaciela dostrzegło mglistą skłonność do wyrazu otępienia i przestachu, jaki mroził niekiedy twarz byłego więźnia niby podmuch lodowatego wiatru.

Pan Manette podał ramię córce i sprowadził ją do wspaniałej karocy wynajętej przez pana Lorry dla należytego uczczenia wielkiego dnia. Reszta orszaku usadowiła się w drugiej karecie i niebawem Karol Darnay i Lucie Manette zostali szczęśliwie zaślubieni w pobliskim cichym kościółku, gdzie nie przeszkadzały obrzędowi ciekawe spojrzenia obcych.

Gdy ceremonia dobiegła końca, w oczach nielicznych jej uczestników załśniły łzy pośród uśmiechów, a na palcu panny młodej błysnął wspaniały diament wyciągnięty ukradkiem z przepaścistej kieszeni starego bankowca. Następnie wszyscy wrócili do domu i po bardzo udanym śniadaniu złote loki Lucie, które niegdyś zmieszały się na paryskim poddaszu z białymi włosami biednego szewca, zmieszały się z nimi ponownie przy pożegnaniu u progu szczęśliwego domu.

Rozstanie było trudne, chociaż nie miało trwać długo. Ojciec dodawał córce odwagi i niebawem wyzwalając się z jej kurczowo zaciśniętych ramion powiedział:

— Bierz ją, drogi Karolu. Jest twoja.

Drżąca biała ręka przesłała z okna karety gest pożegnania i nowożeńcy odjechali.

Ciche ustronie nie leżało na drodze próżniaków i gapiów, a że skromne i proste przygotowania weselne nie zwróciły niczyjej uwagi, doktor, pan Lorry i panna Pross zostali sami na ulicy. Wracając w przyjemny chłód cienistej sieni stary bankowiec zauważył w przyjacielu niepokojące zmiany — jak gdyby sterczące nad nim pozlacane ramię zadało mu niespodziewanie miazdzący cios.

Oczywiście doktor musiał ostatnio wiele w sobie tłumie i należało się spodziewać reakcji w momencie, gdy hamulce przestały być niezbędne. Ale znany z dawna tępy wyraz naprawdę przestraszył pana Lorry, a bezwiedne chwytnie się za głowę i chwiejny krok, jakim były więzień odszedł na piętrze do swego pokoju, przypominały starymu dżentelmenowi paryską winiarnię i Ernesta Defarge, i nocną podróż pod gwiazdami.

— Moim zdaniem — szepnął do panny Pross po krótkim, ale bolesnym namyśle — nie trzeba z nim teraz rozmawiać ani przeszkadzać mu w żaden sposób. Muszę zajrzeć do Tellsonów, pojedę więc tam i rychło wrócę. Potem weźmiemy go na przejażdżkę za miasto. Zjemy obiad w wiejskiej gospodzie i wszystko będzie dobrze.

Panu Lorry znacznie łatwiej było zajrzeć do Tellsonów, niż stamtąd wyrzeć. Zatrzymano go w banku na dwie godziny. Kiedy wrócił, o nic nie pytał służącej i sam począł wchodzić na schody. Nagle stanął jak wryty posłyszawszy głuchy, miarowy stukot młotka.

— Wielki Boże! — wykrzyknął zdumiony. — Co to znaczy? Panna Pross stanęła bezszelestnie obok niego. Twarz miała zmartwiałą z przerażenia.

— Nieszczęście! Nieszczęście! — biadała załamując ręce. — Wszystko przepadło! Co teraz powiemy mojej ptaszynie? On mnie nie poznał. Szyje buty.

Pan Lorry rzucił kilka uspokajających słów i ostrożnie wszedł do sypialni przyjaciela. Warsztat stał pod oknem, w dobrze oświetlonym miejscu. Szewc siedział tak jak dawniej przy robocie. Był bardzo zajęty i czoło miał nisko pochylone.

— Doktorze Manette! Drogi przyjacielu! Aleksandrze!

Lekarz z Beauvais uniósł na moment wzrok, jak gdyby trochę zdziwiony a trochę rozdrażniony, że ktoś się doń odezwał. Potem bez słowa pochylił znowu głowę nad trzewikiem.

Nie miał na sobie surduta ani kamizelki, a koszulę rozpiął pod szyją, jak dawniej zwykł czynić przy robocie. Na twarz powrócił również dawny wyraz przygnębienia, obawy, tępoty. Szewc pracował pilnie, z pośpiechem i w granicach swoich skąpych możliwości zdradzał niezadowolenie, iż ktoś mu przeszkadza.

Stary bankowiec spojrział na ręce przyjaciela i zobaczył w nich trzewik o fasonie i rozmiarze nie innym niż na paryskim poddaszu. Podniósł więc drugi trzewik leżący obok ławy i zapytał o jego przeznaczenie.

— To pantofelek spacerowy dla młodej damy — odburknął szewc nie spoglądając ku górze. — Od dawna powinien być gotowy. Dzisiaj go skończę

— Ależ doktorze Manette! Drogi przyjacielu! Spójrz na mnie!

Biedak posłuchał na dawną mechaniczną i uległą modłę, ale nie przerwał pracy.

— Poznajesz mnie chyba, drogi przyjacielu? Pomyśl. Opamiętaj się! Przecież to nie jest twoje właściwe zajęcie. Zastanów się, Aleksandrze.

Wszelako nic nie mogło zmusić doktora Manette do odpowiedzi. Od czasu do czasu na żądanie spoglądał na pana Lorry, ale milczał uparcie. Pracował, pracował, pracował bez wytchnienia, a słowa padały nań jak w powietrze lub na mur nie odbijający echa. Jedyne nadziei stanowiło to, że chwilami doktor nie pytany zerkał trwożnie spod oka. We wzroku miał wówczas nikły blask zdziwienia, jak gdyby zmagał się z jakimiś dręczącymi go wątpliwościami.

Bez wahania pan Lorry uznał za najważniejsze dwie sprawy. Po pierwsze: utrzymać sekret przed Lucie. Po drugie: utrzymać sekret przed pacjentami i znajomymi doktora Manette. Doszedłszy do takich wniosków rozpuścił przy pomocy panny Pross wiadomość, iż doktor czuje się źle i wymaga kilku dni kompletnego wypoczynku. Snując dalej nic chwalebne kłamstwa panna Pross napisała do Lucie, że doktor wyjechał na kilka dni z Londynu, gdyż został nagle wezwany w sprawach zawodowych. W liście tym panna Pross wspomniała mimochodem o kilku linijkach skreślonych spieszenie ręką doktora przed wyjazdem i jakoby wysłanych pod adresem córki tą samą pocztą.

Tego rodzaju środki należało przedsięwziąć w każdym przypadku, lecz pan Lorry uciekł się do nich będąc przekonany, że były więzien przyjdzie do siebie. Gdyby to istotnie nastąpiło wkrótce, stary bankowiec miał gotowy plan i zamierzał odbyć konsultację, jego zdaniem zbawienną dla przyjaciela.

Na razie postanowił obserwować chorego baczenie i w sposób jak najmniej natrętny, toteż zwolniwszy się po raz pierwszy w Życiu ze swoich obowiązków w Domu Bankowym Tellsonów zajął posterunek przy oknie w pokoju lekarza z Beauvais.

Niebawem zorientował się, iż nagabywanie byłego więźnia jest bardziej niż niewskazane, ho biedak denerwuje się tylko wówczas i zacina. Wobec tego pan Lorry zrezygnował już pierwszego dnia z prób nawiązywania rozmów i zdecydował, iż będzie tkwił nieustannie na miejscu jako niemy protest przeciwko urojeniom, których ofiarą pada jego przyjaciel. Siedział zatem cierpliwie na fotelu pod oknem, pisał lub czytał i na rozmaite pomysłowe sposoby starał się dawać do zrozumienia, że

przyjemna sypialnia nie ma nic wspólnego z więzieniem.

Doktor Manette jadł i pił wszystko, co mu podawano, i pierwszego dnia pracował wytrwale aż do zmierzchu. Pan Lorry nie mógł już od pół godziny czytać ani pisać, kiedy szewc odłożył narzędzia jako bezużyteczne do następnego rana. Wówczas stary bankowiec wstał i odezwał się naturalnym tonem:

— No i cóż? Może wyjdziemy trochę na miasto?

Jak niegdyś były więzień spojrzął na podłogę koło ławy — najprzód w lewo, potem w prawo. Następnie zmierzył intruza niespokojnym tępych wzrokiem.

— Na miasto? — powtórzył tym co dawniej głuchym, bezdźwięcznym głosem.

— Tak. Przejdziemy się dla zdrowia. Przecież nic nie stoi na przeszkodzie.

Doktor nie wyjaśnił, czemu się nie zgadza, i nie wyrzekł ani słowa więcej. Pochylił się w półmroku nad warsztatem, łokcie oparł na kolanach, a czoło na dłoniach. Panu Lorry wydało się, że w jakiś mglisty sposób roztrząsa zawiłą kwestię, dlaczego nic nie stoi na przeszkodzie, by wyjść na miasto. Bystry człowiek interesu znalazł w tych medytacjach jaką taką nadzieję i postanowił, iż w dalszym ciągu zastosuje zbliżoną taktykę.

Panna Pross i pan Lorry podzielili noc na dwie wachty i z sąsiedniego pokoju nieustannie obserwowali chorego. Przez długi czas miarowo spacerował tam i z powrotem, lecz gdy położył się wreszcie, usnął spokojnie. Z rana wstał wcześniej i natychmiast usiadł przy warsztacie, by wziąć się do roboty.

Drugiego dnia pan Lorry powitał przyjaciela zwracając się doń po nazwisku i zaczął gawędzić na tematy interesujące ich ostatnimi czasy. Chory nie odpowiadał, lecz widać było, że słucha i jak gdyby zastanawia się nad tym, co usłyszał. Pan Lorry nabrał nieco otuchy, poprosił więc pannę Pross, by przysłała z robótką do pokoju i kilkakrotnie w obecności doktora nawiązywał z nią rozmowę o Lucie i jej ojcu mówiąc w taki sposób, jak gdyby wszystko było w najlepszym porządku. Rozmowy takie odbywały się w sposób zupełnie naturalny i niezbyt często, nie trwały zaś długo, aby nie męczyć chorego. Bystry człowiek interesu pilnie obserwował i zacne starokawalerskie serce tłukło się w nim z radości, gdyż widział, że przyjaciel coraz częściej rozgląda się po swojej sypialni i próbuje zgłębić otaczające go sprzeczności.

Kiedy wieczór znów zapadł, pan Lorry zwrócił się do przyjaciela ponownie, jak dnia poprzedniego:

— Kochany doktorze! Czy nie wyjdziemy trochę na miasto?

— Na miasto? — powtórzył szewc poprzednim tonem.

— Tak. Przejdziemy się dla zdrowia. Przecież nic nie stoi na przeszkodzie.

Odpowiedzi nie udało się uzyskać, wobec czego pan Lorry opuścił pokój i wrócił dopiero za godzinę. W tym czasie doktor przesiadł się na fotel pod oknem i ze zdziwieniem patrzył na stary platan. Kiedy jednak pan Lorry przyszedł, były więzień niezwłocznie powędrował chyłkiem do warsztatu.

Czas włókł się bardzo wolno. Stary bankowiec tracił chwilami nadzieję i każdego następnego dnia robiło mu się ciężiej na sercu. Trzeci dzień nadszedł i minął. Potem czwarty, piąty, szósty, siódmy, ósmy i dziewiąty.

Z coraz słabszą nadzieją i z coraz cięższym sercem zacny pan Lorry przeżywał ów bolesny okres. Utrzymano tajemnicę. Lucie była nieświadoma i szczęśliwa. Nie ulegało jednak wątpliwości, iż szewc, który wyszedł nieco z wprawy i zrazu pracował nieudolnie, nabierał przerażającej rutyny. Dziewiątego dnia o zmroku jego zniszczone już od skóry i narzędzi ręce poruszały się tak zwinnie jak nigdy dotychczas, a zapął do roboty był nieporównany.

ROZDZIAŁ XIX

KONSULTACJA

Dnia dziesiątego stary bankowiec strudzony trwożnym czuwaniem i niepewnością usnął na posterunku przed brzaskiem. Ocknął się zdziwiony, że jasne słoneczne światło zalewa pokój, w którym panowała noc, gdy zapadał w ciężką drzemkę.

Nerwowo przetarł oczy i dźwignął się z sofy, po chwili jednak zaczął podejrzewać, że śpi i marzy w dalszym ciągu. Kiedy bowiem zajrzał przez uchylone drzwi do sypialni doktora, zobaczył warsztat i skrzynkę z narzędziami w kącie, a samego doktora siedzącego koło okna i zajętego czytaniem. Ubrany był w swój zwykły poranny strój, a twarz, którą pan Lorry widział dokładnie, miał bladą wprawdzie, lecz skupioną i myślącą.

Człowiek interesu upewnił się wkrótce, że nie śpi, lecz w tejże chwili zadał sobie kłopotliwe pytanie, czy cała historia z warsztatem i szyciem butów nie stanowiła koszmarnej ułudy? Na własne. oczy oglądał przecież przyjaciela, który był ubrany jak zwykle, wyglądał jak zwykle i jak zwykle czytał z rana siedząc w fotelu pod oknem. I nic w polu widzenia nie wskazywało na sposób, w jaki odbyła się niespodziewana przemiana!

Atoli niepewność ustąpiła rychło wraz z zaskoczeniem i zdziwieniem. Odpowiedź była jasna. Gdyby oglądany obraz nie wynikał z realnych przesłanek, on — Jarvis Lorry — nie stałby na tym miejscu. Jakim cudem mógłby ocknąć się kompletnie ubrany na sofie w gabinecie przyjąć doktora Manette i wczesnym rankiem roztrząsać takie zagadnienia przed uchylonymi drzwiami sypialni przyjaciela?

Nim upłynęło kilka minut, panna Pross znalazła się u boku starego bankowca. Jej szept musiałby oczywiście rozproszyć ostatnie ślady wątpliwości, gdyby żywił je jeszcze pan Lorry. Ale pan Lorry otrzeźwiał już i dobrze zdawał sobie sprawę z sytuacji. Doradził zaraz, by oddalić się chwilowo i poczekać zwykłej godziny śniadania, następnie zaś spotkać doktora tak, jak gdyby nic nie zaszło osobliwego. Jeżeli lekarz z Beauvais będzie zachowywał się normalnie, pan Lorry spróbuje odbyć projektowaną od kilku dni konsultację i zasięgnie porady, której oczekiwał tak niespokojnie.

Panna Pross udzieliła planowi całkowitej aprobaty i wszystko przygotowano nader troskliwie. Czasu nie brakowało, a więc stary bankowiec zrobił toaletę równie starannie jak zazwyczaj. Wystąpił w wyszczotkowanej peruce oraz obuwiu oczyszczonym drobiazgowo. Doktor, poproszony do stołu w codzienny sposób, szybko i chętnie zeszedł na śniadanie.

Zachowywał się normalnie, lecz zrazu sądził, że zaślubmy córki miały miejsce dnia wczorajszego. Pan Lorry nie mógł sprostować tej omyłki nie uciekając się do dróg delikatnych i okólnych, które uważał za jedyny bezpieczny sposób podejścia. Rozmyślnie, lecz niby to przypadkowo rzucane wzmianki o dniu tygodnia i dniu miesiąca wprowadziły pana Manette w zakłopotanie, a twarz jego przybrała wyraz niespokojnej zadumy. Poza tym wszakże doktor był tak opanowany i zrównoważony, że stary bankowiec postanowił zasięgnąć niezbędnej porady, i to zasięgnąć jej u niego.

Kiedy więc śniadanie dobiegło końca i ze stołu sprzątnięto, a dwaj starzy przyjaciele zostali sami, pan Lorry zwrócił się do lekarza z Beauvais:

— Drogi Aleksandrze, pragnę zwrócić się do ciebie o poradę w bardzo dziwnym przypadku interesującym mnie żywo i osobiście. Oczywiście mnie ów przypadek wydaje się bardzo dziwny. Dla twojej praktyki i wiedzy może być zupełnie zwyczajny.

Pan Manette zerknął na swoje ręce poczerniałe od niedawnej pracy, co często robił już podczas

śniadania. Minę miał zatroskaną, lecz słuchał nader uważnie.

— Kochany doktorze — podjął człowiek interesu dotykając serdecznie ramienia przyjaciela. — W grę wchodzi osoba szczególnie bliska mi i droga. Mój najlepszy przyjaciel. Zastanów się głęboko i, błagani, udziel zbawiennej rady przez wzgląd na niego i na jego córkę. Rozumiesz, Aleksandrze? Przez wzgląd na jego córkę!

— Jeżeli cię dobrze rozumiem — rzekł glucho doktor Manette — chodzi o... o zaburzenia umysłowe?

— Tak.

— Mów jasno. Nie szczędź najdrobniejszych szczegółów.

Pan Lorry zorientował się, iż osiągnięto wzajemne zrozumienie, podjął więc śmielszym tonem:

— Mój drogi, w danym przypadku chodzi o dawny i bardzo ostry uraz działający zgubnie na uczucia, pamięć i... i... jak się słusznie wyraziłeś, powodujący zaburzenia umysłowe. Mój przyjaciel pozostawał niegdyś pod wpływem tego szoku przez okres niewiadomy; sam stracił rachubę czasu, a inne środki sprecyzowania granic tego okresu nie istnieją. Chory wyzwolił się z urazu, lecz niepodobna również ustalić, jakimi drogami przebiegał ów proces, o czym raz pewnego mój przyjaciel mówił publicznie w mojej obecności i w słowach szczególnie wstrząsających. Zdrowie odzyskał zupełnie. Stał się człowiekiem zdolnym do wysiłku fizycznego i ciężkiej pracy umysłowej, dzięki której uzupełnia nieustannie zasoby swojej wiedzy i tak już bardzo rozległe. Niestety jednak ostatnio... — pan Lorry zająknął się i westchnął głęboko — zdarzył się nawrót choroby... bardzo lekki nawrót.

— Jak długo trwał? — zapytał lekarz niemal szeptem.

— Dziewięć dni i nocy.

— A jak się objawiał? Sądzę... — były więzień zerknął ukradkiem na swoje dłonie. — Sądzę, że twój przyjaciel zaczął znów robić coś, co robił w okresie, gdy był pod działaniem urazu?

— Istotnie.

— Czy widziałeś go niegdyś dawniej zajętego tą robotą? — pytał doktor spokojnie i wyraźnie, lecz nadal prawie szeptem.

— Raz jeden.

— Czy podczas ostatniego nawrotu chory zachowywał się podobnie albo... albo zupełnie tak samo jak niegdyś?

— Moim zdaniem zupełnie tak samo.

— Wspomniałeś o jego córce. Czy... czy ona wie o nawrocie choroby?

— Nie! I zapewne nigdy się nie dowie. Sekret był dobrze zachowany. Wiem o tym tylko ja i jeszcze jedna osoba, godna bezgranicznego zaufania.

— To prawdziwy dowód rozsądku i serca. Dobrze... bardzo dobrze... — Doktor uściśnął mocno dłoń przyjaciela.

Pan Lorry równie gorąco odwzajemnił uścisk. Przez chwilę obydwaj milczeli.

— Posłuchaj, kochany doktorze — podjął wreszcie stary bankowiec najcieplejszym tonem, na jaki stać go było. — Ja jestem zwyczajnym człowiekiem interesu. Nie potrafię sprostać subtelnym i zawilym kwestiom. Brak mi wiedzy. Brak odpowiednio wyćwiczonej inteligencji. Potrzebuję rady, a nie ma przecież pod słońcem przewodnika, któremu w takiej sprawie mógłbym zaufać snadniej niż tobie. Drogi Aleksandrze! Powiedz, jakim powodom przypisać ów nawrót? Czy grozi recydywa? Czy i jaką metodą można jej zapobiec? Jaką stosować kurację? Co robić? W jaki sposób ratować chorego? Chyba nikt nigdy nie pragnął służyć przyjacielowi goręcej, niż ja tego pragnę. Z całego serca chcę mu pospieszyć z pomocą, lecz nie potrafię się do tego zabrać. Nie wiem, jak postępować

w tak zawiłym przypadku. Jeżeli twoja wiedza, inteligencja, doświadczenie skierują mnie na szlak właściwy, zdołam uczynić wiele. Bez tego przewodnictwa będę do niczego. Proszę, omów ze mną całą sprawę, rozjaśnij mi ją trochę, naucz, jak stać się bardziej użytecznym!

Po tej gorącej przemowie doktor Manette przez czas pewien siedział zadumany, a pan Lorry bynajmniej go nie przynaglał.

— Według mojego mniemania — odezwał się lekarz z widocznym wysiłkiem — nawrót, który mi opisałeś, drogi przyjacielu, nie mógł być dla chorego zupełnym zaskoczeniem.

— Czy mój przyjaciel obawiał się czegoś podobnego? — zaryzykował stary bankowiec.

— Tak, i to bardzo — odparł doktor wstrząsając się bezwiednym dreszczem. — Nie wyobrażasz sobie, jak taki stan przygnębia chorego i jak niezmiernie trudno wydusić mu z siebie chociażby jedno słowo na ów temat. To graniczy z niepodobieństwem.

— Czy doznałby ulgi — ciągnął coraz śmielej pan Lorry — gdyby z dręczących go obaw mógł zwierzyć się komukolwiek?

— Tak sędzę, ale mówiłem ci przed chwilą, że to graniczy z niepodobieństwem, a w danym razie może być całkiem niemożliwe.

Po momencie kłopotliwego milczenia człowiek interesu położył znowu rękę na ramieniu przyjaciela.

— Powiedz mi teraz, drogi Aleksandrze — rzekł cicho — czemu przypisać należy niedawny atak?

— Zapewne — odparł lekarz z Beauvais — myśli i wspomnienia, które stanowiły początkową przyczynę choroby, z niezwykłą siłą odżyły w wyobraźni chorego. Może powodem tego było jakieś szczególnie wyraziste skojarzenie. Może chory żył od niejakiego czasu w ustawicznej trwodze, iż takie właśnie skojarzenie grozi mu w pewnych okolicznościach... Może daremnie usiłował przygotować się do tego zdarzenia, a wewnętrzna walka osłabiła w nim odporność.

— Czy... czy chory — szepnął pan Lorry po chwili wahania, któremu trudno się było dziwić — ... czy mój przyjaciel mógł zachować w pamięci to, co działo się podczas nawrotu?

Doktor Manette rozejrzał się błędnie po pokoju, pokręcił głową i odrzekł głuchym tonem:

— Nie. Nic nie zapamiętał.

— A teraz powiedz mi coś na temat przyszłości.

— Jeżeli chodzi o przyszłość — odparł lekarz odzyskując nagle pewność siebie — to jestem niewątpliwie jak najlepszej myśli. Dlaczego? Ponieważ, za zmiłowaniem boskim, chory przyszedł do siebie w stosunkowo krótkim czasie. Załamał się chwilowo pod wpływem jakichś bardzo zagmatwanych przyczyn. Od dawna przewidywał to mgliście, bał się, na próżno starał się walczyć. Ostatnio chmura nadciągnęła i odeszła, mam więc nadzieję, iż najgorsze minęło.

— No, no! To już wielka pociecha — ożywił się pan Lorry. — Dziękuję ci z serca.

— Dziękuję ci z serca — powtórzył lekarz na kształt echa.

— Mam jeszcze dwie sprawy — podjął człowiek interesu — i co do nich chciałbym zasięgnąć twojej opinii. Czy mogę mówić dalej?

— Naturalnie. Wyświadczasz temu człowiekowi nieocenioną, przysługę — odrzekł doktor Manette i mocno uściśnął rękę pana Lorry.

— Po pierwsze zatem, mój przyjaciel jest naukowcem o niewyczerpanych zasobach energii. Z zapałem studiuje swoją dziedzinę wiedzy, przeprowadza doświadczenia i w ogóle jest nad wyraz czynny. Czy nie pracuje zbyt wiele?

— Nie zdaje mi się. Zapewne jego umysł odczuwa potrzebę nieustannego zatrudnienia. Może to być po części cechą przyrodzoną, po części łączyć się z przebytym niedomaganiem. Im mniej spraw

zdrowych zaprzętałoby ów umysł, tym bardziej groziłby mu zwrot w niezdrowym kierunku. Chory mógł obserwować samego siebie i wyciągnąć takie właśnie wnioski.

— Jesteś pewien, że nie nadużywa swoich sił? — nie dawał za wygraną człowiek interesu.

— Tak. Jestem tego prawie pewien.

— Kochany Aleksandrze, gdyby się jednak przepracowywał...

— Mój drogi przyjacielu — przerwał doktor Manette — to mu raczej nie grozi. Potężnemu napięciu w jednym tylko kierunku musi zapobiegać jakaś przeciwwaga. Rozumiesz?

— Wybacz, proszę, natręctwo drobiazgowego człowieka interesu. Założmy jednak, że mój przyjaciel mógłby się przepracowywać. Czy w takim razie groziłaby recydywa?

— Nie sądzę. Tak. Nie sądzę! — powtórzył lekarz z Beauvais tonem głębokiego przekonania. — Recydywę mógłby sprowadzić tylko jeden rodzaj wspomnień czy skojarzeń. Tak! Jestem głęboko przekonany, iż niebezpieczeństwem grozi wyłącznie potrącenie jednej struny. A obecnie, po tym, co zaszło, i po wyzdrowieniu twojego przyjaciela, nie wyobrażam sobie niczego, co zdołałoby raz jeszcze potrącić ową strunę. Sądzę, ba! jestem prawie pewien, że możliwości wywołania recydywy zostały wyczerpane bez reszty.

Doktor mówił ostrożnie niby ktoś, kto zdaje sobie sprawę, że niekiedy drobiazg na pozór błahy potrafi wykoleić mechanizm tak subtelny jak umysł człowieka. Zarazem jednak mówił z przekonaniem nabytym niewątpliwie dzięki cierpieniom i dokładnemu obserwowaniu samego siebie. Pan Lorry nie zamierzał podkopywać tej ufnej wiary w przyszłość. Udawał nawet, że wywody przyjaciela uspokajają go i krzepią bardziej, niż było to w istocie, i z kolei przystąpił do drugiej i ostatniej kwestii. Wiedział, że to punkt najtrudniejszy, lecz musiał go poruszyć, bo pamiętał dokładnie swoją dawną niedzielną rozmowę z panną Pross, a także wszystko, co oglądał w ciągu minionych dziewięciu dni. Odetchnął więc i śmiało stawiał czoła ciężkiej próbie.

— Kochany Aleksandrze — rozpoczął. — Pod wpływem chwilowego nawrotu choroby, który na szczęście minął rychło, mój przyjaciel jął się na dziewięć dni pewnego zajęcia... no... powiedzmy, kowalstwa. Tak! Niech to będzie kowalstwo! Dla wyjaśnienia sprawy i całkowitego jej zobrazowania dodajmy, iż mój przyjaciel w najgorszym okresie zwykł pracować przy małej przenośnej kuźni. Otóż przy tej właśnie kuźni znaleziono go niespodziewanie w czasie ostatniego nawrotu choroby. Czy to wskazane, by mój przyjaciel stale trzymał w pobliżu swoją starą kuźnię i narzędzia kowalskie?

Doktor Manette zakrył oczy dłonią i nerwowo począł stukać obcasem w podłogę.

— Mój przyjaciel — ciągnął człowiek interesu spoglądając przenikliwie na pana Manette — zawsze miał te rzeczy pod ręką. Czy nie lepiej, by teraz rozstał się z nimi na zawsze?

Lekarz z Beauvais nie odsłaniał oczu i nadal stukał obcasem.

— Jak widzę, Aleksandrze — ciągnął pan Lorry — niełatwo ci udzielić mi rady. Rozumiem! To kapitalne zagadnienie, lecz mimo wszystko sądzę... — zająknął się i smutno pokiwał głową.

— Zechciej mnie pojąć — rzekł lekarz z Beauvais po długiej i bardzo krępującej pauzie. — Niezmiernie trudno wyjaśnić w prostych słowach, jakimi drogami wędrują sekretne myśli owego biedaka. Niegdyś marzył o tym zajęciu, tęsknił do niego i gdy je wreszcie znalazł, doznał niewysłowionej ulgi. Pracę mózgu nastąpił pracą palców, później zaś, kiedy nabrał wprawę, począł sobie zaprzętać głowę doskonaleniem ręki miast dumaniem o własnej niedoli i męce. Cóż dziwnego, że i po wielu latach nie może ścierpieć myśli o bezpowrotnej utracie tamtej swojej pracy. Nawet dzisiaj, gdy wierzy w siebie jak nigdy dotychczas, gdy potrafi rozmawiać o swych dolegliwościach, obawa, że mógłby kiedyś potrzebować dawnego zajęcia i nie znaleźć warsztatu w stosownej chwili, przejmuje go strachem, który można porównać jedynie z grozą, co dławi serce zagubionego dziecka.

— Były więzień spojrział na przyjaciela, a jego twarz mogła stanowić ilustrację słów zawartych w ostatnim zdaniu.

— Wyjaśnij mi jednak, kochany doktorze... Hm... Nie zapominaj, że o radę prosi cię zrozpaczony człowiek interesu, oschły jegomość, co przez całe życie miał do czynienia z rzeczami tak prozaicznymi jak gwinee, szylingi i pliki banknotów. Wyjaśnij mi, proszę, czy bliskość warsztatu i narzędzi nie ożywia wspomnień i niepożądanych myśli? Czy gdyby te przedmioty zniknęły, nie zniknęłyby również dawne obawy i troski? Mówiąc pokrótce proszę cię o jedną jasną odpowiedź: czy przechowywanie kuźni nie jest odstępstwem na rzecz złych przeczuc i trwogi przed możliwością recydywy?

Znowu zapadła przykra cisza.

— Widzisz, mój drogi — odezwał się wreszcie doktor. — Kuźnia to... to taka stara, wierna towarzyszka...

— Mimo wszystko ja nie trzymałbym jej w domu — natarł pan Lorry, który zyskiwał pewność siebie w miarę, jak doktor ją tracił. — Pragnę doradzić przyjacielowi, by pozbył się kuźni. Potrzeba mi jedynie twojej aprobaty. Jestem zupełnie pewien, że z takiego sąsiedztwa nie wyniknie nic dobrego. Posłuchaj, kochany Aleksandrze! Bądź taki mądry i zacny jak zawsze. Udziel swojej aprobaty. Udziel jej przez wzgląd na córkę mojego przyjaciela... Przez wzgląd na jego córkę! Rozumiesz?

Widać było, że lekarz z Beauvais toczy ze sobą niecodzienną walkę. Aż litość brała, gdy przemówił wreszcie:

— A więc zgadzam się... dla niej... i udzielam aprobaty. Ale na twoim miejscu nie usuwałbym tych rzeczy, dopóki twój przyjaciel będzie w domu. Niech to się stanie podczas jego nieobecności.

Niech dopiero po powrocie odczuje brak swej starej, wiernej towarzyszki.

Pan Lorry z ochotą przystał na wysunięte warunki i konsultacja dobiegła końca. Resztę dnia przyjaciele spędzili na wsi, gdzie doktor szybko odzyskał pogodę i dobry humor. Przez następne trzy dni czuł się zupełnie dobrze, a dokładnie w dwa tygodnie po odjeździe nowożeńców wybrał się na ich spotkanie. Oczywiście wyjaśniono mu przedtem, w jaki sposób zostało usprawiedliwione jego milczenie, aby Lucie dowiedziała się z ust ojca tego samego, co z listu panny Pross, i nie nabrała podejrzeń.

Wieczorem w dzień wyjazdu lekarza z Beauvais pan Lorry wybrał się do jego sypialni uzbrojony w siekiere, piłę, młot i dłuto. Towarzystwa dotrzymywała mu panna Pross ze światłem. Tam, przy zamkniętych drzwiach i ze zbrodniczą miną człowiek interesu porąbał warsztat szewski, a panna Pross trzymając świecę wyglądała tak, jak gdyby asystowała przy morderstwie. Poćwiartowane zwłoki ofiary spalono niezwłocznie pod kuchnią, a narzędzia, skórę i rozpoczęte trzewiki pogrzebano cichaczem w ogródku. Sekretne dzieło zniszczenia przemawiało tak silnie do umysłów na wskroś uczciwych, że pan Lorry i panna Pross dokonywali zbrojnego czynu i zacierali jego ślady z takim uczuciem, jak gdyby naprawdę uczestniczyli w odrażającym występku.

Przygotowano na podstawie bookini.pl